



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(32) 2015

Rok IX

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



fot. Michał Żywot



Rzeźba – popiersie kobiety, marmur karraryjski.

Rzeźba przedstawia popiersie młodej kobiety. Głowa obrócona nieco w prawo ku dołowi. Twarz o rysach regularnych. Kobieta ma umieszczony na czole diadem z wyobrażeniem ptaka, z boków okrągłe zawieszki ze znakami (może napisem). Na głowie egipska chusta spadająca na plecy i ramiona kryje włosy zwinięte w kok, reszta włosów w postaci dwu warkoczy spływa spod chusty na piersi. Pomiedzy warkoczami naszyjnik złożony z dziewięciu analogicznych jak przy diademie zawieszek i rzymska butonierka z jedną zawieszką. Kobieta ubrana jest w suknię w pasy z koszulowym kołnierzem wywiniętym częściowo na butonierkę. U dołu zamyka kompozycję ułożona łukiem girlanda kwiatów złożona z róż, konwalii i liści.

Rzeźba pochodzi z pałacu w Tarnogórze, koło Krasnegostawu, przed 1944 rokiem należącego do rodziny Smorczewskich. Pierwotnie, co pokazują zachowane do dzisiaj fotografie (zamieszczone przez Romana Aftanazego w *Dziejach rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*), rzeźba zdobiła wnętrze tzw. czerwonego salonu. Do zbiorów muzeum trafiła w 1960 roku jako dar Juliana Podgórskiego ówczesnego dyrektora liceum ogólnokształcącego mieszczącego się właśnie w dawnym pałacu.

Powstała w drugiej połowie XIX stulecia rzeźba reprezentuje styl nazywany historyzmem.

Artur Capała



<i>Spis treści</i>	<i>Spis treści</i>
Słowo redaktora 2 <i>Andrzej David Misiura</i>	Ja z Orkana 65 <i>Zbigniew Masternak</i>
75 rocznica niemieckiej akcji AB - planowego wyniszczenia polskiej inteligencji 3 <i>Leszek Janeczek</i>	Podążać za życiem... 68 <i>Maria Makarska</i>
Klub Towarzyski - przedwojenna forma aktywności społecznej mieszkańców Izbicy 8 <i>Artur Borzęcki</i>	Poezja - Alina Jahołkowska 70
Rodzina Papieża 9 <i>Irena Iwańczyk</i>	„Idę ku ciszy” 72 <i>Stanisław Koszewski</i>
Leksykon zamków, pałaców i dworów powiatu krasnostawskiego. Cz. IV 18 <i>Agnieszka Szykuła-Żygawska</i>	Poezja - Stanisław Rogala 73
Poezja - Anna Kamieńska 21	II LO z Filmoteką Szkolną 75 <i>Ewa Magdziarz</i>
Powiat krasnostawski na łamach krakowskiego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” 1914-1939 22 <i>Kazimierz Stolecki</i>	Ryszard Smolak zwycięzcą XXI Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej 79 <i>Dominik Kleszko</i>
Sonety - Stanisław Bojarczuk 36	Święto kultury 80 <i>Andrzej David Misiura</i>
Prace z XII powiatowego konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie 37	„Aby przeszłość miała przyszłość”, czyli o ratowaniu zabytków i pomników przyrody 82 <i>Ewa Żydek</i>
Anegdota i humoreski 56 <i>Krystyna Hus</i>	W poszukiwaniu autorytetu 83 <i>Elżbieta Petruk</i>
(Nie)zwykle odwiedziny 58 <i>Leszek Janeczek</i>	Na kije i kamienie 84 <i>Henryk Radej</i>
Poezja - Mirosław Iwańczyk 60	Słowa, słowa, słowa. Krótki poradnik dla kandydatów na posłów 86 <i>Wiesław Krajewski</i>
Pierwszy kochanek 61 <i>Jurata Bogna Serafińska</i>	Książki nadesłane 91



NR 2 (32) 2015 NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnostaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Nakład sponsorowany przez:
Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)
Zbigniew Atras

Stale współpracują:

Artur Borzęcki (Krasnostaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnostaw)
Lucjan Cimek (Krasnostaw)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Ewa Magdziarz (Krasnostaw)
Ryszard Maleszyk (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chelm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Słowo redaktora



Rok Błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego minął w marcu 2015 roku. Zaowocował przyjęciem delegacji i nawiązaniem współpracy z parafią Gdeszyn, wmurowaniem pamiątkowej tablicy oraz uroczystą mszą w kościele św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. W tym samym czasie odbyła się także okolicznościowa konferencja zakończona częścią artystyczną. Przez cały ten rok w „Nestorze” ukazywały się artykuły i informacje na temat obchodów roku jubileuszowego, autorstwa redaktora Zbigniewa Atrasa, który z kolei za inspiracją dr. Leszka Janeczka zaproponował opracowanie Szlaku bł. ks. Zygmunta Pisarskiego, sugerując co najmniej 21 stacji. Wiele z nich związanych jest w sposób naturalny z Krasnymstawem, znaczna jednak ich część znajduje się np. w Gdeszynie, Trzęsinach i innych miejscowościach, gdzie została już uczczona i nawet oznaczona tablicami, o czym w 30. wydaniu „Nestora” napisał Z. Atras, gorzko sumując, że prorokiem nie zostaje się na własnej ziemi. Miejmy jednak nadzieję, że rok jubileuszowy spełnił swoją rolę i przybliżył postać bł. ks. Zygmunta Pisarskiego. Może to wystarczy, aby zapoczątkować kult przyszłego świętego i naszego rodaka.

Nie trzeba było długo czekać, aby w rocznicę beatyfikacji, 13 i 14 czerwca bieżącego roku odbył się I Festiwal Dziękczynienia, czyli Krasnostawsko-Gdeszyńskie „Kraśniaki” zorganizowane przez niestrudzonego Z. Atrasa. Występowali wówczas twórcy oraz zespoły artystyczne, m.in. z Krasnegostawu, gmin: Krasnystaw, Łopiennik i Siennica Różana. Odbyły się pokazy ratownictwa medycznego, prezentacja MDKF „Iluzjon”, wystawy malarstwa Krystyny Mojskiej i fotografii Leszka Janeczka. O tej pięknej inicjatywie napiszemy w następnym wydaniu.

Obecnie trwa Rok Anny Kamieńskiej. Czy będzie obchodzony z równym zaangażowaniem? Na pewno tak, bo na kogo możemy liczyć jak nie

na naszych Czytelników, chociażby nawet działali na własną rękę.

Całkiem niespodziewanie, ku zadowoleniu zespołu redakcyjnego, uzyskaliśmy w bieżącym roku dawno oczekiwane wsparcie z budżetu miasta, dzięki zrozumieniu burmistrz Hanny Mazurkiewicz. Wiadomość przyniosła nadzieję na wydajniejszą pracę redakcyjną, bez trwonienia cennego czasu na poszukiwanie sponsorów. Fundusze mają trafić do budżetu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie, która takim sposobem znajdzie się w gronie współwydawców „Nestora”. Następnie pieniądze wpłacane będą z każdym wydaniem prosto do drukarni na pokrycie kosztu materiałów poligraficznych. Natomiast usługi poligraficzne i pozostałe opłaty, w tym za skład i montaż elektroniczny nadal będzie regulowała Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie. Zespołowi redakcyjnemu natomiast nikt nie zapłaci, więc redaktorzy będą kontynuowali swój wolontariat, zastrzegając sobie wyłączne prawo do zarządzania czasopismem i decydowania o jego merytorycznej zawartości. Ta zależność ma korzystne strony, ponieważ zapewnia utrzymanie jak najwyższego poziomu czasopisma. Autorzy również będą zamieszczać swoje artykuły nieodpłatnie.

Andrzej David Misiura

PS

7 czerwca 2015 roku, podczas Jubileuszu XXV-lecia Samorządu Miejskiego w Krasnymstawie otrzymałem Honorowe Wyróżnienie „Złote Karpie”. Na decyzję Kapituły miała wpływ m.in. moja społeczna działalność artystyczna, wydawnicza i dokumentacyjna, a w tym redakcje wydawnictw książkowych oraz powołanie czasopism takich jak: „Poślowie”, „Ziarno”, „Elipsa”, „Gazeta Krasnostawska” i „Nestor”. Łamy „Nestora” są więc jak najbardziej właściwe, aby za ich pośrednictwem złożyć podziękowanie dla Kapituły „Złotych Karpie” oraz Pani burmistrz Hanny Mazurkiewicz, że zauważyli Państwo moją skromną osobę. Serdecznie dziękuję.

Leszek Janeczek

75 rocznica niemieckiej akcji AB - planowego wyniszczenia polskiej inteligencji



W tym roku mija 75 rocznica niemieckiej akcji AB, w której na terenie całego kraju straciło życie kilka tysięcy wybitnych przedstawicieli polskiej inteligencji. Ich śmierć, w zamyśle Hansa Franka, generalnego gubernatora miała zapobiec tworzeniu się nielegalnych, podziemnych struktur dążących do odzyskania utraconej ojczyzny. Dzisiaj, tak jak i wcześniej nie obchodzi się tamtych dni, nie pamiętają o tym nasi przedstawiciele władz, chociaż ofiarami byli właśnie ludzie będący niemal w dosłownym sensie ich „kolegami”. W przedwojennej Polsce byli posłami, prezesami, burmistrzami, kierownikami, inteligencją, najwyższą warstwą w społeczeństwie. Paradoks zapomnienia ich ofiar polega na tym, że nie pamięta o nich dzisiejsza najwyższa warstwa naszego społeczeństwa. I to nie tylko w Krasnymstawie. Pięć lat temu, w 70 rocznicę tej niemieckiej zbrodni na polskim społeczeństwie odbyła się w Krasnymstawie uroczystość z inicjatywy krasnostawskich lekarzy, połączona z odsłonięciem pamiątkowego kamienia poświęconego osobie intendenta krasnostawskiego szpitala Feliksa Pawłowskiego, zamordowanego wraz z innymi w lesie Kumowa Dolina pod Chełmem. Obok kamienia z tablicą, władze miasta, powiatu, szpitala, przy udziale dzieci zamordowanych i kombatanów, posadziły dąb pamięci. Była to pierwsza i jedyna uroczystość poświęcona ofiarom akcji AB w naszym mieście. Po zaledwie dwóch latach władze chciały sprzedać budynek starego szpitala wraz ze stojącym obok kamieniem-pomnikiem i pamiątkowym dębem. No cóż, wszystko dziś jest na sprzedaż. Pamięć, choćby najświętsza też. Do ironii i chichotu historii brakowało, aby to wszystko kupił Deutsche Bank.

Tamta uroczystość odbyła się 21 maja 2010 roku uroczystą mszą świętą odprawioną w kościele Świętej Trójcy. Po niej orszak na czele z kombatanami, sztandarami, przedstawicielami władz miasta i powiatu wyruszył pod budynek starego szpitala. Tam uroczystie odsłonięto pomnik

poświęcony zamordowanemu intendentowi szpitala Feliksowi Pawłowskiemu i posadzono dąb pamięci.

Poniższy tekst został wygłoszony podczas mszy przez inicjatora uroczystości doktora Leszka Janeczka.

Dzisiaj po raz pierwszy w Krasnymstawie, po 70 latach, organizujemy uroczystość poświęconą zamordowanym obywatelom naszego miasta i powiatu, w ramach niemieckiej akcji AB. Akcji planowego zniszczenia polskiej inteligencji. Ofiarami jej byli ludzie prominentni, mający piękne karty w historii walk o niepodległość Polski, wybitni działacze społeczni, prawdopodobnie pierwsi konspiratorzy działający na rzecz odrodzenia kraju po przegranej niedawno wojnie. Dla Chełma i Krasnegostawu ta niemiecka akcja znalazła swój wspólny, tragiczny finał w lesie zwanym Kumową Doliną, w miejscowości Rudka koło Chełma w dniach 3-4 lipca 1940 roku.

Podpisując pakt Ribbentrop-Mołotow, Niemcy i sowiecka Rosja wydały wyrok na niepodległość państwa polskiego. Ale państwo to nie tylko ziemia czy terytorium, które wtedy podzielono między sobą, państwo to przede wszystkim ludzie. Ludzie, którzy w czasie ciężkiej próby nie pozwolą państwu zginąć, póki sami żyją. Dosłownie tak jak mówią słowa naszego hymnu. Ówczesi nasi wrogowie zdają sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie o życie tych obywateli im chodzi. Państwa nie ma, ale żyją ci, którzy mogą je odzyskać. Po dokonaniu rozbioru Polski, spotykają się w grudniu 1939 roku w Zakopanem tajne służby Niemiec i Rosji czyli SD i NKWD. Umawiają się, że będą współdziałać w zwalczaniu polskich warstw kierowniczych. Pierwszy z tego zadania wywiązuje się Stalin. W kwietniu i maju 1940 roku w różnych miejscach ZSRR zastrzelono 21 tysięcy polskich oficerów, prawników, lekarzy, naukowców. Symbolem tego mordu jest Katyń, któremu tego roku historia niespodziewanie dopisała tragiczny, współczesny rozdział.

Po Rosjanach, dosłownie kilka tygodni później, przystąpili do działania Niemcy. My, Polacy odbieramy to tak, jakby drugą odsłoną tej wspólnej umowy naszych wrogów, była właśnie akcja AB,

która dzisiaj, trzeba przyznać, została u nas zapomniana, stojąca w cieniu Katynia. Najlepszym dowodem są jej pierwsze obchody w Krasnymstawie, po 70 latach. Skróć jej nazwy, nie dla wszystkich zrozumiałe. AB pochodzi od niemieckiego jej określenia, trudnego dla nas do zapamiętania, *Ausserordentliche Befriedungsaktion*, co się tłumaczy - nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna.

Ta wielka polityka Berlina i Moskwy bardzo szybko dosięgła i małego Krasnegostawu. Po ustaniu działań wojennych, życie w naszym mieście zaczęło się normalizować, ograniczane niemieckimi restrykcjami. I nagle 5 czerwca 1940 r. wcześnie rano przyjeżdżają z Chełma funkcjonariusze gestapo. W ciągu kilku godzin, według przygotowanych list, dokonują aresztowań. Z samego Krasnegostawu zabierają 12 mężczyzn. Miasto jest w szoku. Dzień wcześniej podobnych aresztowań dokonano w Chełmie, o czym zapewne u nas nie wiadomo. Wykonują to ci sami funkcjonariusze chełmskiego gestapo z Hugo Raschendorferem na czele. Zatrzymanych zaprowadzają do więzienia, po południu wszystkich ładują na ciężarówkę i odwożą do Chełma, zamykając w tamtejszym więzieniu. Scena jak z klasycznego dramatu, którą pisze samo życie, rozgrywa się bodaj u pierwszego zatrzymanego Edwarda Bieńkowskiego, inspektora Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych. W mieszkaniu na piętrze, nad dzisiejszą pocztą, gwałtowne stukanie do drzwi budzi śpiącą rodzinę. Po otwarciu, gestapowcy wyczytują z kartki nazwisko Bieńkowski. Z sąsiedniego pokoju, 24-letni syn inspektora Jerzy pyta: - Ale który? Hitlerowcy chwilę się skonfundowali, nie mieli wpisanego imienia, pokazali nawet kartkę domownikom. Ich rozterka nie trwała długo. Kazali ubierać się obu. Matka i żona sparaliżowana strachem osunęła się po ścianie na podłogę. Miała niemieckie korzenie, mówiła po niemiecku, jednak nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Zimnej krwi nie straciła córka Irena Komorowska. Z sąsiedniego pokoju wyniosła na rękę kilkumiesięcznego syna i powiedziała, pokazując go z determinacją w głosie: - To też mężczyzna! Zaskoczony odwagą młodej matki, jeden z Niemców, czeskiego pochodzenia, odrzekł zaskoczony i jakby nieśmiało: - Ale on nie mówi.

Podobne sceny rozegrały się tego dnia w wielu krasnostawskich domach. Nauczyciel Mi-

chał Niewidziało miał wychodzić właśnie do pracy, do szkoły na ulicy Szkolnej. Został zaskoczony wejściem gestapowców. Pozwolono uklęknąć żonie, sześciorgu małym dzieciom, wspólnie pomodlić się i pożegnać. Ojciec całował główki niczego nieświadomych dzieci po raz ostatni. Posła Wincentego Kociuby nie zastano w domu, był gdzieś na mieście. Ostrzeżono go o wizycie. Wiedział już o zatrzymaniach. Nie skorzystał z rady, aby się ukryć. Powiedział, że nie zostawi kolegów, że trzeba z honorem. Aresztowany przed swoim domem. U zawodowego wojskowego, chorążego Karola Szczotki przeprowadzono szczegółową rewizję, krzyczano, okazywano wściekłość, zrywano nawet tylne części obrazów. Wyraźnie czegoś szukano. Uważano go zapewne za konspiratora. Nie mijano się z prawdą. Adwokata Pawła Wisza, przed wojną prezesa Ligi Kolonialnej i Morskiej w Krasnymstawie potraktowano bardzo brutalnie, zapewne za zaangażowanie patriotyczne, czemu dawał wyraz w wiecach poprzedzających wojnę. Po wójta gminy Krasnostaw Michała Wiśniewskiego posłano, aby stawiał się w gminie.

Zastanawiające jest, że Hans Frank dał znak do rozpoczęcia tej akcji 30.05.1940 w Krakowie. W Chełmie i Krasnymstawie najwcześniej zaczęto ją realizować, w Lublinie 10 dni później.

Przedstawmy sylwetki straconych krasnostawian, aresztowanych 5 czerwca 1940 roku:

Edward Bieńkowski, lat 47, urodzony 3.10.1893 r. w Ruszkowym Młynie koło Płocka, syn Mateusza i Weroniki. W Krasnymstawie od 1935, jako kierownik, inspektor Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych. Piłsudczyk. We wrześniu 1939, po ewakuacji urzędu starościńskiego na wschód, ze starostą Eugeniuszem Olejniczakowskim na czele, władze wojskowe powierzyły mu funkcję starosty krasnostawskiego. Funkcję tę sprawował przez kilka tygodni. Był również członkiem samorządnie zorganizowanej straży obywatelskiej w mieście. Żonaty, dwoje dzieci.

Jego poprzednik, starosta Olejniczakowski zabity został strzałem w tył głowy w Charkowie, 2 miesiące wcześniej. Tak więc stanowisko starosty krasnostawskiego w sposób dosłowny podzieliło los Polski.

Jerzy Witold Bieńkowski, lat 24. Urodzony 7.10.1916 we Włocławku. Syn Edwarda i Marii z domu Korpusińskiej. Student matematyki Uniwersytetu Warszawskiego (3 lata studiów). Walczył w wojnie obronnej 1939 roku. Kawaler. Aresztowany razem z ojcem.

Roman Jagielski, lat 40. Ur. w 1900 r. w Zamościu. Sierżant Wojska Polskiego. Zawodowy wojskowy, podoficer II Baonu Telegraficznego w Krasnymstawie. Aresztowany i osadzony na Zamku w Lublinie. Rozstrzelany 29.06.1940 w Lublinie, na Rurach Jezuickich w masowej egzekucji. Miał żonę, dwóch synów i córkę. Syn Zbigniew zginął w obozie Mauthausen w 1942 roku.

Wincenty Kociuba, lat 46. Działacz społeczny i polityczny. Ur. 30.03.1894 r. w Krasnymstawie, syn Wojciecha i Zofii. Żona Agnieszka z Zadragów. Uczestnik walk o niepodległość Polski. Poseł na sejm w latach 1930-1938. Prezes Zarządu Spółdzielni „Rolnik” w Krasnymstawie. Prezes Kasy Komunalnej. Prezes Okręgowego Związku Stowarzyszeń Spożywców. Członek Zarządu Banku Spółdzielczego. Członek Lubelskiej Izby Rolniczej. Długoletni członek Sejmiku Powiatowego, Wydziału i Rady Miasta. Organizator wielu inicjatyw społecznych na terenie miasta. Jeden z najbardziej zasłużonych społeczników w dziejach Krasnegostawu. W roku 1938 przez prezydenta RP zaliczony w poczet kawalerów Orderu Odrodzenia Polski. Prowadził gospodarstwo rolne, mieszkał na ulicy Kilińskiego 6. Pozostawił żonę i czworo dzieci. Na cmentarzu w Krasnymstawie znajduje się jego grób symboliczny.

Tadeusz Kowalewski, lat 40. Ur. 14.10.1899 r. w Warszawie. Inżynier drogowy. Pracownik drogownictwa, Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie. Żona Maria, córka Jolanta, po jego śmierci wyjechały do Warszawy. Mieszkał na ulicy Cichej 3.

Michał Niewidziajło, lat 41. Nauczyciel. Ur. 21.11.1898 r. w Stryjówce k. Zbaraża, syn Szymona i Magdaleny. Żona Janina z domu Greber. Sześcioro dzieci. Obrońca Lwowa w 1918 roku, w walkach przeciw Ukraińcom. W Krasnymstawie od 1926 roku. Przewodniczył obchodom śmierci

Piłsudskiego w Krasnymstawie. Członek Klubu Oficerów Rezerwy. Uczył w szkole powszechnej na Zakręciu, jak wówczas nazywano tę część miasta, już wtedy jak i dzisiaj znajdowała się ona na ulicy Szkolnej. Brał udział w wojnie obronnej 1939. Po powrocie z wojny rozpoczął pracę konspiracyjną. Prawdopodobnie pierwszy komendant na nasz powiat konspiracyjnych struktur. Brat Szymon zginął na Syberii. Brat Franciszek Niewidziajło na znak zaślubin Polski z morzem, w marcu 1945 rzucał pierścień w wodę pod Kołobrzegiem, stając się przez to powszechnie sławnym. Żona Janina, będąc już wdową z sześciorgiem dzieci, ukrywała 4-osobową rodzinę żydowską Binderów. Po wykryciu Żydów przez Niemców, aresztowana i osadzona w więzieniu w Krasnymstawie, dzieci oddano do sierocińca. Drzewa oliwnego nigdy jej nie posadzono. Śmierci uniknęła dzięki akcji uwolnienia więzienia przez BCH pod dowództwem Stanisława Sokołowskiego.

Wacław Piwowarski, lat 50. Ur. 16.09.1890 w Sanoku. Pracownik Starostwa Powiatowego, referatu bezpieczeństwa. Pozostawił żonę, syna i córkę. Zamieszkały w Krasnymstawie, ulica Główna 7.

Jan Rusek, lat 45. Ur. 13.06.1895 r. sekretarz „sejmiku” w Krasnymstawie lub sekretarz gminy Krasnystaw. Mieszkał w budynku gminy na ulicy Czerwonego Krzyża (dziś PCK) i tam aresztowany. Żonaty, osierocił córkę Danutę.

Karol Szczotka, lat 45. Ur. 29.01.1895 r. w Cięcinie k. Żywca, jako syn Tomasza i Anny z domu Romankiewicz. Legionista, żołnierz II Brygady Legionów, walczył na Węgrzech. Pozostawił dzieciny z czasów walk pisane z talentem literackim. Chorąży Wojska Polskiego, zawodowy wojskowy, ostatnie lata pracował w II Baonie Telegraficznym w Krasnymstawie. Po upadku kraju zajmował się kupiectwem. Miał żonę i dwoje dzieci. Mieszkał w Krasnymstawie na ulicy Poniatowskiego 23.

Stanisław Wilczkiewicz, lat 52. Ur. 8.05.1888 r. w Krasnymstawie, syn Józefa i Zofii. Żona Oktawia z domu Radecka (po śmierci rodziców wychowywał ją pisarz Bolesław Prus i jego małżonka Oktawia). Pozostawił córkę Jadwigę. Piłsudczyk. Oficer rezerwy. W Krasnymstawie pracował jako komor-

nik sądowy. Mieszkał na ulicy Poniatowskiego 13. Na cmentarzu w Krasnymstawie na grobie żony, symboliczna tablica jemu poświęcona.

Paweł Wisz, lat 56. Adwokat. Ur. 24.01.1884 w Głogowie Małopolskim, jako syn Mikołaja i Tekli. Był burmistrzem Głogowa Młp. Żona Stanisława. Dzieci własnych nie posiadali, wychowywali dwoje osieroconych z rodziny. Zamieszkały w Krasnymstawie, ul. Targowa 18, czyli Poniatowskiego. Jego dom istnieje do dziś.

Michał Wiśniewski, lat 44. Ur. 25.08.1896 r. w Małochwieju, syn Jana i Marianny. Wójt Gminy Krasnystaw. Aktywny działacz społeczny i polityczny. Żołnierz walk o niepodległość Polski. Wielokrotnie wymieniany w książce Franciszka Żurka „Powiat krasnostawski w walce o wolność”. Mieszkał w Małochwieju Małym. Miał żonę i dzieci.

Józef Czechowski, lat 40. Leśnik. Mieszkał w Kraśniczynie. Rozstrzelany w Kumowej Dolinie 10.06.1940 r.

W egzekucji 3 i 4 lipca 1940 roku z powiatu krasnostawskiego zginęli:

Leon Epsztejn. Ziemianin i właściciel dóbr Pilaszkowice. Odbił studia rolnicze za granicą, prawdopodobnie w Wiedniu. Miał żonę i dwóch synów.

Paweł Gutowski. Ziemianin. Posiadał majątek w Krasnem koło Rejowca Fabrycznego.

Stanisław Huskowski. Ziemianin. Mieszkał w Czernięcinie koło Turobina.

Józef Janisławski, lat ok. 50. Ziemianin, posiadał majątek ziemski w Średniej Wsi, koło Żółkiewki.

Kazimierz Janisławski, lat ok. 60. Ziemianin, właściciel majątku Wola Żółkiewska. Brat Józefa.

Feliks Filip Kaczorowski, lat 45. Magister farmacji. Ur. 26.05.1895 r. w Warszawie, syn Antoniego i Pauliny. Właściciel apteki w Łopienniku. Żona Anna, farmaceutka. Dwoje dzieci, syn Bohdan zginął jako żołnierz AK w 1944 roku pod Ujazdowem.

Zygmunt Paulewicz, lat 41. Inżynier, kierownik klinkierni w Izbicy. Współtwórca sukcesów sportowych drużyny piłkarskiej w Izbicy. Pozostawił żonę i syna.

Jako społeczność szpitalna - lekarze i dyrekcja, szczególnie wspominamy dzisiaj postać ówczesnego intendenta, dzisiaj powiedzielibyśmy kierownika lub dyrektora szpitala św. Franciszka w Krasnymstawie Feliksa Pawłowskiego.

Feliks Pawłowski, lat 51. Ur. 13.09.1889 roku w Zbereżni Bychawskiej, syn Antoniego i Marii. Mieszkał w Krasnymstawie, ulica Rynek 8 (pl. 3 Maja). Żona Eugenia z domu Mezer. Synowie Zygmunt i Zdzisław.

Nie znamy zbyt wielu faktów z jego życia, ale możemy odtworzyć ostatnie miesiące.

Dzisiaj przy powszechnie znanych trudnościach służby zdrowia, warto uświadomić sobie w jakich warunkach przyszło wtedy działać dzisiejszemu naszemu bohaterowi. Wrzesień i październik 1939 były chyba najtrudniejszymi w jego zawodowej karierze. Gdy wybuchła wojna, już w pierwszych jej dniach, przez nasz powiat przechodziła fala tysięcy uciekinierów z zachodnich terenów kraju, uciekających przed Niemcami. Im, atakowanym przez lotnictwo, rannym, też trzeba udzielać pomocy. Należy wiedzieć, że ówczesny byt szpitala opierał się na wpłatach za leczenie pobieranych po jego zakończeniu. Po kilku dniach trafiają ranni polscy żołnierze. Państwo przestało funkcjonować. Skąd brać zaopatrzenie, bandażę, lekarstwa? Po 20 dniach wojny na oddziały szpitalne przyjmowani są w dużej liczbie ranni żołnierze niemieccy. Ich rubryka o zapłacie pozostaje pusta. Niemcy i Polacy leżą pospół w tym samym szpitalu. Wszystkich trzeba leczyć. Wrogów też. Sytuacja zmienia się szybko i diametralnie. 27 września do Krasnegostawu wkracza Armia Czerwona, Niemcy, wycofując się, zabrali swoich. Teraz dyrekcja szpitala ma inny problem. Instynktownie stara się chronić polskich, rannych oficerów. Tak zostaje uratowany ranny porucznik Stanisław Puch, zastępca dowódcy w bitwie na Kolonii Zastawie, gdzie zginęło 86 polskich żołnierzy. W ewidencji szpitala zafalszowano dokumentację, pomniejszając jego faktyczny stopień wojskowy. Proszono o odprucie epoletów. Dzięki

temu zapewne nazwisko jego nie znalazło się na liście katyńskiej.

Na odchodnym wojska sowieckie obrabowują szpital z białizny i z tego wszystkiego, co uznali za przydatne. Nie tylko trzeba dalej leczyć w tych warunkach, ale kierownictwo szpitala podejmuje też inne ryzyko. Wtedy, kiedy Niemcy jako okupanci, tego zabronią, lecz także Żydów.

Być może za to wszystko, za człowieczeństwo, za cichy heroizm Feliks Pawłowski otrzymał zapłatę tam pod Chełmem. Aresztowany w Krasnymstawie 5 czerwca 1940 r., podzielił los aresztowanych w Chełmie i Krasnymstawie. Po miesiącu pobytu w więzieniu w Chełmie, karykaturalnym procesie, gdzie uniewinnienie nie było przewidziane, został wywieziony na jednej ciężarówce wraz z krasnostawskimi kolegami, o świcie lipcowego dnia do lasu Kumowa Dolina, gdzie czekały już doły śmierci. Serię z karabinów maszynowych przerwały ich życie. Gdy ich zakopywano, niektórzy jeszcze żyli. I tak mała część, krasnostawskiej Polski, podzieliła los reszty kraju, w sposób symboliczny i dosłowny.

Rodziny nie dostały żadnych zawiadomień, jak to robiono chociażby z Oświęcimia. Jedynie magistrat w Krasnymstawie, otrzymał polecenie wykreślenia z ewidencji nazwisk wszystkich aresztowanych, jako już nieżyjących. Wtedy dowiedziano się o ich losie. Ich ciała nie zaznały jednak długiego spokoju. W 1944 roku Niemcy, widząc zbliżającą się klęskę, odkopali ich groby, zwłoki spalili, a pozostałe kości zmielili w żelaznym młynie na pył. Zaraz po ucieczce Niemców, krasnostawskie rodziny udały się do tego miejsca szukać ciał swoich ojców, mężów i synów... rozpaczliwie szukając jakiegoś śladu. Nam współczesnym wydaje się być to jak koszmarny sen.

Po śmierci ojca, obaj synowie zostali aresztowani przez gestapo i zesłani do obozów. Zygmunt został szczęśliwie wydostany z Oświęcimia przez Szwedzki Czerwony Krzyż. Zdzisław zginął od bomby lotniczej 22.07.1944 w ostatnich dniach wojny.

Na dzisiejszej uroczystości mamy zaszczyt gościć członków rodzin Michała Niewidiały, Karola Szczotki, Wincentego Kociuby, Michała Wiśniewskiego. Oni to wszystko przeżyli. Trzeba to teraz powiedzieć, i dotyczy to wszystkich z rodzin ofiar Kumowej Doliny, że nie dość iż stracili w dramatyczny sposób swoich ojców, to po wojnie władza

komunistyczna te osierocone dzieci szykanowała, utrudniała im naukę, pomijała w awansach w pracy, wpisując w tajne rubryki kwestionariuszy, że są oni elementem niepewnym politycznie. W Polsce Ludowej przez całe życie skazani byli na bycie tymi gorszymi, tylko dlatego, że ich ojcowie mieli odwagę być prawymi Polakami i ludźmi. Niewinność ich śmierć, swój ból po ich stracie, musieli ukrywać.

Kumowa Dolina połączyła na całe życie doświadczone tym dramatem rodziny z Chełma i Krasnegostawu. Wspomnijmy dziś, że razem z krasnostawianami, rozstrzelanych zostało 36 osób z Chełma, w tym dwóch lekarzy. Przez te lata spotykali się wszyscy razem w Chełmie 3 lipca i 2 listopada, na uroczystościach kościelnych, ale tak jakby po cichu. Pomimo, że zbrodni dokonali Niemcy, polskie władze komunistyczne nie pozwalały rodzinom uroczyscie i oficjalnie czcić ofiary ich życia, za Polskę właśnie oddanego.

Dzisiaj, po 70 latach, poprzez tę skromną uroczystość, staramy się, choć w części naprawić niesprawiedliwość i krzywdę uczynioną ich pamięci.

Panie Starosto, Panie Burmistrzu, Pano-
wie Wójtowie. Zwracamy się do Was z apelem, aby wspólnie z władzami chełmskimi, zadbać o te krasnostawskie groby pod Chełmem. To byli nas wszystkich koledzy, w pracy i działaniu na rzecz dobra wspólnego, i za to właśnie odebrano im życie. W czasach PRL-u władza chciała ich przemilczeć, jako działaczy sanacyjnej Polski. Dla niej patriotci musieli mieć określony kolor. Teraz, w wolnej Polsce, trudno nam było dostrzec ich w mrokach niepamięci. Całkowicie nieznani, pozostały przy nich tylko rodziny, dla których pomimo tylu lat jest to wciąż rana, która boli, i nawet czas nie zdołał jej zabić. To miejsce, położone gdzieś w lesie Kumowej Doliny jest na polu zapomniane, nieoznaczone. A to jest mały krasnostawski Katyń. Wspólnie pamiętajmy.

Na miejscu straceń ofiar 3 i 4 lipca 1940 roku stoi betonowy pomnik z nazwiskami wszystkich straconych. Przy drodze z Chełma do Krasnegostawu, od niedawna stoi tablica informacyjna wskazująca na miejsce pamięci. Uroczyste msze święte na Górze Chełmskiej każdego roku gromadzą coraz mniejszą garstkę uczestników. Ich następców nie widać.

dr Leszek Janeczek

Artur Borzęcki

Klub Towarzyski - przedwojenna forma aktywności społecznej mieszkańców Izbicy



Przedwojenna Izbica powszechnie kojarzy się z żydowską ludnością zamieszkującą osadę. W miejscowości, w której przed 1939 r. ponad 90% mieszkańców stanowili Żydzi, właśnie w tej grupie etniczno-religijnej, choć niejednorodnej, widać było znaczną aktywność społeczną. Działały w Izbicy, często ze sobą konkurując, takie organizacje, jak np. Żydowskie Stowarzyszenie Oświatowo-Kulturalne „Tarbut”, Towarzystwo Dobroczynne „Gemilut Chesed” czy organizacja „Hechaluc-Pionier”. Społeczność osady narodowości polskiej, pomimo tego, że nieliczna, potrafiła również aktywnie działać w różnego rodzaju stowarzyszeniach. Społeczno-kulturalne potrzeby zaspokajano przy tym także w ramach organizacji, które, jak się mogło wydawać, służyć miały zupełnie innym celom. Takimi podmiotami, które dawały sposobność uczestnictwa w kulturze, była chociażby prężnie działająca izbicko-tarnogórska straż pożarna czy klinkiernia w swej, rzecz jasna, pozaprodukcyjnej działalności.

W połowie lat 30. XX w. grupka mieszkańców Izbicy postanowiła powołać zupełnie nowy, samoistny twór kulturalny. W lutym 1934 r. członkowie-założyciele tzw. Klubu Towarzyskiego w Izbicy wysłali za pośrednictwem Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie statut swego stowarzyszenia do akceptacji przez Urząd Wojewódzki w Lublinie. Zgodnie z projektem statutu, celem założenia Klubu miało być ułatwienie życia towarzyskiego na terenie Izbicy. Terenem działania Klubu Towarzyskiego miała być objęta gmina Tarnogóra, a siedzibą - osada Izbica. Przypomnieć w tym miejscu należy, że wspomniana gmina Tarnogóra powstała 1 kwietnia 1929 r. z wydzielenia z ówczesnej gminy Izbica miejscowości: Izbica Osada, Izbica Wieś oraz Tarnogóra Osada wraz z majątkiem Tarnogóra. Wpisowe dla członków ustalono na 1 zł, ponadto przewidziane były miesięczne składki, których niezapłacenie przez trzy kolejne miesiące skutkowało wykluczeniem z Klubu. Wstęp do lokalu

przewidziano tylko dla członków oraz ewentualnie dla osób przez tychże wprowadzonych. Co istotne, za osoby wprowadzone, w tym również za ich zachowanie, odpowiadać miała właśnie osoba wprowadzająca. Z kolei gdyby zachowanie samego członka Klubu miało być nietaktowne lub godzące w godność innych klubowiczów, taka osoba mogła być usunięta ze składu przez Sąd Koleżeński.

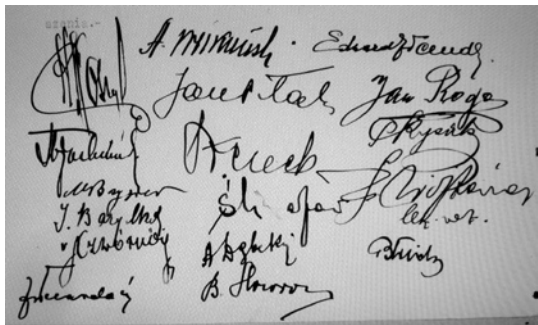
Statutowymi władzami stowarzyszenia były: Zarząd Klubu, Komisja Rewizyjna i Walne Zebranie Członków. Zarząd składał się z prezesa, skarbnika i sekretarza, wybierany był przez Walne Zebranie na półroczną kadencję. Podobnie na pół roku wybierano trzyosobowe składy Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego. W przypadku likwidacji Klubu majątek stowarzyszenia miał przechodzić na rzecz organizacji społecznej z terenu gminy Tarnogóra. Obdarowaną organizację wskazać miało Walne Zebranie w podjętej uchwale o likwidacji Klubu.

Pismem z 7 marca 1934 r. wystosowanym do UWL starosta krasnostawski, a w zasadzie występujący w jego imieniu zastępca Jan Bieńkowski, pozytywnie opiniował podanie o rejestrację Klubu, nie widząc przeszkód w tej kwestii. Urząd Wojewódzki w Lublinie miał jednak pewne zastrzeżenia formalne do statutu, uzależniając tym samym zgodę na rejestrację od naniesienia poprawek zgodnych z Ustawą o stowarzyszeniach. Do tych elementów, które UWL zalecał, zmienić lub dookreślić należało np. uregulowanie kwestii uzupełniania składu organów władzy stowarzyszenia, gdyby zaistniała taka potrzeba lub dokładniejsze określenie kompetencji tych organów. Z odpowiedzi Urzędu Wojewódzkiego wynikało, że po poprawkach w statucie rejestracja Klubu będzie tylko formalnością. Czy tak się stało? Tego jednostka archiwalna stanowiąca źródło niniejszego tekstu nie wyjaśnia.

Na pytanie, jaki był los powoływanego w 1934 r. izbickiego Klubu Towarzyskiego, trudno w tym momencie udzielić odpowiedzi. Być może pogłębiona kwerenda archiwalna mogłaby dać odpowiedź na takie pytanie, stając się tym samym jednym z postulatów badawczych dotyczących historii przedwojennej Izbicy.

Artur Borzęcki

Źródło: Archiwum Państwowe w Lublinie,
Urząd Wojewódzki Lubelski, Wydział Społeczno-
Polityczny, sygn. 935.



Podpisy członków-założycieli Klubu Towarzyskiego w Izbicy.
(APL, UWL, WSP, sygn. 935).

czorowski, dziadek Emilii, matki papieża, podobnie jak i jego ojciec Jan, z oddaniem zajmował się końmi, karmił i dbał o ich wygląd, być może była to nawet jego pasja, tak jak Zamoyskich, którzy słynęli z miłości do koni i w Magnuszewie mieli okazałą stadninę.

W 1831 roku Mikołaj Kaczorowski wraz z hrabią Andrzejem Zamoyskim przeniósł się z Magnuszewa do drugiego majątku Zamoyskich, do Michalowa, położonego nad Wieprzem, na Roztoczu, blisko Szczepieszyna. Tam pracował ponad 30 lat, sprawując różne funkcje, przede wszystkim był stangretem, później gajowym szlacheckim, karbowym, wreszcie w Zawadzie, blisko Michalowa pełnił funkcję zarządcy. Po wielu latach pracy przeszedł na emeryturę. Dorabiał jednak jeszcze sześć lat, dokąd nie dorosły dzieci, a miał ich jedenaścioro, czworo z pierwszego małżeństwa z Franciszką Kurzawą i po jej śmierci, siedmiu z Urszulą Malinowską. Później za hrabią Andrzejem Zamoyskim przeniósł się do Warszawy i podjął pracę stangreta przy pałacu Zamoyskich na Nowym Świecie i tam też zamieszkał. Niebawem, ze względu na wiek i stan zdrowia musiał zrezygnować z pracy i przeprowadził się do brata Tomasza Kaczorowskiego w centrum Warszawy, u którego zmarł, mając 75 lat w 1872 roku.

Z kolei jego syn Feliks Kaczorowski, ojciec Emilii, a dziadek papieża urodził się 29 czerwca 1849 roku w Michalowie. Był synem Mikołaja z drugiego małżeństwa z Urszulą Malinowską. Wzorem ojca zajmował się końmi oraz wyrabianiem i naprawianiem konnej uprzęży, a także siodła, a więc oprócz pracy stangreta był rymarzem i siodlarzem. Związał się także z hrabią Andrzejem Zamoyskim. Jakiś czas po 20. urodzinach, wyjechał ze swoim chlebodawcą do Krakowa, gdzie przebywał 6 lat, a gdy hrabia Zamoyski zmarł w 1874 r., Feliks Kaczorowski udał się do Białej i tam się ożenił z córką szewca Marią Scholz, a później z powrotem przeniósł się do Krakowa. W Krakowie założył zakład, w którym wyrabiał i naprawiał uprzęż dla koni oraz wykonywał i naprawiał wytworne powozy, podobne do tych, którymi niegdyś jego ojciec Mikołaj, a później on sam powoził w Michalowie i Klemensowie hrabiów Zamoyskich.

Feliks Kaczorowski miał jedenaścioro dzieci, dziewięcioro z pierwszą żoną Marią Scholz,

Irena Iwańczyk



Rodzina Papieża

Kanonizacja papieża Jana Pawła II odbyła się 26 kwietnia 2014 roku w Watykanie i była ważnym wyzwaniem do napisania artykułu o rodzinie Karola Wojtyły. Tego dnia cały chrześcijański świat dziękował Polsce, że wydała wielkiego człowieka - Nauczyciela Świata, który słowem i czynem wpływał na losy narodów. Budował mosty między religiami i narodami, bronił godności człowieka, uczył wiary i życia. 27 lat pontyfikatu zakończyło się zasłużoną kanonizacją - od tej chwili Jan Paweł II rozpoczął życie świętego.

Polacy i przedstawiciele chrześcijańskich narodów świata, którzy przybyli do Watykanu, z wdzięcznością wzięli udział w kanonizacji największego Słowianina i Polaka, mając nadzieję, że jego iskra i nauka pozostanie we wszystkich sercach na zawsze. W okresie dziękczynienia za kanonizację warto przypomnieć dzieje rodu Karola Wojtyły.

Rodzina Kaczorowskich ze strony matki pochodziła z Magnuszewa na Mazowszu, gdzie pracowała w posiadłości Zamoyskich. Mikołaj Ka-

a po jej śmierci, czworo dzieci z drugą żoną Joanną Anton. Ciągłe wykonywał swój zawód, a w pracach pomagał mu syn Robert. Rodzina żyła na wysokim poziomie. Dzieci chodziły do szkoły. Biegłe posługiwały się językiem polskim i niemieckim.

Emilia Kaczorowska, matka papieża, przyszła na świat 23 marca 1884 roku w Krakowie, jako córka Marii z domu Scholz. Na chrzcie nadano jej imiona Emilia Anna. Naukę rozpoczęła w 1890 roku w tzw. szkole głównej, gdzie program był poszerzony o naukę łaciny, geografii, geometrii i rysunków. Być może uczyła się u Sióstr Córki Bożej Miłości przy ulicy Biskupiej. Zapewne po niej ukończyła szkołę wydziałową, gdzie zdobyła dobre wykształcenie i przygotowanie do życia, co pomogło jej znosić przeciwności losu w dorosłym wieku. Emilia wychowywała się w wielodzietnej katolickiej rodzinie. Jej dzieciństwo było bez trosk i szczęśliwe, ale nie brakowało chwil smutnych i trudnych. Gdy miała 2 lata, zmarła jej roczna siostra Wiktoria. Kiedy miała 8 lat, w 1892 roku zmarł jej jedenaastoletni starszy brat Feliks. Mając 13 lat zmierzyła się z największym cierpieniem, po długiej chorobie zmarła jej matka Maria Kaczorowska, która miała zaledwie 45 lat. Urodziła 9 dzieci, z których w chwili jej śmierci dwoje nie żyło. Dla Emilii kończył się świat dzieciństwa, musiała zająć się młodszym rodzeństwem. Nielatwo też było pogodzić się, że wkrótce ojciec ożenił się z Joanną Anton, pochodzącą z Białej, 16 lat młodszą od matki Emilii. Macocha urodziła jeszcze czworo dzieci, jednego chłopca i trzy dziewczynki.



Emilia Kaczorowska z rodzeństwem: od lewej siedzą: Anna, Emilia, Helena, Olga, Rudolfinia. Stoją od lewej: Robert, Maria.

Feliks Kaczorowski (dziadek papieża) intensywnie pracował, więc trzeba było opiekować się rodzeństwem. Przedwczesna śmierć często zaglądała do tej rodziny. Gdy Emilia miała 18 lat, zmarła jej starsza zamężna dwudziestoletnia siostra Olga, trzy lata później - 27-letnia Helena - żona Józefa Kuczmierczyka, który później został ojcem chrzestnym Karola Wojtyły (przyszłego papieża). Emilia, mając 27 lat na zawsze pożegnała ojca Feliksa, który zmarł, mając 59 lat. Śmierć młodych ludzi miała wielki wpływ na osobowość dziewczyny, a także na jej stosunek do życia i na hierarchię wartości. W rodzinie Kaczorowskich kobiety umierały przedwcześnie, były kruche, chorowite, choć miały wielką siłę ducha i wewnętrzną moc. Były po to, by dawać życie, jak matka Emilii.

Nikt nie wie gdzie Emilia poznała swojego przyszłego męża. Może w Białej, bo stamtąd wywodziły się rodziny młodej pary, a być może w Krakowie. Emilia jako mała dziewczynka, odwiedzała swoich krewnych w Białej, a nawet jako mężatka spodziewająca się dziecka. Tam w 1916 roku urodziła córkę Olę.

Mąż Emilii, Karol Wojtyła spędził tu dzieciństwo i młodość. Wprawdzie urodził się w pobliskim Lipniku, ale te dwie miejscowości stykały się ze sobą, więc połączyły się i przyjęły nazwę Biała Krakowska, a w 1951 zostały zespolone z położonym po drugiej stronie rzeki Białej, Bielskiem, tworząc Bielsko-Białą. Obecnie Lipnik jest dzielnicą Bielska-Białej.

Przodkowie Karola Wojtyły seniora wywodziли się z Czańca koło Kęt. Jego ojciec Maciej nie pozostał na roli lecz nauczył się krawiectwa i przybył do Lipnika, gdzie było łatwiej o pracę. Od 1890 roku należał do Cechu Krawców, Kuśnierzy i Kapeluszników w Białej. W 1879 roku urodził mu się syn Karol.

Losy Emilii i jej męża Karola były podobne. Oboje w dzieciństwie stracili matki. Anna Wojtyła, matka Karola umarła, gdy Karol miał zaledwie dwa lata. Maciej Wojtyła po śmierci żony z synem Karolem przeniósł się do Białej. Ożenił się w 1882 roku z Anną Newald z Białej, ale ona po niecałych trzech latach także zmarła, w 1889 r. poślubił Marię Zalewską. Ich córka Stefania urodziła się w 1891 r. w Białej. Od tej chwili Karol miał przyrodną siostrę.

W 1885 r. Karol zaczął chodzić do szkoły w Białej, gdzie ukończył 5 klas, a następnie rozpoczął naukę w niemieckim gimnazjum państwowym w Bielsku. Jako czternastolatek, po ukończeniu trzeciej klasy przerwał naukę i rozpoczął pracę w zakładzie krawieckim swego ojca, mając zamiar pozostać w tym zawodzie, a gdy ukończył 21 lat, nadszedł obowiązek służby wojskowej na terenie zaboru austriackiego. Każdy żołnierz miał służyć w pułku stacjonującym najbliżej miejsca zamieszkania. Karol podlegał komisji wojskowej w Wadowicach i tam musiał się stawić. Otrzymał przydział do 56. Pułku Piechoty, tzw. Wadowickiego, i w październiku 1900 roku rozpoczął służbę. Od tam koszar w Wadowicach były jego domem, tylko na przepustki przyjeżdżał do ojca i macochy do Białej. Po roku został przeniesiony na dwa lata do Lwowa. Po ukończeniu trzyletniej służby postanowił pozostać na stałe w wojsku. Przez rok przebywał w koszarach w Wadowicach, a od stycznia 1905 r. rozpoczął służbę w adiutanturze swego pułku w Krakowie.

Emilia Kaczorowska - piękna, szczupła o ciemnych oczach i bujnych włosach, zdobyła nienaganne maniery, ubierała się gustownie i wytwornie. Cechowała ją wysoka kultura i uosobienie kobiecości. Całe młode życie spędziła w Krakowie. Mieszkała z ojcem, macochą i rodzeństwem niedaleko Wawelu. On - Karol Wojtyła - przystojny mężczyzna, starszy od niej o pięć lat, wojskowy z trzema gwiazdkami, podoficer, zawsze w mundurze, pracował w koszarach Franciszka Józefa.



Emilia Wojtyła z synem Edmundem.

Oboje pochodzili z rodzin o silnej tradycji katolickiej, wiara była ważną częścią życia. Ślub wzięli w kościele garnizonowym 10 lutego 1906 roku. Wynajęli mieszkanie we wsi Krowodrza, która w 1909 roku została jako dzielnica włączona do Krakowa. 27 sierpnia 1906 roku urodził się ich syn Edmund. Niebawem znaleźli dogodniejsze mieszkanie w Krakowie przy ulicy Kościuszki. Szczęśliwa Emilia z radością przyjęła obowiązki matki, żony i gospodyni. Syn rósł szybko. Karol Wojtyła miał w wojsku bardzo dobrą opinię: „sumienny, pracowity, skromny, biegle porozumiewa się w języku niemieckim, biegle pisze na maszynie, ma staranne pismo odręczne. Pod każdym względem poprawny, godny zaufania i każdego wyróżnienia, doskonale pełni pracę kancelaryjną”. W 1908 r. otrzymał Krzyż Jubileuszowy, ustanowiony przez cesarza Franciszka Józefa z okazji sześćdziesięciolecia jego wstąpienia na tron.



Emilia i Karol Wojtyłowie z synem Edmundem, Kraków, 1908 r.

W 1912 r., gdy wybuchła wojna na Bałkanach przeciwko Turcji, wojska austrowęgierskie zostały postawione w stan gotowości bojowej. Cesarz Franciszek Józef podjął decyzję o mobilizacji. Karol Wojtyła brał w niej udział - otrzymał medal pamiątkowy, ale zarazem rozpoczął starania o przeniesienie do służby urzędniczej. Służył w wojsku 12 lat, a od 9 lat jako żołnierz zawodowy. W 1912 roku otrzymał „Odznakę za Służbę dla Podoficerów i Żołnierzy”, również otrzymał znakomite świadectwo o przebiegu służby, a oto jego fragment: „Karol Wojtyła podoficer prawego charakteru, poważny, dobrze ułożony, skromny, dbały o honor z silnie rozwiniętym poczuciem obo-

wiązków, bardzo łagodny i niezmordowanie pracowity". Jego żona czuła dumę, że ma tak cenionego męża, ale wkrótce nastąpiły poważne zmiany w życiu Wojtyłów, musieli opuścić Kraków i przenieść się do Wadowic.

Miasto to należało do różnych ośrodków wojskowych w Galicji, znajdowały się tam koszary kawalerii, szpital wojskowy, a nawet kościół garnizonowy. Częste defilady wojskowe były czymś normalnym. Tu Karol Wojtyła rozpoczął karierę wojskowego urzędnika. Zaliczony do korpusu oficerskiego, otrzymał podwyżkę pensji, choć nie była zbyt wysoka. Atmosfera Wadowic w pewnym sensie mogła przypominać Emilii klimat Krakowa, tutaj także osiedlali się artyści, mieszkali inteligenci: lekarze, urzędnicy państwowi, nauczyciele, prawnicy. Było też dużo kościołów, bibliotek, rozwijała się kultura, odbywały się koncerty i przedstawienia teatralne.

28 czerwca 1914 r. obiegała świat niepokojąca wieść: arcyksiążę Franciszek Ferdynand, austriacki następca tronu został zastrzelony w Sarajewie w Bośni. Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. Cesarz Franciszek Józef ogłosił mobilizację. 6 sierpnia 1914 r. Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. Galicyjskie pułki piechoty wykrwawione w wielu bitwach zaczęły się wycofywać. A ponieważ front zbliżał się do Wadowic, Karol Wojtyła otrzymał rozkaz ewakuacji do Hranic na Morawach. Na szczęście miał prawo zabrać ze sobą rodzinę. Hranice były położone 150 km od Wadowic.

Emilia jeszcze nie zdążyła zadomowić się w Wadowicach, gdy już musiała je opuszczać. Wyjazd zarówno dla niej jak i małego 8-letniego Edmunda, ucznia drugiej klasy szkoły podstawowej, był wielkim przeżyciem. Pobyt rodziny w Hranicach trwał 11 miesięcy. Karol Wojtyła podjął pracę kancelaryjną i kontynuował ją, podczas walk organizował zaplecze dla swych oddziałów walczących na froncie.

Emilia w Hranicach zetknęła się z realizmem wojny, z okrucieństwem, cierpieniem i śmiercią, gdyż z frontu przywożono rannych i chorych do dwu szpitali wojskowych, i chociaż nie wszystko mogła zobaczyć na własne oczy, na bieżąco wiedziała o wszystkim, co się dzieje od męża. Był to dla niej bardzo trudny okres. Bała się o los

najbliższych syna i męża, zwłaszcza, że mogli zarazić się rozprzestrzeniającą się w mieście chorobą zakaźną. Żołnierze masowo umierali na tyfus. Brakowało niezbędnej higieny. Narastało poczucie zagrożenia, bezsilności i niemocy.

Po bitwie pod Gorlicami, front wojny z Rosją zaczynał się cofać, przesuwiał się na wschód. W połowie 1915 roku Wojtyłowie powrócili do Wadowic, gdzie Karol kontynuował służbę kancelaryjną w 56. Pułku Piechoty jako wojskowy asystent ewidencyjny. Tę funkcję pełnił do końca służby w cesarsko-królewskiej armii austriackiej czyli do końca października 1918 roku. Wiadomo jednak, że w czasie I wojny światowej właśnie w Wadowicach dostał się pod ostrzał artyleryjski Rosjan. Za odwagę i wyjątkową subordynację otrzymał nawet austriacki Żelazny Krzyż Zasługi z Koroną 3 klasy.

Od 1 września 1915 roku Edmund znów mógł się uczyć w swojej szkole, teraz poszedł już do czwartej klasy, a jego matka Emilia spodziewała się drugiego dziecka. Karol w poczuciu bezpieczeństwa odwiózł ją do rodziny w Białej. 7 lipca 1916 roku urodziła się dziewczynka. Dziecko nie mogło oddychać, zachłysnęło się wodami płodowymi, Emilia ochrzciła je wodą, bez księdza i nadała córce imiona Olga Maria. Po szesnastu godzinach niemowlę zmarło na rękach zbolętej matki. Żywej córeczki nie widział nawet ojciec, który przyjechał następnego dnia. Po trzech dniach dziecko zostało pochowane na cmentarzu w Białej. Po pogrzebie Emilia z Karolem musieli wrócić do Wadowic, gdzie czekał na nich Edmund. Emilia była w szoku. Bolała nad utratą córki. Dużo czasu poświęcała Edmundowi, który skończył szkołę powszechną. Powoli wracała do prozy życia. Patrzyła w przyszłość i częściej niż zwykle chodziła do kościoła.

Wojtyłowie długo się zastanawiali jaką wybrać szkołę dla Edmunda, a nie mieli zbyt dużo środków na jego kształcenie. Wreszcie zdecydowali, że pójdzie do szkoły wojskowej w Enns, która mniej obciąży finansowo rodzinę. W szkole niższej nauka trwała 4 lata, a potem wojskowa wyższa szkoła realna, następnie po 3 latach matura, a po maturze najzdolniejszych kierowano do szkoły kadetów. W szkołach wojskowych nawet tych niższych, uczniowie kształcili się na koszt państwa. Emilia tęskniła za synem, martwiła się o niego,

czasem odwiedzała go w Górnej Austrii; z Wadowic jechała do Wiednia, a potem do Linzu i jeszcze kilkanaście kilometrów do Enns.

Zmiany polityczne, takie jak klęska Niemiec, rozpad Austro-Węgier, rewolucja w Rosji i przede wszystkim powstanie niepodległej Polski 11 listopada 1918 r. wpłynęły na decyzję Emilii i Karola, którzy postanowili, by Edmund po skończeniu II klasy niższej szkoły wojskowej w Enns powrócić do Wadowic, gdzie ukończy szkołę i zda maturę, i tak też się stało.

W 1918 r. Polska pojawiła się znów na mapie świata. Gdy 31 X 1918 r. Karol Wojtyła skończył służbę w wojsku austriackim, 1 listopada zaczął ją w wojsku polskim. 56. Pułk Piechoty, w którym służył, przekształcił się w 12. Pułk Piechoty Ziemi Wadowickiej. Miejsce stacjonowania pozostało to samo, godło austriackie zastąpiono polskim orłem. Zatem mąż Emilii został oficerem nowej armii polskiej.

Wojtyłowie postanowili zmienić mieszkanie na większe, przy ulicy Rynek 2, było to ściśle centrum, serce miasta, dziesięć minut do koszar, kamienica z 1800 roku, własność żydowskiego kupca Chaima Bałamutha. Mieszkanie na pierwszym piętrze - 50 m² powierzchni: salon, sypialnia, kuchnia, urządzone ze smakiem i zadbane. Znajdowało się blisko sklepów i kościoła. Specyficzny klimat małomiasteczkowy tworzyli straganiarze, malarze, szewcy, stolarze, muzycy uliczni, a w czwartki - chłopskie targi. W Krakowie mieszkało wówczas ponad 2 tysiące Żydów.

Życie rodziny Wojtyłów zaczęło się stabilizować. Nareszcie Emilia miała dom, o jakim marzyła, oazę ciszy i spokoju. Dość szybko nawiązała znajomość z sąsiadami, ale zawsze zachowywała dystans. Dom Wojtyłów nie był zbyt otwarty, nie zapraszali gości, nie wydawali przyjęć. Emilia, żona wojskowego, uchodziła w Wadowicach za damę, kobietę dystygowaną, wykształconą, mającą swój styl.

Jesienią 1919 roku poczuła, że spodziewa się następnego dziecka. Na tę wiadomość czekała długo, tym bardziej, że miała już 36 lat i sił raczej ubywało, a tak bardzo chciała, by Edmund miał rodzeństwo. Tą radosną wiadomością podzieliła się z mężem i synem. Była szczęśliwa, lecz radość krótko trwała. Od znanego ginekologa i położnika wadowickiego doktora Jana Moskały, Emilia usły-

szała diagnozę, że ciąża jest zagrożona, że jej nie donosi i nie ma szans urodzić żywego dziecka. A jeśli dziecko się urodzi, to kosztem życia matki. Aby więc ratować siebie, Emilia powinna usunąć poczęte już dziecko.

Emilię targaly sprzeczne emocje, życie za życie, jedno ma być ważniejsze niż drugie. Każde ma przecież taką samą wartość i każde jest święte, dane człowiekowi przez Boga, takie zasady wyniosła z domu. Wiarę traktowała poważnie. Rozumiała, że albo ją przełoży na życie i zastosuje w praktyce, albo nie powinna mówić, że jest wierząca. Ale z drugiej strony, żał jej było syna Edmunda, który miał dopiero 13 lat, któremu była potrzebna. A jeśli oboje - nowo narodzone dziecko i ona nie przeżyją? Jak zostawić Edmunda i Karola samych, przecież tyle jeszcze z mężem było wspólnych planów, a Edmund zdrowo rósł, dobrze się uczył. Miała z niego pociechę. Chciała żyć, tak bardzo chciała żyć. Po rozmowie z mężem, Emilia zdecydowała, że urodzi dziecko. Cokolwiek się stanie, znaczy, że taka jest wola Boża.

Karol sprowadził lekarza wojskowego Samuela Tauba, aby poprowadził ciążę Emilii i za dbał, aby żona podreperowała zdrowie i wzmocniła organizm. Doktor Taub podjął się tego zadania na prośbę małżonków i na ich odpowiedzialność. Emilia zdała się na zamysł Stwórcy. Była gotowa do ofiary dla dziecka, które nosiła w sobie, ale też bała się, że mogą to być ostatnie miesiące jej życia, zwłaszcza, że tę ciążę wyjątkowo źle znosiła, często musiała leżeć i ubywało jej sił. Wszelkimi siłami woli dotrwała do dziewiątego miesiąca ciąży. Była skoncentrowana i silna psychicznie, pomagała jej w tym głęboka wiara, że to Bóg kieruje jej życiem. Gdy zbliżał się czas porodu, Karol sprowadził położną, a z Edmundem poszedł do kościoła.

Drugi syn Emilii i Karola urodził się 18 maja 1920 roku. Tego dnia temperatura w Wadowicach dochodziła do 30 stopni. Zbliżała się godz. 17, gdy urodził się syn, w tym samym czasie rozległo się bicie kościelnego dzwonu, jako zapowiedź rozpoczęcia nabożeństwa majowego, a może to znak od Boga, że narodził się wielki człowiek. Chłopiec był wyjątkowo duży, silny, zdrowy i płakał tak głośno, jakby chciał przekrzyknąć ludzi śpiewających litanię w pobliskim kościele Najświętszej Marii Panny. Matka czuła radość, wzruszenie i szczęście, że

zdarzył się cud, bo i dziecko, i ona żyją i do tego chłopiec jest duży i mocny. Niemożliwe stało się możliwe.

Gdy Karol z Edmundem wrócili z kościoła, dziecko już spało. Podobieństwo do matki było oczywiste. Rodzice nadali dziecku imiona Karol Józef. Miesiąc po narodzinach, 20 czerwca kapelan wojskowy ksiądz Franciszek Żak, zaprzyjaźniony z ojcem ochrzcił syna. Rodzicami chrzestnymi byli siostra matki Maria Anna Wiadowska oraz Józef Kuczmierczyk, szwagier Emilii. W tym samym czasie, gdy urodził się Karol Wojtyła Warszawa witała marszałka Józefa Piłsudskiego, zdobywcę Kijowa, Polacy odparli Armię Czerwoną idącą na Warszawę, zmieniając bieg historii.

Emilia, jakby odmłodziła, nabrała sił i ozdrowiała. Niemal oszałała na punkcie tego dziecka. Okazywała mu nadzwyczajną troskę i czułość, kołysała, nosiła na rękach, śpiewała, nazywała syna Loluś, a gdy był starszy Lolek, pomimo wielu obowiązków domowych, jak opieka nad synami, mężem i chorym teściem Maciejem, rozpieszczała Karola, był jej oczkiem w głowie. Kiedyś nawet powiedziała z wewnętrznym przekonaniem i pewnością w głosie „To dziecko będzie kimś wielkim”, przekonanie to podzieliali jej mąż i starszy syn. Matczyna intuicja nie zawiodła. Gdy Lolek miał 3 lata, w 1923 roku zmarł jego dziadek Maciej Wojtyła, który ostatnie lata życia spędził u syna Karola. Pochowano go w Białej, przy żonie Marii Zalewskiej.

Od tej pory coraz częściej Emilia źle się czuła. Właściwie już od urodzenia trzeciego dziecka nie było z nią dobrze, jej życie było naznaczone chorobami, coraz większym cierpieniem, nieustanną słabością i ciężką pracą w domu. Mąż musiał pracować zawodowo, a ona organizowała zajęcia, tak by domownicy nie odczuwali jej niedyspozycji, dom był zadbane, obiad ugotowany, a dzieci otoczone opieką. Nigdy nie popadała w depresję ani zniechęcenie, nie narzekała na swój los. Kiedy była potrzeba pomocy, pomagały jej sąsiadki Helena Szczepańska i Zofia Pudło. A trzeba też przyznać, że mąż Emilii oddany był żonie i dzieciom, nigdzie nie chodził po pracy, nie prowadził życia towarzyskiego, każdą wolną chwilę spędzał w domu. Pomagał też w lekcjach Edmundowi, który uczył się już w gimnazjum. Lolek dość wcześniej

chodził do przedszkola, prowadzonego przez siostry nazaretanki. Ojciec go zaprowadzał, a matka po obiedzie odbierała.

Emilia wychowywała synów w duchu wiary, nauczyła pierwszej modlitwy, czytała synom Pismo Święte. Marzyła, by jeden z nich został księdzem, a drugi lekarzem. Jeden miał leczyć dusze, drugi ciało. Coraz bardziej chora, nadal prowadziła dom, szyła na maszynie, robiła na drutach swetry, szaliki, gotowała, prała, piekła ciasto. W 1924 roku Edmund zdał maturę z postępowaniem celującym. Wybrał studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Studia były dość drogie, a poza tym trzeba było płacić za mieszkanie i utrzymanie Edmunda.

Odtąd Emilia miała do opieki tylko Lolka. Kiedy w 1926 roku skończył 6 lat, rodzice posłali go do męskiej siedmioklasowej Szkoły Powszechnej im. Marcina Wadowity w Wadowicach. Edmund teraz widywał rzadziej, przyjeżdżał do domu zazwyczaj tylko w niedziele. Jej postawa wobec synów wskazuje, że nie wychowywała ich pod kloszem. Miała świadomość, że dzieci nie są dla niej, tylko dla świata, bo przecież i lekarz, i ksiądz całkowicie oddają się na służbę innym ludziom. Miała też pełną świadomość, że los swych dzieci ostatecznie musi zawierzyć Bożej opiece.

W 1927 roku choroba mocno dawała się jej we znaki, martwiła się, że jest taka bezsilna, cierpiała na bezwład nóg, wyglądało, że ma chore serce i reumatyzm, coś było też z kręgosłupem i z wątrobą. Mąż woził ją do lekarzy do Krakowa, a w słoneczne dni wynosił żonę na leżaku, na balkon. Zajęta była wtedy szyciem lub cerowaniem. Obraz chorej matki zachował na zawsze jej syn, późniejszy papież Jan Paweł II.

W 1927 roku było z nią na tyle źle, że Karol postanowił przejść na wcześniejszą emeryturę wojskową. Musiał na stałe zaopiekować się żoną i siedmioletnim synem. Emilia nie mogła podolać najprostszym obowiązkom, była zdana na pomoc innych. Trudność sprawiała jej nawet takie podstawowe czynności jak mycie czy ubieranie, cierpliwie to jednak znosiła. Pokora stanowiła jej drugą naturę. Bywało wiele takich dni, które musiała spędzać w łóżku. Niekiedy nawet całymi tygodniami leżała w zamkniętym pokoju i nie chciała, aby Lolek patrzył na jej cierpienie.

Karol Wojtyła przejął zarządzanie gospodarstwem domowym, wychowywał syna, uczył niemieckiego, pływania, wędrował w góry. Czasem Edmund dołączał do nich, rozgrywał z bratem mecze piłki nożnej, grali w ping-ponga. Emilia cieszyła się, że bracia mają ze sobą dobry kontakt. Mimo choroby, nie zajmowała ich sobą. Starszy syn, uzdolniony student medycyny, interesował się zdrowiem matki i angażował w przebieg leczenia, udzielał porad, konsultował się z lekarzami, co matce dawało nadzieję na wyzdrowienie. Na początku 1929 roku stan zdrowia Emilii pogorszył się na tyle, że nie miała siły zajmować się Lolkiem i przygotowaniem go do Pierwszej Komunii Świętej, ale w każdej sytuacji godziła się z wolą Bożą, bez buntu i narzekania.

I przyszedł dzień, gdy w domu Wojtyłów zanościło się na najgorsze; na przygotowanie Emilii do drogi najdłuższej i najważniejszej, na drugą stronę istnienia, wszystko według starego rytmu, odwiecznego naturalnego porządku, bo jeśli jest życie, to musi być i śmierć. Innej możliwości nie ma. Przy chorej Emilii czuwał mąż. Wyprawił Lolka do szkoły, sam nie wychodził z domu. Słabła z godziny na godzinę, ale wciąż była przytomna. Poprosiła Karola, by sprowadził do niej księdza z Komunią Świętą, chciała też przyjąć sakrament namaszczenia chorych. Tak też się stało. Była spokojna, milcząca. Gaśla, mając świadomość, że jednoczy się z męką Chrystusa i przygotowuje na przejście do wieczności.

Mąż trwał przy niej do końca, odprowadzał ją w tę najważniejszą podróż. Odchodziła w domu, wśród najbliższych, mając przy sobie ukochaną osobę. Kres ziemskiego życia 45-letniej Emilii nastąpił 13 kwietnia 1929 roku. Odeszła cicho i spokojnie, tak jak żyła. W akcie zgonu odnotowano przyczynę śmierci: zapalenie mięśnia sercowego i niewydolność nerek. Najprawdopodobniej Emilia miała wrodzoną chorobę serca, z niej brały się wszystkie dolegliwości, które nasiliły się po narodzeniu Lolka. Dlaczego tak się stało? Dlaczego zmarła 45-letnia Emilia? Po co ona potrzebna Panu Bogu w niebie, skoro w domu został jej 9-letni synek, który tak bardzo potrzebował jeszcze matki? Wtedy to było takie niepojęte i nielogiczne.

Dopiero po prawie stu latach, kiedy to osierocone dziecko jest najbardziej znanym świętym

na świecie, można dopatrywać się głębszego sensu przedwczesnej niewątpliwie śmierci. Choć po ludzku stanowi ona tajemnicę, wpisuje się w Boży plan wobec przyszłego Papieża.

Dla Karola Wojtyły śmierć żony była nad wyraz bolesnym przeżyciem. Od tej pory już nic nie będzie takie samo. Zostawił zmarłą żonę i czym prędzej udał się do szkoły, w której uczył się syn. Ale ten mężczyzna, wojskowy nie znalazł w sobie tyle sił, by poinformować Lolka o odejściu jego mamy, poprosił więc nauczycielkę syna, by delikatnie, po kobiecemu, przekazała chłopcu tę tragiczną wieść. Edmunda powiadomił osobiście. Syn był już dorosły, pomagał więc ojcu w załatwianiu pogrzebu i ułożeniu nekrologu.

Gdy nauczycielka zawiadomiła Lolka, że jego mama nie żyje, on natychmiast udał się do domu. Podszedł do matki i pocałował ją w policzek, poczuł chłód. Rozpłakał się, Emilia leżała jeszcze trzy dni w domu, najpierw w łóżku, a potem w trumnie ubrana w długą suknię i pantofle. Przychodzili sąsiedzi, przynosili kwiaty, modlili się. Także Lolek z ojcem i Edmundem odmawiali na głos modlitwy. Przy zapalanej gromnicy odmawiali różaniec i czuwali przy zmarłej. Pragnęli ją jak najpiękniej pożegnać, rozmyślając o jej życiu, które tak szybko przemknęło.

We wtorek, 16 kwietnia o świcie trumna z ciałem Emilii została przeniesiona do parafialnego kościoła. Tuż za nią szli mąż i dwaj synowie. Biły głośno dzwony kościelne, wschodziło słońce. Po mszy świętej rodzina przewiozła Emilię do jej ukochanego Krakowa, w którym się urodziła i wychowała. Tam spoczęła w rodzinnym grobie Kaczorowskich obok rodziców. Tam też odwiedzał ją młodszy syn już jako papież podczas wizyt w Polsce, po raz ostatni w 2002 r. Dziś ciągle płoną tam znicze i leżą świeże kwiaty.

Po pogrzebie Karol z synami wrócił do Wadowic. Dom bez matki był smutny i pusty. Karol ukoił ból modlitwą. Następnego dnia zabrał Lolka i Edmunda na pielgrzymkę do sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej, by tam stanąć przed cudownym obrazem Matki Bożej. Gdy zabrakło synom matki, ojciec wskazywał im inną Matkę - Maryję. Edmund wkrótce wrócił do Krakowa, a Lolek z ojcem często chodził do kościoła, by w modlitwie ukoić ból. Boleśnie odczuwali jej stratę.

Po pogrzebie Lolek musiał intensywnie przygotowywać się do Pierwszej Komunii, która odbyła się 25 maja 1929 roku. W czerwcu ukończył trzecią klasę szkoły powszechnej z samymi bardzo dobrymi ocenami, a Edmund ukończył medycynę w Krakowie i uzyskał dyplom magistra. Matka nie doczekała, choć tak bardzo pragnęła mieć syna lekarza.

W domu przy ul. Kościelnej mieszkali już tylko we dwóch; ojciec i syn, ale salon, w którym leżała Emilia był zamknięty i nieużywany przez 9 lat. Jak twierdzą psychologowie, ojciec z synem nie poradzili sobie z trudnym doświadczeniem śmierci Emilii. Oni jej wewnętrznie nigdy nie uznali, dla nich Emilia jakby wciąż pozostała obecna w tym zamkniętym salonie. Nigdy ze sobą o niej nie rozmawiali. Dorastający Lolek nie opowiadał też o swym bólu nikomu. Jej odejście było tak bardzo bolesne, że stało się tematem tabu na zawsze. Emilia zmarła, ale nadal trwa w dziecku, które urodziła i wychowała. A cóż powiedzieć o matce, która wydała na świat świętego? Do takich należy Emilia, dlatego jej dzieje nie kończą się razem ze śmiercią i należą do kolejnych pokoleń. Z życia takiego jak jej płynie siła i moc, siła świętego Jana Pawła II. Dlatego to nie jest koniec.

Karol Wojtyła senior pozostał wdowcem, który bez reszty poświęcił się synom, a szczególnie Karolowi juniorowi zwanemu Lolkiem. Był mu ojcem i matką, dobry, łagodny, cierpliwy, opiekuńczy - wzór rodzica. Kształtował charakter syna, dbał o jego wszechstronny rozwój i edukację, uczył go nawet niemieckiego, opowiadał o dziejach Polski, streszczał „Trylogię” Sienkiewicza, czytał na głos wiersze Norwida. Zawsze o godz. 7, przed lekcjami szkolnymi Lolka, szli obaj na mszę poranną. W domu czytali Biblię, odmawiali różaniec i śpiewali godzinki.

Jan Paweł II wspominał swojego ojca z tamtych lat, że prowadził życie surowe. Gdy owdowiał było to życie ciągłej modlitwy. Nieraz zdarzało się, że w nocy zastawał swego ojca na kolanach, jego życie duchowe po stracie żony, niezwykle się pogłębiło. Umiał od siebie wymagać (...) *Patrząc na niego, nauczyłem się, że trzeba samemu sobie stawiać wymagania i przykładać się do spełniania własnych obowiązków. Mojego ojca uważam za niezwykle człowieka.*

Po śmierci Emilii, sąsiadki z Wadowic starały się opiekować małym Lolkiem. Do jednej z nich, Zofii Pudło, mówił „mamo”, przyjaźnił się z jej synem. Dużo zawdzięczał nauczycielce Helenie Szczepańskiej. Emilia zaś, jako matka prawdziwa była dla syna wyjątkową postacią - jak święta, jak ikona. Karol junior miał też oparcie w swym starszym bracie Edmundzie, który podjął pracę taką, o jakiej marzyła dla niego jego matka. Był lekarzem na oddziale pediatrycznym w Krakowie, a w 1931 roku przeniósł się do Bielska, gdzie został zastępcą ordynatora Oddziału Zakaźnego Szpitala Miejskiego, był to awans. W środowisku medycznym był bardzo ceniony, słynął z profesjonalizmu i z oddania powołaniu lekarza. Uwidoczniły się również jego zainteresowania leczeniem ludzi ubogich i bezdomnych. Pacjenci szpitala wyczuwali jakąś wyjątkową dobroć doktora, darzyli go zaufaniem i bardzo lubili. Karol (Lolek) wraz z ojcem systematycznie w każdą niedzielę odwiedzali Edmunda w Bielsku. Wówczas we trzech wędrowali po okolicznych wzgórzach i górach. Więż między braćmi po śmierci matki stała się silniejsza. Lolek uwielbiał te górskie wyprawy. Bracia byli zżyci ze sobą i bardzo się kochali. Mieli wspólne pasje, nawet aktorskie, umilając czas pacjentom w szpitalu, wystawiali teatryki, by choć na chwilę chorzy zapomnieli o cierpieniach. Obaj traktowali to jako misję.

Wkrótce jednak doszło do tragedii, jesienią 1932 roku do szpitala w Bielsku przyjęto 21-letnią dziewczynę chorą na szkarlatynę. Edmund, ratował ją ze wszystkich sił, czuwał nad nią dzień i noc. Zaraził się chorobą, tym samym sprowadził na siebie wyrok śmierci, bo zmarła i pacjentka, i po 10 dniach również Edmund. Był to 4 grudnia 1932 roku, syn Emilii miał wtedy 26 lat.

Ta śmierć odbiła się echem w całej okolicy. Prasa charakteryzowała Edmunda jako znakomitego lekarza. Prawdę o świętości ludzkiego życia, wpajaną mu przez matkę, potraktował poważnie, jak misję na całe życie, aż nadto rozumiał, że lekarz ma służyć życiu, takie wartości wyniósł z domu, tego nauczyła go matka, która poświęciła życie za jego młodszego brata.

Pogrzeb odbył się w Bielsku 6 grudnia 1932 r. Ojciec i brat bardzo boleśnie przeżyli tak wielką tragedię. W 1997 roku we Włoszech powstał komitet do spraw beatyfikacji Edmunda Woj-

tyły. *Proces beatyfikacyjny Edmunda ucichł, ale nie znaczy, że go nie będzie w przyszłości i że starszy syn Emilii nie jest człowiekiem świętym, podobnie jak jego brat Papież. Świętym się jest albo nie. Kościół tę świętość jedynie oficjalnie potwierdza.*

Po śmierci Edmunda relacje Karola Wojtyły i jego dwunastoletniego syna także Karola jeszcze bardziej się zacieśniły. Tylko obaj zostali na świecie. Obraz matki ulegał coraz większej idealizacji i potęgował tęsknotę, smutek, żal. W 1938 roku Lolek zdał maturę z wyróżnieniem, wszystkie oceny bardzo dobre. Matka miałaby powód do dumy. Po maturze zapisał się na studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, a więc musieli się z ojcem przenieść do Krakowa. Zamieszkali w domu, który był własnością brata Emilii, Roberta Kaczorowskiego. Mieszkając w Krakowie, Karol junior mógł częściej odwiedzać grób matki. W 1939 roku napisał wiersz poświęcony matce pt. „Emilii, matce mojej”, w którym wyraża tęsknotę, ogromny szacunek i szczerą miłość. Postrzega matkę jako kobietę doskonałą, świętą. Był pewien, że ona dalej żyje. Białe kwiaty wskazują na życie.

Kiedy w 1939 roku wybuchła II wojna światowa, Karol z ojcem uciekali na wschód, ale zawrócili do Krakowa, bo od wschodu 17 września zaatakowali Polskę Sowieci. Nauczanie zeszło do podziemi. W 1940 roku Karol zatrudnił się w kamieniołomach jako robotnik, aby utrzymać siebie i ojca. Przynosił do domu trochę ziemniaków, fasolę, czasem kapustę.

W Krakowie, tak jak w Wadowicach ojciec prowadził dom, przygotowywał posiłki, cerował skarpetki, reperował nawet buty synowi. W Boże Narodzenie 1940 roku Karol Wojtyła ojciec, zachorował na serce. Syn wezwał lekarza, wykupił lekarstwa, dbał, aby ojciec się oszczędzał. Obiady gotowała sąsiadka. Karol przynosił je ojcu, ale 18 lutego 1941 roku, gdy dotarł z menażką do domu, ze zdumieniem spostrzegł, że ojciec nie żyje. Rozpłakał się i całą noc klęczał przy zmarłym i modlił się. Nigdy nie czuł się tak samotny, jak wtedy. Został zupełnie sam na świecie. Ten okres osieroczonego Karola był najważniejszym w życiu. Toczył wewnętrzne zmagania, aktorstwo, o którym dawniej marzył odchodziło na dalszy plan, odkrywał powołanie. Aż w końcu jesienią 1942 roku zdecydował, że zostanie księdzem. Wstąpił więc do

Seminarium Duchownego w Krakowie tak jak pragnęła matka, ale z całą pewnością był to też jego wybór, dojrzały, niezwykle świadomy i spełniło się marzenie matki.

Ale to, co stało się później na pewno jej nawet nie przemknęło przez głowę. Pochylając się nad dzieckiem, odczuwała, że wyrośnie ono na kogoś ważnego, ale nie przypuszczała, że zostanie następcą św. Piotra, że będzie pierwszym w historii papieżem Polakiem, a ona zaistnieje jako matka papieża, matka świętego. Prawdą jest, że najbliżsi Karola Wojtyły odeszli zbyt wcześnie: matka, ojciec, brat i siostra Olga, która nie przeżyła nawet jednej doby. Nie miał więc rodziców ani rodzeństwa. Ale miał jeszcze ciotki i wuję ze strony matki - rodzeństwo Emilii, a w Czańcu daleką rodzinę ze strony ojca Karola Wojtyły. Ze wszystkimi utrzymywał więź rodzinną, zarówno jako ksiądz, potem jako biskup, kardynał, wreszcie jako papież.



Kuzynka papieża Kaja Kwiecińska z rodziną na audiencji.

Przesłanie Emilii ciągle trwa, życie ludzkie jest wartością najcenniejszą, także to poczęte i jeszcze nienarodzone, wszak nigdy nie wiadomo, kto się urodzi. W życiu zaś najbardziej liczy się zgoda na to, co niesie los i świadomość, że Bóg, nie człowiek wszystkim kieruje. Dlatego nie trzeba wszystkiego widzieć i rozumieć - przekonuje matka Jana Pawła II. Jej syn, Karol Wojtyła nigdy nie zapomniał o świadectwie miłości swej matki.

Irena Iwańczyk

Bibliografia:

Milena Kindziuk, *Matka Papieża. Poruszająca opowieść o Emilii Wojtyłowej*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2013. Zdjęcia zaczerpnięte z książki.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Leksykon zamków, pałaców i dworów powiatu krasnostawskiego. Cz. IV



Pierwsza połowa XIX stulecia, to pomimo trudnej sytuacji politycznej Rzeczypospolitej pod zaborami, okres obfitujący w przedsięwzięcia budowy dworów - siedzib właścicieli lub rządców, zlokalizowanych w ich pobliżu folwarków. Wznoszono zabudowania dla służby, budynki gospodarcze, organizowano parki. Wszystko to czyniono w duchu polskości i to dwory wraz z propagowaną w nich przez ziemian kulturowością były jej ostoją. To w tym czasie ukształtował się schemat architektury takiej budowli, znany m.in. z „Pana Tadeusza”: na planie prostokąta, z dachem mansardowym, wejściem pośrodku, poprzedzonym kolumnami wspierającymi tympanon. Był to czas kształtowania się ziemiaństwa jako grupy społecznej. Kres tej kulturze położyła dyskusyjna w obecnych czasach ustawa z 1944 roku o przejmowaniu przez państwo majątków ziemskich.

Zachowane do czasów obecnych dwory z początku XIX wieku na terenie powiatu krasnostawskiego, to niewielka część wszystkich tu istniejących jeszcze 100 lat temu. Wspomnieniem bywają starodrzew sugerujący, że okraszał on okazałą siedzibę, bądź - niestety zrujnowane - zabudowania folwarczne. Są jednak chlubne inicjatywy adaptacji obiektów z poszanowaniem ich wartości zabytkowej. Kilka z nich czeka na właścicieli chcących tutaj zorganizować np. ośrodki wypoczynkowe.

Bończa

„Słownik geograficzny Królestwa Polskiego” wzmiankuje w Bończy (Bonczy) tylko folwark. Nie podaje też hasła powstałej zapewne później Wólki Kraśniczyńskiej, na terenie której - zamiennie z Bończą - odnotowuje się istnienie dworu. Być może na potrzeby wspomnianego w Bończy folwarku, jego właściciele zdecydowali się wznieść tutaj własną siedzibę - murowany, piętrowy dwór. Był to przełom XVIII i XIX wieku. Wybudowano



parterowy, murowany z cegły i otynkowany dwór klasycyzujący w swej formie. Nie wiadomo jak wyglądał, ponieważ częściowo spłonął podczas walk II wojny światowej w 1942 roku. Odbudowano go, dodając kondygnację w latach 1958-1961. Wzniesiono go na rzucie wydłużonego prostokąta. Jest murowany, dwukondygnacyjny, z podpiwniczeniem, kryty dachem dwuspadowym. Elewację akcentują wysunięte ryzality boczne. W czasie, kiedy powstawał dwór, zaplanowano wokół niego też park. Z tego założenia zachowała się aleja grabowa oraz unikatowe drzewa egzotyczne.

Ostatnim właścicielem dworu z przyległościami był Jerzy Potocki (ur. w 1913 r.). Jego własność przejął w 1944 roku Skarb Państwa. Po wojnie zorganizowano we dworze funkcjonujący do czasów obecnych Dom Pomocy Społecznej.

Dąbie

Obecnie istniejący dwór w Dąbiu pochodzi z 1848 roku. Wówczas miejscowość należała do Józefa Ostroroga i to jego uznaje się za inicjatora jego budowy. Pięć lat później Dąbie było własnością Władysława Ostroroga i Jana Rutkowskiego. Kolejnym właścicielem i rezydentem dworu był od roku 1891 Eugeniusz Sommer. Na początku XX wieku, obok niego jest wymieniany jako właściciel także Stanisław Leszczyński, a w 1905 roku - Rzewuski. Wiadomo, że trzy lata później dwór wraz z całym majątkiem był w posiadaniu rodziny Epsztajnów, dziedziców pobliskich Pilaszkowic. Z tego rodu wywodził się Leon, który w 1912 r. sprzedał Dąbie Józefowi Żyliczowi. Spośród Żyliczów ko-

lejno Ignacy i jego syn Marek dziedziczyli Dąbie. W 1944 r. przejęło go państwo. Wkrótce obiekt zaadaptowano na szkołę i w 1955 r. poddano remontowi.

Źródłem informacji na temat pierwotnego wyglądu dworu są jego inwentaryzacje sporządzone w 1962 r. przez pracowników Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk. Budynek wzniesiono częściowo z cegły i popularnego w tym regionie kamienia wapiennego, na planie prostokąta, z podpiwniczeniem. Tutaj strop był murowany z cegły.



Był to późnoklasykistyczny dwór parterowy z niskim piętrem nad środkową częścią, frontem zwrócony na południe, z podpiwniczeniem od północy z racji spadku terenu. Elewację tylną poprzedzał duży taras. Dwór był dwutraktowy, z sienią i salonem na osi. Sale od frontu i salon miały ścięte narożniki. Całość przykrywał czterospadowy dach z lukarnami i facjatkami. W późniejszym czasie dwór został otynkowany.

Otaczał go zachowany szczątkowo park, z czytelnym jeszcze od frontu gazonem. W 2005 r. obiekt zakupił od gminy Żółkiewka prywatny inwestor.

Olszanka

Znajdujący się w miejscowości zespół pałacowo-parkowy datuje się na 1. połowę XIX stulecia. Pałac jest murowany z kamienia, otynkowany, piętrowy, z podpiwniczeniem, w swej formie klasycyzujący. Wzniesiono go na rzucie prostokąta; wyznacza go pięć osi. Od frontu znajdował się czterokolumnowy portyk poprzedzony dobudowanym

w późniejszym czasie dwukondygnacyjnym ganikiem zwieńczonym tympanonem. W roku 1959 pałac przebudowywano. Z tego czasu pochodzi przybudówka od południowego-wschodu. Przebudowane zostało też pierwotnie dwutraktowe wnętrze. Efektowne jest boniowanie dolnej kondygnacji oraz półkoliste zamknięcia okien w elewacjach. Dwór otacza park krajobrazowy, a w nim starodrzew, m.in.: korkowiec amurski, dąb szypułkowy, jodła kalifornijska. Unikatywne są zachowane budynki służby folwarcznej: dom kowala i stelmacha, trzy czworaki, kuźnia, stelmacharnia, spichlerz oraz pozostałości stajni cugowej.

Pozostający w opuszczeniu obiekt widnieje wystawiony na sprzedaż na stronie internetowej jednej z agencji nieruchomości.

Orchowiec

Anonimowy autor hasła „Orchowiec” w „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego”, tworzonego pod koniec XIX stulecia, wspomina tylko, że w miejscowości był folwark. Prawdopodobnie w związku z jego funkcjonowaniem powstał interesujący nas dwór. Można sądzić, że pełnił on funkcję mieszkania dla przebywającego tu stale rządcy folwarku. Pierwsza wzmianka o dworze w Orchowcu - opisywanym tutaj, bądź wcześniej - pochodzi jeszcze z 1794 roku. Wiadomo bowiem, że wówczas ukrył się tu podczas powstania kościuszkowskiego Adam Naruszewicz.

Wzniesienie dworu oraz rozplanowanie i zagospodarowanie parku wokół niego datuje się na 1. połowę XIX stulecia. Brakuje informacji na temat jego wyglądu. Próbę jego odtworzenia unie-

możliwia stan techniczny - jest to obiekt w całkowitej ruinie, pozbawiony ścian, o zachowanych jedynie fundamentach. Można sądzić, że jeszcze na początku XX wieku folwark musiał funkcjonować na dosyć dobrym poziomie, skoro w roku 1909 zdecydowano się wybudować w obrębie założenia dworsko-parkowego dom dla służby folwarcznej. W tym czasie, od co najmniej półwiecza majątek należał do rodziny Pniewskich, po czym otrzymali go Plewińscy. Byli oni też ostatnimi właścicielami folwarku przejętego w 1944 roku przez Skarb Państwa.



Pozostałością po zespole, oprócz zrujnowanego dworu jest starodrzew w postaci alei lip.

Maszów Dolny

Opisywany tutaj dwór pochodzi z początków XIX stulecia, kiedy poszczególne części miejscowości miały trzech właścicieli. Byli to znani na



tym terenie Suchodolscy, Nieprzeccy i Borowscy. Spośród nich ci ostatni wzniesli dwór, a w ciągu XIX stulecia sprzedali go wraz z majątkiem rodzinie Pszonków, a ci Bereźniewiczom. W XX wieku właścicielami części Maszowa byli Kamienieccy oraz Cegłowski, a po nich Garszyńscy. Jednymi z ostatnich ziemian i dziedziców Maszowa byli Sajkiewiczze (m.in. Adam od 1905 r.), a po nich Siwińscy (m.in. Mieczysław i Wojciech od 1918 r.). Wówczas to majątek obejmował 250 hektarów. Składały się na niego, oprócz dworu budynki gospodarcze, urokliwa kapliczka oraz zachowany park. Zniszczone obiekty po wojnie zostały zdewastowane. Odbudowano je, częściowo rekonstruując i zaadaptowano na szkołę. Obecnie dwór nie jest użytkowany.

Ostrzyca

Zespół dworsko-pałacowy usytuowany obecnie w granicach Ostrzycy, znajdował się w XIX stuleciu na terenie Tarnogóry Kolonii przy granicy z Mchem. Na początku XIX wieku należał on do rodziny Czyżewskich, a następnie Smorczewskich z Tarnogóry. Znajdowała się tu tzw. rządówka, czworaki i inne budynki folwarczne.



dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

Prezentowane ilustracje pochodzą ze strony internetowej <http://www.dwory.cal.pl/> tworzonej przez Biuro Turystyki Szkolnej w Dęblinie.

Anna Kamieńska



Ciężar

Nie mogę Ci ofiarować kropli deszczu
ani złotej pszczoły
wszystko to nie moje
ani łyż która nic nie waży
i nie przepelni żadnego morza
ani chwili zwanej wiecznością
ani słowa
bo jest powietrzem wszystkich
mam puste ręce
moje życie nie jest moje
ja nie jestem moja
chciałabym mieć na własność
choć źdźbło choć kamyczek
okruch nieskończonej materii
w którym bije serce
żadna rzecz nie chce być u mnie w niewoli
nawet własna ręka krzyczy grozi
że odejdzie ode mnie
Nic nie mam a tak mi ciężko
tylko ciężar niewiadomy
mogę rzucić u Twych kolan
Boże

Pośpiesz się

Pośpiesz się
może zdążysz jeszcze powiedzieć
to co drzemie w wielkim milczeniu

pośpiesz się
może zdążysz jeszcze pokochać
to co zdaje się tylko przestrzenią

pośpiesz się
może zdążysz jeszcze odczytać
stronę książki co się zamyka

pośpiesz się
może jeszcze zapragniesz tak mocno
że dotkniesz i znikniesz w dotyku

ale pośpiesz się

Abyśmy byli

...abyśmy byli
Jan Śpiewak

Uśmiecham się do ciebie przez sen
i przez wiersz więc jesteś

Jeśli się do kogoś tęskni tak wiernie
czy może go nie być

Jesteś prawdziwiej niż jesteś
trwalej od nietrwalej chwili

Zawsze po cichu wiedziałam
trzeba tylko bardzo kochać
a b y ś m y b y l i

Nie martw się

Nie martw się będzie jeszcze wiele do cierpienia
teraz masz prawo przyłgnąć do rękawa
czyjejś szorstkiej przyjaźni obowiązek szczęścia
który tak zaniedbujesz
niesumienny użytkownik czasu

poganiający dni jak gęsi
na lebiodę nie martw się wiele razy
będziesz umierać aż się nauczysz
na samym końcu wreszcie kochać życie

Na krzyżu

Umierał na krzyżu
na szpitalnym łóżu
samotność tam przy nim stała
matka bolejąca

Wargi zamknięte
i spętane stopy
Boże mój Boże
czemuś mnie opuścił

Gwałtowna cisza
Wszystko się stało
co stać się miało
między człowiekiem
i Bogiem

8 V 86

Kazimierz Stolecki

Powiat krasnostawski
na łamach krakowskiego
„Ilustrowanego Kurjera
Codziennego” 1914-1939



1914, nr 208, 02 IX. Zwycięski pochód armii generała Dankla w Lubelskiem i Chełmszczyźnie. Wiedeń, 1 września. C. k. Biuro korespondencyjne ogłasza: Z kwatery wojennej prasowej doniesiono wczoraj o godzinie 6 minut 20 wieczorem: Na północnym terenie wojennym wojska nasze toczą dalej zaciętą walkę na południe od linii Lublin - Krasnostaw - Hrubieszów. Dowiadujemy się, że armia generała Dankla w zwycięskim rozmachu posuwa się stale naprzód i wspierana na prawem swoim skrzydle przez wojska austriackie, operujące od strony Bełzu, doszła już pod Krasnostaw i Hrubieszów w Chełmszczyźnie. Armia rosyjska, która przed kilku dniami rozpoczęła ofensywę od strony Chełmu, prawdopodobnie z dyrektywą na północną granicę Galicji i Lwów - wyparta została już poza Krasnostaw i Hrubieszów. Ten zwycięski pochód armii Generała Dankla wywrze zapewne rozstrzygający wpływ na wypadki wojenne na wschodnim terenie poza Lwowem.

ślanej przez Bełz i Uhnów. Ponieważ na drodze z Zamościa do Krasnostaw stały słabsze stosunkowo siły nieprzyjacielskie, można było dnia 29 z. m. znaczne części tej armii z obszaru pod Zamościem rzucić na wschód i posunąć ku Cześnikom. Wobec tego nieprzyjaciół, który wszędzie walczył z największą dzielnością i zaciętością, przedsięwziął bardzo silne ataki w kierunku Komarowa, z zamiarem przełamania tu naszej linii.

1915, nr 99, 30 IV. Zacięte walki w Lubelskiem. Rosyanie otrzymywali coraz większe posiłki. Armia nieprzyjacielska wynosiła już 12 dywizyj. Dla wzmocnienia armii gen. Dankla przyciągnięto grupę gen. Kummera. Przyszło do krwawych i zaciętych walk, z których wojska nasze zawsze wychodziły zwycięsko. 26 sierpnia przeniosła się walka na obszar między Wieprzem a Huczwą. Pod Tomaszowem armia gen. Auffenberga rozbiła piątą armię rosyjską. Jednak kolumna za kolumną szła armii tej na pomoc. Rosyanie bronili się rozpaczliwie. Nazajutrz zajęto Zamość. Zwycięstwo pod Zamościem i Komarowem. Zwycięskie armie austriackie posuwamy się niepowstrzymanie naprzód. Armie gen. Auffenberga i arc. Józefa Ferdynanda staczała zwycięskie boje na linii Tarnawatka - Zamość. Pod Krasnostawem szala zwycięstwa przechylała się już to na tę to znowu na drugą stronę. - Skoncentrowana piąta armia rosyjska,

Cena numeru
w Krakowie
na prowincyi

6 hal.

ILUSTROWANY

PRENUMERATA MIESIĘCZNA
W KRAKOWIE K. 1.-
NA PROWINCYI K. 1-50

KURJER CODZIENNY

Rok V.

Kraków, środa dnia 2 września 1914

Nr. 208

1914, nr 211, 05 IX. Na wschód od armii generała Dankla, która po trzydniowych walkach zwyciężyła pod Kraśnikiem, armia generała Auffenberga, wysłana między Huczwą a Wieprz, rozpoczęła atak na siły nieprzyjacielskie. Wywiązały się z tego walki pod Zamościem i Komarowem. Dnia 28 sierpnia dało się odczuć działanie grupy pod wodzą arcyksięcia Józefa Ferdynanda, wy-

wzmocniona kilkoma dywizjami rezerwowymi, stawiała zacięty opór i zrywała się do silnych przeciwności. Skoro jednak arcyks. Józef Ferdynand wtargnął w widły rzeki Huczwy i zajął Komarów, Rosyanie cofnęli się w popłochu, zostawiając pole, o które walczone, zwycięzcom.

1915, nr 173, 13 VII. Komunikat urzędowy niemiecki. Walki z Rosyanami pod Krasnostawem.

Berlin, 12 lipca. Biuro Wolffa. Urzędowo ogłaszają dnia 11 lipca: W ostatnich dniach miały miejsce ku Krasnostawowi lokalne walki, które wszędzie miały dla nas przebieg korzystny.

1915, nr 175, 15 VII. Jak wygląda nasz front bojowy? Pod Józefowem przekracza nasz front bojowy Wisłę i biegnie wzdłuż prawobrzeżnego dopływu Wisły, potoku Wyżnicy, a zajmwszy w swe posiadanie Kraśnik, biegnie znów nad lewym dopływem Wieprzu wzdłuż potoku Por, biorąc w swe posiadanie na północ od Poru leżący Krasnostaw. Przekroczwszy Wieprz posuwa się nasz front bojowy do Bugu pod Kryłowem (na Wołyniu) a następnie ciągnie się przez teren galicyjski na wschód od Lwowa.

1915, nr 179, 19 VII. Komunikat urzędowy austriacki. Wiedeń, 18 lipca. Urzędowo ogłaszają 17 lipca: Między Wisłą a Bugiem rozwijają się walki o większym rozmiarze. Przebiegają one dla sprzymierzonych wszędzie korzystnie. Wojska jednego korpusu austro-węgierskiego, walczącego w najściślejszym związku z wojskami niemieckimi wydarły na zachód od Grabowca nieprzyjacielowi po siedmiokrotnym szturmie, ważny punkt oparcia i wdarły się tam do głównej pozycji przeciwnika. W okolicy na południowy zachód od Krasnostawu przełamały siły niemieckie linie nieprzyjacielskie. *** W ostatnich dniach wojska sprzymierzone nad Bugiem i między Bugiem a Wisłą zajęły szereg przednich stanowisk rosyjskich, wczoraj na całym froncie, pod komendą feldmarszałka Mackensena, rozwinęły się większe walki. Na zachód od Wieprza, w okolicy na południowy zachód od Krasnostawu, wojska niemieckie przełamały linie nieprzyjacielskie. Dotąd 28 oficerów i 6380 żołnierzy dostało się w nasze ręce. Zdobyliśmy 9 karabinów maszynowych.

1915, nr 180, 20 VII. Komunikat urzędowy austriacki. Przełamanie frontu rosyjskiego na północ od Sienna. Zdobycie Krasnostawu. Wiedeń, 19 lipca. Urzędowo donoszą dnia 18 lipca: Bitwa między Wisłą a Bugiem jest w pełnym toku. Rosyjanie stawiają zacięty opór. Doprowadzili oni w kilku punktach frontu bojowego do walki ręcznej, zanim porzucili swe pozycje. Nad Bugiem w okolicy Sokala wypędziły nasze wojska nieprzyjaciela z szeregu zacięte bronionych miejscowości. Miasto Krasnostaw i wzgórze na północ od Żółkiewki

zostały zajęte przez niemieckie siły. Także na zachód od Wisły znajdują się sprzymierzeni w ataku. Na północ od Sienna został front rosyjski przełamany. Ustępując pod tym naciskiem, opuszcza nieprzyjaciół swe pozycje między Wisłą a koleją Kielce-Radom. W Galicji wschodniej nie nastąpiła w położeniu żadna zmiana. *** Między górną Wisłą a Bugiem trwają dalej walki armii pod dowództwem Mackensena. Wojska niemieckie zrzuciły Rosyan ze wzgórz między Pilaszkowicami na południe od Piasków i Krasnostawu. Miejscowości te zostały zdobyte. Rosyjanie rzucili do walki świeży korpus armii sybirskiej, ale to nie zażegnało klęski. Korpus ten został pobity. Wzięliśmy kilka tysięcy jeńców.

1915, nr 181, 21 VII. Komunikat urzędowy austriacki. Wiedeń, 20 lipca. Urzędowo ogłaszają 19 lipca: Ofensywę swą sprzymierzeni wczoraj dalej kontynuowali. Na wzgórzach na zachód od Krasnostawu wśród ciężkich walk posunęły się wojska niemieckie zwycięsko naprzód. Między Skierbieszowem a Grabowcem, pułki austro-węgierskie pozostając w łączności z siłami niemieckimi, utorowały sobie wśród gorących zapasów drogę przez Wolice s) do nieprzyjacielskich pozycji na wzgórzach. Tam wpadło w ręce naszych dzielnych wojsk 3000 jeńców. Nasze wojska, którymi dowodził tutaj generał kawaleryi Kirchbach, wzięły do niewoli 12 oficerów i 1700 żołnierzy, zdobyły 5 karabinów maszynowych. *** Pod naciskiem tych powodzeń naszych nieprzyjaciół w nocy cofnął się na całym froncie między Wisłą a Bugiem. Tylko w miejscu przerwania linii na zachód od Krasnostawu próbował stawiać jeszcze opór. Rosyjanie ponieśli ciężką klęskę. Wojska niemieckie i stojące pod rozkazami marszałka polnego porucznika Arza korpusy, wzięły od 16 do 18 lipca 16.250 Rosyan do niewoli, zdobyły 23 karabiny maszynowe.

1915, nr 183, 23 VII. Komunikat urzędowy niemiecki. Złamanie frontu rosyjskiego pod Lublinem. Między Wisłą a Bugiem nieprzyjaciół ponownie stawiał opór armii generała-marszałka Mackensena. Mimo zaciętego oporu wojska austro-węgierskie przełamały stanowiska nieprzyjacielskie koło Skrzyniec i Niedźwicy Małej (na południowy zachód od Lublina), oddziały zaś niemieckie na południowy wschód od Piasków i na północny wschód od Krasnostawu. Atak postępuje. *** Komunikat urzędowy rosyjski. Rosyjski sztab

generalny o ostatnich walkach. W okolicy Lublina 18 b. m. odparto skutecznie nieprzyjacielskie ataki na front Wilkolas-Bychawa. Nad Wieprzem opanował nieprzyjaciel rano 18 b. m. miejscowość Krasnostaw i przejście przez tę rzekę w górę rzeki. 19 b. m. nieprzyjacielskie ataki między częścią strumienia, który bieży od Rybczewic aż do wsi Piaski, a Wieprzem pozostały bez skutku. Na prawo od Wieprza odparliśmy nader gwałtowne ataki nieprzyjaciela pod Krasnostawem i nad rzeką Wolicą. Tymczasem udało się nieprzyjacielowi usadowić u ujścia Wolicy pod wsią Gajowniki na prawym brzegu rzeki, poczem nasze wojska cofnęły się na drugą linię obronną. W okolicy Grabowca odparliśmy 18 b. m. 4-ry wściekłe ataki nieprzyjaciela na całym froncie. Między Huczwą a Bugiem spędziliśmy nieprzyjaciela wieczorem 17 po gwałtownej walce ze wszystkich naszych rowów, które poprzednio był zajął. Nad Bugiem trwa energiczna walka przeciw nieprzyjacielowi, który 18 b. m. przekroczył rzekę na całym froncie Skomorochy-Sokal.

1915, nr 192, 01 VIII. Na linii Dęblin-Lublin-Chełm. Dzisiejsze komunikaty urzędowe donoszą o znacznym sukcesie wojsk sprzymierzonych, które zdobyły stanowiska koło Chmielu i wywalczyły linię Piaski-Biskupice i kolej stamtąd na wschód. Na północny wschód od Krasnostawu zdobyły wojska sprzymierzone miejscowości Kowal i Bełżyce. *** Wiedeń, 81 lipca. Urzędownie ogłaszają 30 lipca 1915: Po kilkudniowej pauzie wczoraj sprzymierzeńcy między Wisłą a Bugiem znowu na całym froncie przeszli do ataku. Na zachód od Wieprza aż do okolicy Chmielu przełamano front nieprzyjacielski na szerokości przeszło 25 km. Austro-węgierski korpus XVII na północ od Chmielu po pięciokrotnym ataku zajął stanowiska rosyjskie. Wojska niemieckie wywalczyły wieczorem linię Piaski-Biskupice i kolej na wschód stamtąd. Także koło Kowal-Bełżyce na północny wschód od Krasnostawu i Wojsławic, sprzymierzone wojska wtargnęły do linii nieprzyjacielskich. Dziś rano Rosyanie na całym froncie rozpoczęli odwrót, przyczem niszczą wszystkie osady, palą nawet zboże na polu. Nasz pościg jest w toku. Na północny zachód od Dęblina po obu stronach ujścia Radomki, w dniu 28 lipca rano wśród ciężkich walk w kilka miejscach wymuszono przejście przez Wisłę. Niemieccy i austro-węgierscy pionierzy wśród najtrudniej-

szych stosunków mieli sposobność złożyć ponownie dowody wybitnej tężyzny i pełnego poświęcenia poczucia obowiązków. Na górnym brzegu Bugu wobec ataku przeważających sił obrońcy przyczółka mostowego Sokal cofnęli swój front południowo-wschodni o kilkaset metrów wstecz i odparli także dalsze ataki nieprzyjacielskie. *** Komunikat urzędowy niemiecki. Zachwianie frontu rosyjskiego. Berlin, 31 lipca. Biuro Wolffa. Wielka główna kwatera donosi: Wojska armii generała pułkownika von Woyrscha wymusiły wcześniej rano dnia 28 lipca na kilku miejscach przejście przez Wisłę między ujściem Pilicy a Kozienicami. Na wschodnim brzegu walczy się dotychczas. Dotychczas wzięto 800 jeńców i zdobyto 5 karabinów maszynowych. Sprzymierzone armie generała marszałka polnego von Mackensena podjęły wczoraj na nowo ofensywę. Na zachód od Wieprza przełamały wojska niemieckie pozycję rosyjską. Osiągnęły one wieczorem linię Piaski-Biskupice i kolej na wschód stamtąd. Wiele tysięcy jeńców i trzy działa wpadły w nasze ręce. Ten sukces, jako też ataki wojsk austro-węgierskich i niemieckich tuż na wschód od Wisły, wojsk gwardii pruskiej koło Krupę na północny wschód od Krasnostawu i innych wojsk niemieckich w okolicy Wojsławic doprowadziły front rosyjski między Wisłą a Bugiem do zachwiania. Dzisiaj rano opróżnili Rosyanie swoje stanowiska na całej linii. Trzymają się oni jeszcze tylko na północ od Hrubieszowa.

1915, nr 238, 17 IX. C. i k. Zarząd wojskowy na okupowanych terenach Polski. Jeneralny zarząd obejmuje obecnie następujące okręgi: 21) okręg Zamość; 22) okręg Krasnostaw; 23) okręg lubelski; 24) okręg lubartowski. Nie ustanowiono jeszcze naczelnych władz okręgowych w następujących okręgach: 1) tomaszowskim, 2) hrubieszowskim, 3) chełmskim. Językiem urzędowym c. i k. komendy włącznie z przydzielonemi jej państwowymi organami cywilnymi jest język służbowy c. i k. armii. W zetknięciu ze stronami narodowości polskiej należy używać języka polskiego.

1915, nr 262, 11 X. W obszarze okupowanych ziem rosyjskich ustalono granice między ściślejszym a obszerniejszym okręgiem wojennym, jak następuje: Do ściślejszego obszaru wojennego należą wszystkie obwody, położone na wschód od wschodniej granicy obwodów Biłgoraj, Zamość,

Krasnostaw, Lublin i Lubartów, do dalszego obszaru wojennego wszystkie inne ziemie, pozostające w c. i k. austr. węg. Zarządzie wojskowym, a więc cały obecny.

1915, nr 280, 29 X. Austriacko-węgierski obszar okupowany. Wojskowy urząd gubernialny obejmuje obecnie okręgi: Lubartów, Lublin, Krasnostaw, Zamość. (Razem 24). Do podróży do tego obszaru, w myśl rozporządzenia naczelniej komendy armii z d. 25 sierpnia b. r. potrzebny jest paszport podróży, a nadto musi być prócz celu podane także miejsce podróży oraz dodana klauzula, że paszport jest ważny do jazdy do austro-węgierskiego obszaru okupowanego. Paszport musi być zaopatrzony w wizę urzędu wojskowego.

1915, nr 287, 05 XI. Wyludnienie Chełmszczyzny. Obraz okropnego spustoszenia. Ze zniszczonych przez uciekających Moskali krajów polskich najcięższy los spotkał Chełmszczyznę. Osada Piaski jest prawie w dwóch trzecich spalona, Siedliszcze spalone całkowicie. Pawłów nie istnieje. Chełm nie ucierpiał wcale. Za Chełmem jednak zaczyna się obraz okropnego spustoszenia. Wywrócone drzewa, zburzone chałupy, na drogach porozbijane wozy i ogromne doły wryte granatami, spotyka się na każdym kroku. Tuż przy szosie i gościńcach leżą trupy końskie, Ale najokropniejsze wrażenie sprawia pustka naokoło: od Raciborowic (spalonych prawie zupełnie) aż do Moniatycz, na przestrzeni kilkunastu wiorst spotkaliśmy tylko jedną kobietę, która wracała z targu w Hrubieszowie. Chałupy opuszczone, z oknami bez szyb, odór rozkładających się trupów końskich i jak powiadają, nawet ludzkich, dolatujący z lasów, biegające po zgłiszczach zdziczałe koty (jedyne żywe stworzenia, które tu zostały), szczerznię i obsypujące się już zboża na pniu wszystko to przedstawia obraz okropny, ponury, niezatarty. Dopiero w Moniatyczach zobaczyliśmy ogień w chatach, usłyszeliśmy szczekanie psów, które wydało się czemś bliskim, przyjacielskim po tej parogodzinnej podróży wśród królestwa śmierci. Hrubieszów niezniszczony, chociaż do miasta wpadło kilkadziesiąt pocisków rosyjskich z za Bugu. Za Hrubieszowem znowu ten sam obraz zniszczenia, co i koło Moniatycz, Terebin spalony doszczętnie, ocalała tylko cerkiew, ludzi niema; w ciągu całej drogi, aż do Tyszowic nie widzieliśmy ani jednej

krowy, ani konia, ani kury... Dopiero w Tyszowcach zaczyna się życie mniej więcej normalne. Tu Rosyianie przechodzili Bardzo pospiesznie i nie zdążyli nic spalić, bitew większych nie było również. Krasnostaw - szczególnie centrum tego miasta - spalony jeszcze w przeszłym roku i dotychczas wcale się nie odbudował. Pomiędzy Krasnymstawem i Piaskami i znowu ślady dużych bitew przeszłorocznych i tegorocznych. Wszędzie widać las krzyżów, rowy strzeleckie, zagrody druciane... wszędzie po drogach spotyka się tabory wracających, przeważnie z pod Kobrynia wygnańców - naładowane sprzętami domowymi, pierzynami i dziećmi, częstokroć chorymi na cholerę i dyzenterię, wozy ciągnięte przez ledwie idące szkapiny, często krowy, a czasem matki i ojców wygnanych przez armię „Wielkiej Rosyi” rodzin. Dają ci ludzie do swojej ziemi, do swojej ojcowizny - zastając tam przeważnie tylko zgłiszczu.

1915, nr 300, 18 XI. Na terenie Królestwa Polskiego, obsadzonym przez wojska austro-węgierskie, otwarte zostały dla ruchu prywatnego c. i k. etapowe urzędy pocztowe i telegraficzne: Chełm, Kozienice, Krasnostaw, Wierzbnik i Zamość.

1915, nr 307, 25 XI. Z Krasnegostawu piszą nam: Spis ludności z r. 1900 wykazuje następujący stosunek narodowościowy w pow. krasnost.: Polaków (katol.) 80.000; prawosł. 10.000; protestant. 200; żydów 10.000. Od tego czasu wzrosła ludność do 130.000. Liczb a 10.000 prawosławnych jest tendencyjnie przez rząd rosyjski przesadzona. W roku 1905 znaczna ich część, po ukazie tolerancyjnym, przeszła na katolicyzm. W ogóle prawosławni w okręgu krasnostawskim są prawie wszyscy dawnymi unitami, lub ich potomkami. Wszyscy znali język polski, część mówiła u siebie w domu po małorusku, toteż część po przejściu na prawosławie dała się najprędzej zrusyfikować. Prawosławni, mówiący po polsku, czuli się jeszcze lata całe Polakami. Przy odwróceniu armii rosyjskiej kilka tysięcy zruszczonych unitów powędrowało wraz z armią, pozostali zamierzają przejść na katolicyzm, a już dzisiaj chrzty i pogrzeby odbywają według obrządku katolickiego. (Krasnostaw, Stężyca, Siennica). Okręg Krasnostawski przeżył dwukrotnie pożogę wojenną. Na 250-wsi i przysiółków zostało spalonych zupełnie 20, częściowo zaś 74. Zniszczenie stało się tem większe, że częścio-

wo toczyły się tu walki pozycyjne. Pszenicy, żyta i zebrano w połowie normalnego zbioru; owsa, siano i w ogóle paszy - zaledwie 10 proc. Dodać trzeba, że w zupełności zniszczone, lub wywiezione zostały wszystkie akta kancelaryjne.

1915, nr 324, 12 XII. Trawniki-Lwów. „Ziemia Lubelska” donosi, że nowo wybudowana linia kolei szerokotorowej za parę tygodni zostanie oddana czasowo do użytku. Nowy tor kolejowy prowadzi od stacji Trawniki przez Krasnystaw, Izbicę, Zamość, Tomaszów, Bełżec, wprost do Lwowa.

1915, nr 334, 22 XII. Do krakowskiego miejsca wywiadowczego przydziela się okręgi: Kielce, Miechów, Olkusz, Dąbrowa, Jędrzejów Pińczów, Busk, Włoszczowa. Opatów, Sandomierz. Do piotrkowskiego okręgi: Piotrków, Noworadomsk, Opoczno, Końsk, Kozienice, Radom, Wierzbnik. Do rzeszowskiego okręgi: Janów, Biłgoraj, Krasnystaw, Zamość, Lublin, Lubartów, Puławy.

1916, nr 2, 02 I. Północny „ściślejszy teren wojenny” obejmuje: w Królestwie Polskim wszystkie obwody na wschód od granicy wschodniej obwodów Biłgoraj, Zamość, Krasnystaw, Lublin i Lubartów.

1916, nr 68, 09 III. Dnia 5 marca został otwarty ruch pocztowy między Austro-Węgry i generalną gubernią Warszawską, tak, że obecnie jest wolny ruch pocztowy do znajdującej się pod Osądem austriackim i niemieckim części Polski w rozmiarach następujących: W obszarach zajętych przez austro-węgierskie wojska do c i k. urzędów etap i pocztów: ... Krasnystaw (*)... Do wszystkich tych urzędów są dopuszczalne karty pocztowe, otwarte i zamknięte listy nie rekomendowane, druki, gazety, próby towarów, pakiety bez wartości do 5 kg. Oprócz tego przy urzędach oznaczonych (*) są dopuszczalne listy o podanej wartości i zwykłe przekazy pocztowe do 1000 koron, oraz prywatne telegramy w jawnej mowie, po polsku lub niemiecku.

1916, nr 114, 26 IV. Obrót pocztowy kasą oszczędności. Obecnie następujące urzędy pocztowe etapowe upoważnione są do przyjmowania kwitów wpłacenia poczt. kasy oszcz.: Biłgoraj, Busk w P., Chełm, Działoszyń, Granica, Hrubieszów, Janów w. p. Kielce, Końsk, Kozienice, Kraśnik, Krasnystaw, Lubartów, Lublin, Puławy, Olkusz, Opatów, Opoczno, Ostrowiec, Pińczów, Radom, Sandomierz, Skarżysko, Staszów, Szczec-

kociny, Tomaszów, Wierzbnik, Włoszczowa, Wolbrom, Zamość.

1916, nr 151, 02 VI. Rozpowszechnione obecnie w całym Królestwie Polskim rozboje, dały się odczuwać także w guberniach, znajdujących się w rękach austriackich. W czasie od października 1915 r. do końca kwietnia 1916 wydobyło się w Królestwie, na obszarze pozostającym w zarządzie austriackim, 300 napadów rabunkowych, mordów i zamachów. W dniu 3-go kwietnia powieszono trzech dowódców band w Krasnostawie. Najniebezpieczniejszym terenem jest droga z Warszawy do Lublina i okolice, przytykające do rozdawającego się pod Kurowem gościńca. Drugie miejsce zajmują: Opatów, Końsk, Zamość i Krasnystaw, a wreszcie Radom.

1916, nr 171, 23 VI. Przyłączenie Chełmszczyzny do Polski kongresowej. „Rozporządzenie naczelnego komendanta armii z 5 czerwca b. r. rozszerza generalną gubernię wojskową lubelską na okręgi Chełm, Hrubieszów i Tomaszów i tem samem łączy w jednolity obszar administracyjny obszar byłej guberni chełmskiej z innemi częściami Polski kongresowej, obsadzonemi przez wojska austro-węgierskie. Rozporządzenie to czyni zadość serdecznemu życzeniu narodu polskiego, który odłączenie Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego przez Rosyę odczuł, jako cios”. § 2. Wojskowe Generalne Gubernatorstwo obejmuje okręgi: Biłgoraj, Busk, Chełm, Dąbrowa, Hrubieszów, Janów, Jędrzejów, Kielce, Końsk, Kozienice, Krasnystaw, Lubartów, Lublin, Miechów, Nowo-Radomsk, Pińczów, Piotrków, Puławy, Olkusz, Opatów, Opoczno, Radom, Sandomierz, Tomaszów, Wierzbnik, Włoszczowa, Zamość jako też i enklawę Jasna Góra w Częstochowie.

1916, nr 186, 08 VII. Piorun w izbie szkolnej. Dnia 27 z. m. w budynek szkoły handlowej w Krasnymstawie uderzył piorun, który kominem wpadł do sali wypełnionej dziećmi odbywającymi z nauczycielką lekcję, wybił otwór w pułapie, zarysował sufit i przebiwszy drugi otwór nad oknem przez dach wyszedł na zewnątrz. Żadnego poważniejszego wypadku z ludźmi nie było. Tylko jedna z dziewczynek Jaroszyńska uległa kontuzji, pod wpływem której utraciła na dwie godziny przytomność ale po przywróceniu jej, odzyskała całkowicie zdrowie.

1916, nr 225, 16 VIII. Rada m. Krasnostawu w Warszawie. „Do świetnej Rady m. Warszawy na ręce Jego Magnificencji rektora Józefa Brudzińskiego. Krasnostaw, d. 6 sierpnia r. 1916. Wspólne zebranie Rady miasta Krasnegostawu oraz przedstawicieli ziemian i gmin powiatu krasnostawskiego przesyła świetnej Radzie m. Warszawy życzenia jak najowocniejszej pracy około rozwoju Polskiej Stolicy i wyraża równocześnie łączność swoją z oświadczeniem stronnictw polskich, złożonem na pierwszym Jej posiedzeniu i gotowość poniesienia wszelkich ofiar dla osiągnięcia bytu Wolnej Niepodległej Polski! Rada m. Krasnegostawu”.

1916, nr 231, 22 VIII. Protest. „My włościanie z Ostrowa, p. Krasnostawskiego, protestujemy o posądzanie nas przez gazetę „Chołmskaja Ruś”, która dawniej wychodziła w Chełmie, że my nie pragniemy dla Królestwa Polskiego nawet autonomii, że twierdzimy, iż nam było dobrze pod rządem rosyjskim. My nie autonomii, ale całej niepodległości Królestwa Polskiego żądamy. Dalej pisze „Chołmskaja Ruś”, że narzekamy, iż nas nie uczą po rosyjsku. A przecież myśmy sami dążyli, żeby się nie uczyć jakiegoś tam rosyjskiego. My Polacy od dziada, pradziada nie potrzebujemy ani obcych rządów, ani obcej nauki, lecz żądamy tylko polskiego rządu i nauczania”. Podpisy.

1916, nr 239, 30 VIII. Samorząd miejski w okupacji austriacko-węgierskiej. Rozporządzeniem naczelnego komendanta armii z dnia 18 VIII br. Nr. 65 nadano dla polskiego obszaru okupowanego samorząd miejski, z zakresem ważności dla następujących miejsc: Biłgoraj, Busk, Chęciny, Chełm, Chmielnik, Dąbrowa, Dubienka, Działoszyce, Hrubieszów, Janów, Jędrzejów, Końsk, Kozienice. Krasnostaw, Kraśnik, Łęczna, Lubartów, Miechów, Noworadomsk, Olkusz, Opatów, Opoczno, Ostrowiec, Pińczów, Przedbórz, Puławy, Sandomierz, Staszów, Szczepieszyn, Szydłowiec, Tomaszów, Włoszczowa, Wierzbnik, Zamość. Każda z tych miejscowości tworzy własną gminę miejską.

1916, nr 271, 01 X. Nowe zarządzenia gen.-gubernatorstwa lubelskiego. C. i k. miejsce wywiadowcze Rzeszów (Słowackiego 6): Biłgoraj, Janów, Krasnostaw, Lubartów, Lublin, Puławy, Zamość (jak dotychczas). C. i k. miejsce wywiadowcze Lwów (Akademicka 17): Chełm, Hrubieszów,

Kowel, Tomaszów, Włodzimierz Wołyński (jak dotychczas).

1916, nr 294, 21 XI. Schwytanie rosyjskiego szpiega. W okolicy Krasnostawu wałęsał się dłuższy czas oficer rosyjski, który - jak wskazują poszlaki - stał na czele rosyjskiej bandy szpiegowskiej, mającej na celu utrzymanie społeczeństwa w bierności przez rozszerzanie bezustannie pogłosek alarmujących, wpajanie w ludność niewiary w zwycięstwo państw centralnych i t. d. Obiecywał on włościanom złote góry, gdy wrócą Moskale, zachęcał ich, by w razie odwrotu wojsk państw centralnych rzucili się na ich tyły. Broń obiecywał wydać im z ukrytych składów w chwili stosownej. Długo działalność ta uchodziła bezkarnie. Dopiero po ogłoszeniu państwa polskiego włościanie dali znać o wszystkim do Biura werbunkowego Legionów polskich.

1916, nr 309, 05 XII. Chłopi na Zamku Warszawskim. Jak wiadomo, w poniedziałek, po wielkim chłopskim wiecu w Warszawie, delegacja, złożona z kilkudziesięciu chłopów udała się na zamek do generał-gubernatora Beselera, celem przedstawienia mu żądań ludu polskiego. Następnie włościanin Sadlak z Krasnostawskiego odczytał wręczony memoriał. W memoriale tym, zgodnie z uchwałami, powziętymi na wiecu w Lublinie dnia 12 b. m. włościanie domagali się proklamowania króla, zgodnie z wolą narodu, który powoła rząd, mający zorganizować państwo polskie, sejm, jako władzy ustawodawczej, oraz zorganizowania armii polskiej, której kadrami winny być Legiony polskie. Ponadto w memoriale tym domaga się włościanstwo: 1) zniesienia granic okupacyjnych, 2) przyłączenia Litwy do państwa polskiego, 3) wypuszczenia jeńców, poddanych Królestwa polskiego, a pozostających w niewoli w Niemczech, Austro-Węgrzech, Turcyi i Bułgarii. Tłumaczem przemówienia włościan był rotmistrz hr. Mielżyński.

1916, nr 315, 11 XII. W imieniu delegacji do J. E. gen.-gubernatora Kuka przemówił wójt Sadlak z Łopiennika (pow. krasnostawskiego) w sposób następujący: „Ekscelencyo! Przyszliśmy tutaj, aby wyrazić naszą radość z powodu wiekopomnej proklamacji Państwa Polskiego dnia 5 listopada 1916 i wyrazić za to obu monarchom państw centralnych głęboką wdzięczność. Oświadczamy, że państwo polskie, król i rząd polski znajdzie zawsze

najsilniejsze oparcie w ludzie włościańskim, który chce, aby państwo polskie było silne, aby w niem panował ład, porządek i posłuch dla prawowitej władzy polskiej. Oświadczamy, że za najsilniejszy fundament państwa polskiego uważamy silną armię polską, która musi być zorganizowana przez rząd polski, a podległa królowi polskiemu”.

1917, nr 3, 04 I. Przemiany w życiu wsi polskiej w Królestwie. Wieści z Krasnostawskiego. Wielki Wiec Włościański. Utworzenie Rady Powiatowej. Krasnystaw, w grudniu. Budzi się ze snu chłop polski. Zewsząd idą wieści radosne, że coraz szersze warstwy włościaństwa naszego stoją przy warsztacie pracy narodowej. Świadomość, że włodarze ziemi polskiej, którzy uprawiają ją od setek lat w krwawym znoju i czoła pocie, są przede wszystkim powołani do udziału w budowaniu fundamentów wskrzeszonego Państwa Polskiego. ... Albowiem Krasnostawskie należy do rzędu tych powiatów, w których szersze warstwy ludności włościańskiej zdają sobie sprawę z przełomów odbywających się w obecnej chwili dziejowej. Włościaństwo Krasnostawskie bierze żywy udział w pracy, torującej drogi zbliżającym się Rządowi Polskim. Wysyłało swych delegatów na zjazdy i konferencje w Lublinie, Piotrkowie i Warszawie. Szczególnie liczna była delegacja Warszawska liczyła bowiem 107 członków. Dnia 3 grudnia odbył się w Krasnymstawie pod szczerem niebem wielki powiatowy wiec włościański. Zagaił go Jan Sadlak, wójt z Łopiennika. Do Prezydium weszli Jan Czuba, z Zastawia, jako przewodniczący, oraz Stanisław Leszczyński, prezydent miasta, Franciszek Sadlak z Rudki, Szałachwiej z Łopiennika i Siembierowicz z Gorzkowa. Sprawozdanie z Wiecu włościańskiego w Warszawie przedłożył Jan Wójcik, z Piask Luterskich; Jan Sadlak objaśnił i odczytał zebrany uchwały warszawskie. Po przemówieniach Pytki z Piask szlacheckich; F. Sadlaka, Iłowieckiego z Zastawia i Siembierowicza wiec powziął rezolucję solidaryzującą się z uchwałami warszawskimi: Po wiecu odbyło się ściślejsze zebranie, w którym wzięli udział wybrani na urzędowo zwołanych zebraniach gminnych delegaci w liczbie po 10-ciu z każdej gminy, wraz z wójtami i sołtysami. Po obszerniejszem przemówieniu Komisarza Wojsk Polskich, chorążego Wadonia, który przedstawił zebrany znaczenie

i następstwa aktu 5-go listopada, obecny stosunek państw centralnych do sprawy polskiej i udzielił szeregu informacji odnośnie do dzisiejszego jej położenia, wyłoniła się z pośród zebranych myśli, by korzystając z zebrania się delegatów gmin, przystąpić do utworzenia Rady Powiatowej. Sprawę traktowano z ogromną rozumą i dopiero po przeprowadzeniu obszernej dyskusji, uchwalono jednogłośnie Radę powiatową założyć. Delegaci gmin wybrali do Rady Powiatowej po dwóch członków i dwóch zastępców z każdej gminy, oraz pięciu delegatów i pięciu zastępców miasta Krasnegostawu.

1917, nr 8, 09 I. Usunięcie z urzędu. Nasz korespondent krasnostawski nadesłał nam następujący dokument „K. u. k. Kreiskommando Krasnostaw. Nr. 14397/V. Do P. Jana Sadlaka, wójta w Łopienniku. Krasnystaw, 24 grudnia 1816. Ponieważ pan poleceń o. i k. Komendy Obwodowej, dotyczących gospodarczego wyzyskania produktów krajowych nie wykonuje, a udzielone panu upomnienia i kara porządkowa nie odniosły skutku, przeto na zasadzie art. 247 ust. gminnej, tudzież udzielonego c. i k. Komendom Obwodowym upoważnienia do wykonywania funkcji byłego gubernium usuwam pana z urzędowania i polecam bezzwłocznie oddać je zastępcy w osobie Jana Szałachwieja z Łopiennika Dolnego. Schuberth, obst. lt.

1917, nr 80, 22 III. Komitet niesienia pomocy wojsku polskiemu. W dniu 13 marca b. r. przybył do Krasnegostawu delegat z Lublina p. Poniatowski, którzy społeczeństwu tutejszemu przedłożył wniosek utworzenia „Komitetu niesienia pomocy Wojsku polskiemu”, określając równocześnie jego zadania w oddaniu usług armii polskiej. Po dość długich dyskusjach także na inny temat i objaśnieniu przez p. delegata, że K. W. P. nie będzie miał nic wspólnego z P. O. W., lecz będzie jedynie miał styczność wprost z Tym. Radą Stanu, obecni na zebraniu panowie: Jan Wadoń, ppor. w. polsk. Floryan Radomyski, obyw., dr Wład. Sekutowicz, dr Eug. Lickendorf, ks. dziekan Decyusz, ks. Szepitowski, A. Garlicki, Hendiger obyw., dr Piechowicz, Leszczyński prezydent miasta, A. Fiut, Baryłko Łukasz kupiec i Myszkowski Witold sekretarz miejsk. komitetu ratunkowego, okazali szczere chęci do pracy i uznali konieczną potrzebę utworzenia K. W. P. W. P., wybierając z pomiędzy siebie do zarządu

tymczasowego: pp. Jana Wadonia, Flor. Radomyńskiego, dr Lickendorfa i dr Sekutowicza. Szczęście Boże szlachetnej pracy! „Świt”.

1917, nr 136, 18 V. Stanowisko polityczne Krasnostawskiego. Jak dowiaduje się „Głos lubelski”, na zebraniu wyborczym do Rady Narodowej przyjęto w Krasnostawskim następującą rezolucję: Zebranie w dniu 29 kwietnia 1917 roku zwołane w Krasnymstawie przez mężów zaufania Rady Narodowej orzekło: 1. Wyborów do Rady Narodowej nie przeprowadzać; 2. Żądać jak najrychlejszego zwołania sejmiku polskiego dla utworzenia rządu polskiego.

1917, nr 152, 04 VI. O zjednoczenie ziem polskich. W Krasnymstawie odbył się pod gołym niebem olbrzymi wiec, w którym wzięło udział kilka tysięcy włościan i przedstawicieli inteligencji. Uchwalono wśród burzliwych oklasków rezolucję tej treści: 1. Jedynym zadawalającym rozwiązaniem sprawy polskiej jest zjednoczenie wszystkich ziem polskich, i utworzenie z nich niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza, państwa takiej wielkości i siły, któreby dawało rękojmię istotnej niezależności politycznej i samodzielnego rozwoju gospodarczego. 2. Skonfiskowano w Lublinie – [cenzura?]. 3. Państwo polskie powinien budować sam naród polski, on tylko może wyłonić z siebie naczelną władzę polską, rząd polski powołany przez Sejm polski, wybrany na demokratycznych podstawach (ostatni ustęp skonfiskowany). 4. Sprawę zwierzchniej władzy państwa polskiego, króla lub regenta, może rozstrzygnąć wyłącznie Sejm polski. Rezolucję zebrani przyjęli owacyjnymi oklaskami. Zjednoczenie wszystkich ziem polskich w niepodległe państwo polskie z dostępem do morza ma w klasie włościańskiej największych i najgorliwszych zwolenników.

1917, nr 264, 24 IX. C. i k. Komenda powiatowa w Krasnymstawie (Królestwo Polskie) poszukuje: Kilku buchalterów, pisarzy i pisarek na maszynie władających językiem niemieckim i polskim, płaca początkowa sześć koron dziennie; dwóch kucharek do kuchni żołnierskiej, płaca 2 korony dziennie i utrzymanie; kilku rzemieślników szewców, krawców, kowali, ślusarzy, stolarzy za wynagrodzeniem do pięciu koron dziennie; kelnerki do oficerskiej menaży za wynagrodzeniem do trzech koron dziennie i utrzymanie. Pensyonowani służy

państwowi i kancelaryjni podurzędnicy mają pierwszeństwo; dokładne oferty należy wnosić do c. i k. Komendy powiatowej w Krasnymstawie.

1917, nr 289, 19 X. Miasto Krasnostaw zaprasza przedsiębiorstwa (fabryki) elektryczne do złożenia ofert na oświetlenia miasta, przedmieść i domów, drogą uzyskania koncesyj, na określoną ilość lat. Warunki, co do ceny i czasu wykonania, muszą być w ofercie wyszczególnione. Termin składania ofert do Magistratu trwa do d. 15. XI. b. r.

1918, nr 43, 12 II. Koniec wojny z Rosją. Ziemia Chełmska i Podlasie przyznane Ukrainie. Koniec stanu wojennego. Art. I opiewa: Niemcy, Austro-Węgry, Bułgaria i Turcja z jednej, a ukraińskie przedstawicielstwo ludowe z drugiej strony oświadczają, że stan wojenny między nimi został ukończony. Kontraktujące strony postanawiają żyć z sobą odtąd w pokoju i przyjaźni. Granice republiki ukraińskiej. Art. II: O ile Austro-Węgry graniczą z Ukraińską republiką ludową, to pozostaną między nimi te granice, które przed wybuchem wojny istniały między monarchią austro-węgierską a Rosją. Ziemia Chełmska i Podlasie przyznane Ukrainie. Dalej ku północy będzie granica przebiegała od Tarnobrodu poczynając, na ogół linią Biłgoraj - Szczebrzeszyn - Krasnostaw - Puchaczów - Radzyń - Międzyrzecze - Sarnaki - Mielnik - Wysokie Litewskie - Kamieniec Litewski - Prużany - Jezioro Wygonowskie. W szczegółach będzie ta granica ustalona przez mieszaną komisję, według stosunków etnograficznych, z uwzględnieniem życzeń ludności.

1918, nr 44, 13 II. Aneksja ukraińska w świetle cyfr. Ogłoszony w dniu wczorajszym traktat pokojowy między państwami centralnymi a republiką ukraińską z dnia 9 b. m. ustala granicę zachodnią tejże republiki ukraińskiej w sposób naruszający jaskrawo istniejący dotąd stan rzeczy w południowowschodnim obszarze Królestwa Polskiego, wyłącza bowiem z tego obszaru ziemie o olbrzymiej większości polskiej. Z obszaru dawnych gubernii lubelskiej i siedleckiej anektuje Ukraina ziemie, położone na wschód od linii Tarnogród - Biłgoraj - Szczebrzeszyn - Krasnostaw - Puchaczów - Radzyń - Międzyrzecze - Sarnaki - Mielnik, czyli powiaty: w całości tomaszowski, hrubieszowski, większość powiatu zamojskiego i chełmskiego, połowę biłgorajskiego, część

krasnostawskiego, w całości włodawski, bialski i niemal w całości radzyński i konstantynowski - razem przeszło 20 tys. km kw. zamieszkałe w stosunku powyżej 50 proc. przez ludność niepolską, bezwzględną większość natomiast powiaty o przewadze ludności polskiej, wśród nich takie, których ludność niepolska stanowi np. 0,1 proc. Na ogół granica aneksji ukraińskiej biegnie na zachód od granicy zachodniej, utworzonej w 1912 r. tzw. gubernii chełmskiej, czyli innemi słowy odcina obszar większy niż to przewidywał rządowy projekt rosyjski, obalony nawet pod względem prawno-państwowym przez czarnoseciną dumę ówczesną. Próba zrealizowania tego rodzaju projektu aneksyjnego - i to wbrew uroczystym zapewnieniom, iż pokój zawartym będzie „bez aneksji”, spotkać się musi z bezwzględnym protestem całego narodu polskiego i świata cywilizowanego.

1918, nr 54, 24 II. Cyfry stwierdzają polskość Chełmszczyzny. Według spisu dokonanego w roku 1906 przez Moskali, było w okręgu krasnostawskim 87 proc. Polaków, 5,9 proc. prawosławnych, to znaczy Rusinów i Moskali.

1918, nr 84, 30 VI. Uchwała o sprzedawczykach. Na zebraniu Straży Kresowej w Krasnymstawie, została podpisana następująca niezwykle ostra uchwała o sprzedawcach: „Strata posiadana zawsze była krzywdą dla kraju; wyzbywanie się na rzecz obcych po 1905 r. było piętnowane, a sprzedawczykowie bojkotowani, lecz po akcie brzeskim, gdy wszyscy wytężenie pracują nad poprawą stosunków, gdy umyślna Straż Kresowa powstała dla obrony posiadania, zbrodniarze dobrowolnego wyzbywania się majątków miejskich i wiejskich nie mogą być ani chwili tolerowani w społeczeństwie, a wszelkie stowarzyszenia i związki, oraz instytucje społeczne i rządowe, pod groźbą posądzenia o współnictwo, winny tych zdrajców unikać i pod żadnym warunkiem nie znosić. Koła, związki i urzędy polskie winny zaprowadzić czarną listę i wzajemnie się o nikczemnikach i wrogach ojczyzny zawiadamiać, by nikt się nie mógł tłumaczyć nieświadomością, jeśli sprzedawczyka do czegokolwiek zaleca lub z nim tylko przestaje. Zdradca narodu niech nie ma w narodzie miejsca”. Następuje kilkadziesiąt podpisów obywateli miasta Krasnegostawu.

1918, nr 123, 08 VIII. Z Krasnegostawu. Krasnystaw w ziemi lubelskiej, miasteczko liczące około 7000 mieszkańców, zostało spalone prawie do połowy. Obecnie przystąpiono do odbudowywania spalonych domostw, wobec czego spodziewać się należy, iż z biegiem czasu miasto przybierze wygląd przedwojenny. Istnieje w miasteczku straż ogniowa ochotnicza, Kasa pożyczkowo-oszczędnościowa, Tow. Wzajemnego Kredytu, Biblioteka, szpital św. Franciszka oraz przytułek dla starców i dzieci. Wszystkie te instytucje rozwijają się szczególnie i pracują z pożytkiem dla miasta. Biblioteka miejscowa liczy około 2000 tomów, których liczba stale wzrasta; kierownikiem biblioteki jest ks. Szepietowski, którego obywatelska działalność i praca na niwie społecznej zasługują na szczere uznanie. Ludność miejscowa i okoliczna chętnie korzysta z biblioteki. Szpital św. Franciszka oraz przytułek dla starców i dzieci znajdują się pod opieką miejscowego obywatelstwa i są prowadzone wzorowo. Istnieje tu również „Kółko miłośników sceny”, odbywające przedstawienia, co tydzień. Czysty dochód przeznaczamy jest na cele społeczne. Krasnystaw posiada 8 kl. gimnazjum realne męskie i żeńskie z programami szkół galicyjskich, przyczem dotychczas uruchomiono po 4 klasy. Szkół elementarnych mamy 6; jest projektowane otworzenie jeszcze jednej szkoły. Rada szkolna pod kierunkiem prezydenta p. Leszczyńskiego działa energicznie i zyskuje sobie ogólne uznanie. Przed kilkoma miesiącami miasto Krasnystaw ogłosiło konkurs na zaprowadzenie w mieście oświetlenia elektrycznego. Ogólnie biorąc Krasnystaw mimo licznych jeszcze braków kulturalno-oświatowych należy do jednych z światlejszych miast Królestwa Polskiego.

1918, nr 134, 19 VIII. Kraków, 18 sierpnia. Ogniowe próba chełmskiego ludu. Publicyści ukraińscy, upierają się przy rzekomej większości ukraińskiej na Chełmszczyźnie - powołują się na stan przedwojenny, który skutkiem emigracji ruskiej na Wschód zmienił się, dopiero rzekomo w czasie wojny na korzyść Polaków. Istotnie: gdyby obecnie można było przeprowadzić plebiscyt, okazałoby się, że odsetek Rusinów w ziemi Chełmskiej bardzo niski, w niektórych powiatach minimalny, jak np. w Hrubieszowskim, gdzie dochodzi do 6,8%, lub w Krasnostawskim, gdzie nie sięga nawet 1%. Nie ulega wątpliwości, że ten odsetek był przed wojną

większy - nigdy jednak do tego stopnia, jak chcą tendencyjne głosy prasy ruskiej, ażeby podawał w wątpliwość polski charakter ziemi.

1918, nr 172, 26 IX. Do prowadzenia królikarni na większą skalę, i na wsi w Królestwie, w niemieckiej okupacji, potrzebny pojedynczy, Polak-katolik (może być inwalida wojenny, specjalista, dokładnie obznajomiony z hodowlą królików. Niezbędno świadectwa dotychczasowej działalności powołanie się na osoby znane w Krakowie. Prócz całkowitego utrzymania, warunki do bliższej umowy. Oferty: Ziemia Lubelska, Krasnystaw Miejski Komitet, Ratunkowy.

1918, nr 213, 06 XI. Starszy profesor gimnazjalny, patent, (łacina, niemiecki, francuski, historia) przyjmie dyrekturę, lepszą posadę nauczycielską. Bazar szkolny, Krasnystaw.

1919, nr 146, 31 V. Obwieszczenie. W powiecie Krasnostawskim jest do obsadzenia kilka posad pomocników sekretarzy gminnych. Wydział powiatowy w Krasnymstawie niniejszym konkurs na te posady. Ubiegający się winien wnieść do Wydziału powiatowego podanie, podając w nim swój życiorys i dołączając odpisy świadectw tak szkolnych i służbowych. Wymagany ukończony rok 24. Płaca roczna 3600 koron.

1919, nr 161, 16 VI. Lwów (PAT). Dyrektora kolei ogłasza, że dnia 15 bm. wyjedzie po raz pierwszy ze Lwowa pociąg pospieszny przez Bełż, Lublin do Warszawy. Jazda tym pociągiem trwać będzie 15 godzin. Pociągi zatrzymywać się będą na następujących stacjach: Żółkiew, Rawa Ruska, Bełż, Zawada, Krasnystaw, Rejowiec, Lublin, Puławy, Dęblin, Piława.

1919, nr 173, 28 VI. Konkurs. Do P.T. Słuchaczów medycyny! Wydział Sejmiku Krasnostawskiego ogłasza konkurs na 14 posad instruktorów dezynfektorów i krzewicieli zasad higieny wśród ludu na termin wakacyjny. Od 15 lipca do 15 września 1919 r. z płacą 1000 (tysiąc) koron miesięcznie. Do obowiązków Instruktorów naloty: udzielanie wskazówek ludności przy przeprowadzaniu desynfekcji mieszkań, pouczanie o zasadach higieny za pomocą broszur i odczytów. Termin zgłoszeń do 8-go lipca b. r. pod adresem: Wydział Sejmiku Powiatowego w Krasnymstawie, Ziemi Lubelskiej. Wydział Powiatowy.

1919, nr 199, 24 VII. Posady dla kwalifikowanych urzędników skarbowych, tudzież na okres 3 mieś. Posada tymczasowego sekwestratora z płacą 375 koron miesięcznie i prowizją do 3% ściągniętych sum nieprzekraczającą kwoty 525 koron miesięcznie są do objęcia w Inspektoracie skarbowym w Krasnymstawie. Pierwszeństwo mają kandydaci, którzy już w skarbowości pracowali. Prośby z dołączeniem życiorysu, oryginałów lub odpisów wierzytelnych świadectw szkolnych i zawodowych przedkładać należy pod adresem Inspektoratu skarbowego w Krasnymstawie.

1919, nr 214, 08 VIII. Prywatne Gimnazjum Żeńskie w Krasnymstawie (w roku szkolnym 1919/1920, 4-klasy) poszukuje kierownika(czki) z pełnemi kwalifikacjami i obowiązkiem nauczania 10 godzin tygodniowo, pożądana grupa matematyczno-przyrodnicza, nadto 3-ch sił nauczycielskich do matematyki, przyrody, języka niemieckiego, geografii i rysunków. Minimalna płaca nauczyciela(lki) 12.000 koron rocznie. Oferty z odpisem kwalifikacji i ewentualnemi warunkami przyjmuje do 15 sierpnia Dyrektor Państwowego Gimnazjum w Krasnymstawie.

1919, nr 244, 19 X. Warszawa. Wedle informacji otrzymanych ze Związku Ziemian ruch strajkowy robotników rolnych ujawnił się w powiatach: Piaseczno, Gostynin, Konin, Grabów, Kalisz, Płock, Ciechanów, Mława, Wągrów, Częstochowa, Miechów, Włoszczowa, Krasnystaw, Hrubieszów.

1919, nr 285, 07 IX. Parcelują się dobra Płisków i Rakolupy przestrzenią około 3000 morgów z lasem i budynkami w odległości o koło 18 wiorst od Krasnegostawu, Chełma i stacyi Rejowca. W bliskości obecnie buduje się kolejka. Cena 700-900 r. morga.

1919, nr 311, 07 IX. 4-klasowe Miejskie Gimnazjum Żeńskie w Krasnymstawie poszukuje kierownika(czki) i jednego nauczyciela(lki), którzyby mogli udzielać nauki geografii, przyrody, matematyki, fizyki, języka łacińskiego i niemieckiego. Pensja miesięczna kierownika, obowiązującego do uczenia w 10-ciu godzinach tygodniowo wynosi 2000 koron, nauczyciela zaś za 20 godzin tygodniowo 1000 kor. Godziny nadliczbowe płatne oddzielnie po 600 koron za godzinę w stosunku rocznym. Ze względu na brak większych mieszkań pożądanymi są, o ile możliwości, kandydaci bezżenni.

Uprasza się o zgłoszenia natychmiastowe (najpóźniej do 20 b. m.) do Magistratu miasta Krasnegostawu. Magistrat miasta Krasnostawu.

1919, nr 329, 03 XII. Warszawa. Jak wiadomo, zwołała P. P. S. na 7 grudnia zjazd robotników rolnych, licząc, że przy odbywających się wyborach delegatów zjazdowych zdobędzie większość. Tymczasem dotychczasowe wybory przy niosły sukcesy komunistom, którzy uzyskali większość w pow. lubelskim, garwolińskim i krasnostawskim.

1920, nr 2, 02 I. Magistrat m. Krasnegostawu Ziemi Lubelskiej ogłasza konkurs na stanowisko odpowiedzialnego kierownika tartaku i elektrowni miejskich. Wymagana jest gruntowna znajomość (techniczna i handlowa) prowadzenia wymienionych zakładów. Wynagrodzenie według umowy. Reflektanci winni przesłać swoje oferty nie później jak 12-go stycznia 1920 r. wraz z odpisami posiadanych kwalifikacji, *curriculum vitae* i swoich warunków do Magistratu m. Krasnegostawu.

1920, nr 22, 22 I. Drukarnia w Krasnymstawie, potrzebuje natychmiast zecera. Zgłoszenia pożądane telegraficzne wraz wymaganymi warunkami nadsyłać M. Łazowskiemu w Krasnymstawie.

1920, nr 32, 01 II. Wydział powiatowy w Krasnym Stawie, ziemi Lubelskiej ogłasza konkurs na stanowiska: 1. Inżyniera drogowego ze znajomością architektury i techniki przemysłowej na warunkach: pobory związane z VI kategorią prac urzędników państwowych wraz z 25% dodatkiem Sejmikowych wynoszą od 3425-3462 K miesięcznie. 2. Inspektora samorządu gminnego (lustratora) wymagane jest średnie wykształcenie, znajomość rachunkowości i 2 letnia praktyka fachowa w zakresie pracy samorządowej. Pensja odpowiadająca VIII kategorii płac urzędników państwowych wraz z dodatkiem wynosi od 1397-1437 K miesięcznie. 3. Buchaltera posiadającego średnie wykształcenie, świadectwo z ukończenia kursów buchalteryjnych; praktykę zawodową. Pensja odpowiadająca VIII kategorii płac urzędników państwowych z dodatkami wynosi od 1575-1715 K miesięcznie. Reflektujący na powyższe stanowiska winni przesłać do Wydziału powiatowego do dnia 10 lutego b. r. oferty wraz z odpisami świadectw zawodowych, świadectwo moralności i „*curriculum vitae*”.

1920, nr 33, 02 II. Powiatowy Urząd Zdrowia w Krasnymstawie zawiadamia, że w mieście Krasnostaw wakuje posada lekarza miejskiego. Praktyka prywatna wobec braku lekarzy zapewniona. W osadzie Żółkiewka pow. Krasnostawskiego potrzebny lekarz. W promieniu 25 km. nie ma lekarza. Praktyka prywatna do 8 tys. kor. Miesięcznie. Informacyi udziela Powiatowy Urząd Zdrowia Krasnostaw.

1920, nr 117, 29 IV. Konkurs. Magistrat miasta Krasnegostawu Województwa Lubelskiego rozpisuje niniejszem konkurs na posadę architekta miejskiego z zasadniczą płacą miesięczną 2000 marek, z prawem wolnej praktyki. Kandydaci mają przedłożyć dowody odbytych studyów i świadectwa dotychczasowej praktyki. Podania należy wnieść w terminie do 10. maja b. r. Krasnostaw, 22 kwietnia 1920. Magistrat miasta Krasnegostawu.

1920, nr 131, 14 V. Konkurs. W myśl rozporządzenia Min. Spraw Wewn. z dnia 6/XII 1919 r. Nr. A. A. 4687/15 rozpisuje się niniejszem konkurs na dostawę przedmiotów urządzenia biurowego: Oferty z podaniem cen należy nadsyłać pod adresem: Starostwo w Krasnymstawie. Komisya Gospodarcza Starostwa Krasnostawskiego. Starosta: Wielanowski. W. Dołżyński. 27/IV 1920.

1920, nr 191, 14 VII. Konkurs. Miejskie Gimnazjum żeńskie w Krasnym Stawie poszukuje kierownika i 4 nauczycieli(lek) mianowicie: 1. Języka polskiego i francuskiego, 2. Geografii i historii, 3. Przyrody, matematyki i fizyki, 4. Rysunków, kaligrafii, kobiecych robót ręcznych. Kierownik obowiązany poza swemi zajęciami do 10 godzin nauki tygodniowo - otrzymuje 5000 Mk miesięcznie, światło i opał, nauczyciel za 20 godz. pracy tygodniowej otrzymują zależnie od kwalifikacji 3200 Mk względnie 2400 Mk. Podania należy udokumentowane wraz i referencyami osób poważnych należy nadsyłać najpóźniej do 20 lipca b. r. do Magistratu miasta Krasnegostawu.

1920, nr 227, 19 VIII. Ogłoszenia Urzędu skarbowego akcyz i monopolów w Zamościu czasowo Kraków, Łobzowska 26. Wszystkich urzędników i funkcjonariuszów Kontroli Skarbowej; powiatów; Biłgoraj, Krasnostaw, Tomaszów lubel. Zamość zawiadamiam, że czasowo urzęduję w Krakowie, Łobzowska 20.

1920, nr 245, 06 IX. Inspekcja Szkolna pow. Krasnostawskiego urządza podczas ewakuacji w Ostrowcu, ul. Głucha 5 (pow. Opatów).

1920, nr 285, 15 X. Ruch przekazowy podjęły w Małopolsce urzędy pocztowe włącznie po linie rzeki Bugu, Złotej Lipy aż do rzeki Dniestru a w okr. dykcji lubelskiej oprócz urzędów dotychczasowych także urzędy pocztowe: Parczew, Wisznice, Rejowiec, Krasnystaw, Bełżyce, Chełm, Piaski, Tomaszów lubelski, Izbica, Kraśniczyn, Zamość, Szczebrzeszyn, Józefów biłgorajski, Łaszczów, Zwierzyniec, Włodawa i Hrubieszów.

1920, nr 290, 22 X. Wolne posady lekarzy szk. Wakują również posady dentystów szk. w gimn.: w Łomży, w Krasnymstawie, Hrubieszowie, Pińczowie, otrzymują 3000 - 5000 m. p. mies., praca dzień, otrzymują 3000 - 5000 m. p. mies., dentysta szk. około 3000 m. p. mies.

1920, nr 331, 03 XII. Wspólnika poszukuję lub sprzedam fabrykę. Budowlano-stolarska fabryka „Oszczędność”. Wiadomości udzieli „Bazar Szkolny” F. Wdowickiego w Krasnymstawie.

1920, nr 344, 16 XII. Kupimy maszynę do wyrobu gontów meblowanych i torfiarkę z prasą lub bez prasy. Oferty wraz z opisem i podaniem wydajności przyjmuje Magistrat w Krasnym-Stawie.

1920, nr 350, 22 XII. Wydział Powiatowy w Krasnymstawie rozpisuje niniejszem Konkurs na posadę: 1. Inspektora samorządu gminnego w VII kateg. płacy. 2. Kierownika „Biura porad prawnych i podań przy Sejmiku” w VIII kat. płacy. 3. Technika budowlanego w VIII kat. płacy. Posady zostaną nadane na 6 miesięczny okres próbny, poczem nastąpi ewent. zatwierdzenie. Ad 1) wymagane jest przynajmniej średnie (gimnazjalne) wykształcenie, oraz przynajmniej kilkuletnia praktyka na podobnym stanowisku. Ad 2) przynajmniej wykształcenie gimnazjalne i praktyka w zawodzie adwokackim, wzgl. administracyjnym. Ad 3) przynajmniej szkoła przemysłowa (średnia) i odpowiednia praktyka. Ubiegający się o powyższe stanowiska zechcą nadesłać tu podanie (z powołaniem się na podaną liczbę) załączając metrykę chrztu, świadectwo moralności, świadectwa szkolne i z odbytej praktyki, oraz odpowiednie referencje. Krasnystaw, dnia 15 listopada 1920.

1921, nr 167, 23 VI. Konkurs. Miejskie gimnazjum żeńskie w Krasnym Stawie poszukuje na

rok szkolny 1921/22 4 nauczycieli(lek) a mianowicie 1) języka polskiego, 2) fizyki i matematyki, 3) języka niemieckiego i łacińskiego, 4) historii i geografii. Kwalifikowani kandydaci na nauczycieli będą mieli pierwszeństwo. Pobory jak w szkołach państwowych. Ze względu na brak mieszkań pożądanymi są kandydaci stanu wolnego. Podania z referencjami osób poważnych nadsyłać należy najpóźniej do 10 lipca b. r. do Magistratu m, Krasnego Stawu, z. Lubelska.

1921, nr 287, 22 X. Rada Szkolna Powiatowa w Krasnymstawie ogłasza konkurs m kilkanaście opróżnionych posad nauczycielskich w szkołach powszechnych. Posady do obsadzenia są tylko po wioskach, przy szkołach jednoklasowych i do objęcia z dniem 1-go listopada b. r. nauczyciele(ki) kwalifikowani(e) otrzymają pobory X kategorii, zaś siły niekwalifikowani XI kategorii płac pracowników państwowych. Podania z dowodami kwalifikacji, świadectwem zdrowia, oraz przebiegiem życia należy nadsyłać do Rady Szkolnej powiatowej w Krasnymstawie do dnia 30 X b. r.

1921, nr 338, 12 XII. Okręgi wyborcze. Byłe Królestwo Polskie: 18). Zamość 5 mand. 19). Krasnystaw 5 mand. 20). Lublin 5 mand. Razem z byłego Królestwa Polskiego wraz z powiatami granicznymi 147 mandatów. Ponadto otrzymują miasta Warszawa 14, Łódź 7. Razem 21 mandatów.

1922, nr 49, 18 II. Szał modnych tańców ogarnął nie tylko sfery miejskie, ale przeniósł się także na wieś, gdzie obecnie na zabawach chłopskich two-step i foxtrott czynią poważną konkurencję krakowiakom i obertasom. We wsi Gorzków pow. krasnostawskiego, gdzie ieden z zamożniejszych gospodarzy urządził bal, na który zaprosił wielu znajomych, a między innymi Antoniego Łosia. Łoś, jako jeden z najlepszych tancerzy, popisywał się two-stepem, ponieważ jednak danserki małą miały w tym tańcu wprawę, więc narażało go to na bolesne potłuczenie nóg. Chcąc zmniejszyć dotkliwość cierpienia, zdjął buty i dalej tańczył boso bez opamiętania. Bal skończył się smutnie, gdyż po skończonej zabawie pozostawione pod stołem buty - znikły bez śladu.

1922, nr 139, 24 V. Na Cegielkę Wawelską złożyli. Kupcy i przemysłowcy pow. krasnostawskiego przez urząd skarbowy Mk 29.770.

1922, nr 149, 03 VI. Cegielki wawelskie ufundowali: 2639-ą Urząd skarbowy Krasnystaw.

1922, nr 182, 09 VII. Zarząd Okręgowy Lasów Państwowych w Radomiu podaje do wiadomości, iż dnia 25 lipca 1922 r. w lokalu Nadleśnictwa Krasnystaw w mieście Krasnystawie odbędzie się licytacja na sprzedaż 936 sztuk kłoców dębowych o miąższości 648,52 m³ i 591 mp. szczap użytkowych dębowych z Nadleśnictwa Krasnystaw, z leśnictw: Pawłów, Łopiennik i Namule. Bliższych informacji udzieli O. Z. L. P. w Radomiu. Radom, dnia 5 lipca 1922 roku. Zarząd Okr. Lasów Państwowych w Radomiu.

1922, nr 209, 05 VIII. Zniszczenie trzech band rozbójniczych w Lubelskiem. Bandytyzm grasuje w całym kraju, jednak nigdzie nie dał się on we znaki ludności tak bardzo, jak w Lubelskiem. Ludność powiatów chełmskiego, janowskiego, hrubieszowskiego, zamojskiego i krasnostawskiego była w ostatnich czasach zupełnie sterroryzowana przez bandytów, tak, że z obawy zemsty ukrywała ich. Nazwiska bandytów znane tam były wszystkim mieszkańcom wyżej wymienionych powiatów, a jednak nikt nie odważył się zdradzić miejsca ukrywania się bandytów. W ostatnich czasach w walce z bandytami zginęło 8-miu policyjantów. Trzeba więc było zorganizować zbiorowe wystąpienie.

1922, nr 270, 05 X. Konkurs. Rada Szkolna Powiatowa w Krasnym Stawie ogłasza niniejszym konkurs na: 10 (dziesięć) posad nauczycielskich przy szkołach powszechnych w powiecie krasnostawskim z poborami w g. X kat tab. płac urzędników państw. Miejscowości, w których wakują posady oddalone są o 15-35 klm. od miasta pow. Krasnego Stawu, oraz od 5-20 klm. do stacji kolejowej. Kandydaci zgłaszający się na te posady winni nadsyłać najpóźniej do dnia 10 października b. r. należyście udokumentowane podania, a w szczególności dołączyć: 1) oryginalne świadectwo dojrzałości; 2) metrykę urodzenia; 3) świadectwo moralności; 4) świadectwo przynależności; 5) świadectwo lekarskie; 6) adresy dwóch powszechnie znanych i zaufania godnych osób, na które mogą się powołać i 7) dokładne *curriculum vitae*. Podania nieuwzględnione zostaną zwrócone wraz z załącznikami do dnia 20 października b. r. Sekretarz: Kaz. Tokarski. Przewodniczący R. S. P, Miecz. Krukiewicz.

1923, nr 181, 29 VII. Cegielki wawelskie ufundowali: 5332. Pierwsi maturzyści z r. 1923 gimn. Państw. im. Wł. Jagiełły w Krasnym Stawie.

1923, nr 209, 26 VIII. Na odnowienie katedry i grobów król. na Wawelu złożono: Józef Kłosowski od „Kółka miłośników piękna” w Krasnymstawie 30.000 mk.

1923, nr 221, 07 IX. W Gimnazjum Humanistycznym Żeńskim w Krasnym Stawie, wojew. Lubelskiego wakują do natychmiastowego objęcia stanowiska kierownika oraz nauczycieli(ek) polonisty, matematyki z fizyką, francuskiego, rysunków i robót kobiecych.

1923, nr 309, 07 XII. Budowa nowych linii telefonicznych. W przyszłym roku projektowane jest wybudowanie następujących linii telefonicznych: Łódź-Gdańsk, (dodatkowy drugi przewód). Warszawa-Dęblin-Krasnystaw celem uzyskania bezpośredniego połączenia Warszawa-Lwów, Warszawa-Równo.

1924, nr 279, 12 X. Jakże powiaty uznano za dotknięte klęskami żywiołowymi. Rolnicy mogą korzystać z ulg podatkowych w powiatach. W województwie lubelskiem. Biała, Biłgoraj, Konstantynów, Krasnystaw, Lubaczów, Łuków, Siedlce, Sokołów, Włodawa.

1925, nr 99, 09 IV. Strajk rolny wykazuje dalszą tendencję ku likwidacji. W Lubelskiem w 40 majątkach strajkuje 1000 robotników. Strajk rozgałęzia się zwłaszcza w powiatach łukowskim i krasnostawskim.

1925, nr 185, 08 VII. Konkurs. Rada Szkolna Powiatowa w Krasnymstawie ogłasza niniejszym konkurs na 20 (dwadzieścia) posad nauczycielskich przy szkołach powszechnych w powiecie Krasnostawskim z poborami według X kat. płac urzędników państwowych. Miejscowości, w których wakują posady, oddalone są, o 5-30 km. od miasta, powiatowego, Krasnegostawu, oraz o 5-20 km. od stacji kolejowej. Kandydaci, zgłaszający się na te posady, winni nadesłać do Rady Szkolnej należyście udokumentowane podania (oryginalne świadectwo dojrzałości, metrykę urodzenia i inne). Podania nie uwzględnione zostaną zwrócone wraz z załącznikami. Sekretarz: Łazowski. Za vice prezes R. S. P. Ks. B. Malinowski.

1925, nr 229, 22 VIII. Ogólnopolskie zawody strzeleckie. W dn. 15 i 16 bm. odbyły się 4-te ogólnopolskie zawody strzeleckie. Stawało 85 zawodników. Mistrzem Związku Strzeleckiego został Stanek (Kielce), który osiągnął 95 pkt. (10 strzałów na odległ. 100 mtr.). Nagrodę M-stwa spraw wojsk, wygrał Bednarz (Krasnostaw), zdobywając 45 pkt. (10 strzałów w ciągu 1 minuty). W kategorii broni małokalibrowej mistrzem Związku został p. Bednarz. Nagrodę wędrowną redakcji „Strzelca” wygrał zespol krasnostawski.

1925, nr 283, 15 X. Jak odbędzie się przewiezenie zwłok Nieznanego Żołnierza ze Lwowa do Warszawy. Lwów, 13 października. We Lwowie są już czynione przygotowania do ekshumacji zwłok Nieznanego Żołnierza, które, jak wiadomo, zostaną z lwowskiego pobojuwiska przewiezione do Warszawy. Ekshumacja odbędzie się w ostatnich dniach października, zaś przewiezenie zwłok nastąpi 30 października z kaplicy Obrońców Lwowa, do katedry. Tego samego dnia odbędzie się ceremonia przewiezienia zwłok na dworzec a 1 listopada o godz. 8.30 rano, zwłoki zostaną przewiezione do Warszawy. Pociąg ze zwłokami przejedzie do Warszawy przez Rawę Ruską, Tomaszów, Krasnostaw i Garwolin. Zwłokom będą towarzyszyć delegacje dwóch matek, dwóch wdów i dwóch sierot po żołnierzach, leżących w nieznanach mogiłach. Na każdej stacji, gdzie są garnizony wojskowe, zwłoki będą witane honorami wojskowymi.

1925, nr 294, 26 X. Rozkład jazdy pociągu, wiozącego zwłoki Nieznanego Żołnierza: Odjazd ze Lwowa 8:48, z Żółkwi 9:59, z Rawy Ruskiej 11:23, z Bełżca 12:22, z Zawady 14:41, z Krasnego Stawu 15:56, z Rejowca 16:52, z Lublina 19:02, z Puław 20:19, z Dębina 21:05, z Garwolina 22:11. Przyjazd do Warszawy 2 listopada 6:05. Na wszystkich tych stacjach pociąg zatrzyma się po parę lub kilkanaście minut. Rysunek, według którego wykonano trumnę, został wykonany przez artystę malarza, Rom. Witkowskiego. Dąb, z którego została zrobiona trumna, ma około 300 lat i wydobyty jest z Wisły.

1926, nr 253, 14 IX. Ruch we Lwowie. Dzięki przepięknej pogodzie na Targach Wschodnich, jak i w mieście panował wielki ruch. Przyczyniły się do tego prócz licznych wycieczek, wyścigi automobilowe i zawody w piłkę nożną między Polską

a Turcją. W niedzielę przybyła wycieczka rolnicza, złożona ze 150 osób z Krasnego Stawu.

1927, nr 71, 13 III. Wydział Powiatowy w Krasnymstawie rozpisuje niniejszym konkurs na wykonanie budowy gmachu głównego szkoły rolniczej w Krasnymstawie. Zainteresowane firmy lub przedsiębiorstwa proszone są, o zwracanie się do Wydziału Powiatowego, skąd odwrotną pocztą: otrzymując, ślepy kosztorys, który umożliwi złożenie dokładnej oferty. W ofercie winny być zaznaczone również propozycje, co do warunków zapłaty za wykonane roboty. Ponieważ budowa musi być wykonana w bieżącym noku, przeto równocześnie rozpisuje się konkurs i na częściowe wykonanie budowy. Termin składania ofert do dnia 30 b. m. Przewodniczący. Wydziału Powiatowego: Blocki.

1927, nr 109, 22 IV. Masowe zbrodnie podpaleń. W powiecie krasnostawskim szerzy się po wsiach panika wywołana kilku pożarami, które w przeddzień zastały zapowiedziane przez złoczyńców podrzucenymi kartkami. Mianowicie w Wielką Sobotę pojawiły się we wsi Bzite, powiecie krasnostawskim, kartki zapowiadające rozpoczęcie się pożaru o godzinie 6. Istotnie o tej godzinie wybuchł ogień w je dnem z budynków i zniszczył kilka zabudowań. To samo powtórzyło się następnego dnia, tj. 17 bm. W tym dniu spłonęło 11 zabudowań. Taki sam pożar wybuchł dnia 18 we wsi Łopiennik. Podpalenia rzuciły postrach na okoliczne wsi. Dotychczas władzom nie udało się stwierdzić motywów i sprawców tej zbrodni, której ofiarą padło kilkadziesiąt niewinnych rodzin.

*Ze zbiorów Małopolskiej Biblioteki Cyfrowej
opracował*

dr Kazimierz Stolecki

Stanisław Bojarczuk



Oczepiny

I

Gdy do izby w „obnosiny”
wszedł korowaj zdobny w groszki,
to dla gości pewny wniosek,
że już bliskie oczepiny.

A w komorze „rozpleciny”.
Rozczesane młodej włoski.
Zdjęte „stroik”, zeń kumoszki
zrobią gościom „odczepiny”.

by oczepin obrzęd przerwać,
druhny nuć śpiew żałośnie:
„Że we wczesnej życia wiosnie

już z panieństwem musi zerwać
i wianuszek swój utraci,
i niewolą swą przypłaci”...

II

W komorze na dzieży pustej
posadzonej cheszą włoski,
głowę jej w rafałowski
zawój wiąże z kraśnej chusty.

Dziś zmieniły się mód gusty.
Znikła cecha wsi do głoski.
Dziś strój poliszynelowski
maskaradą jest w zapusty...

Przy śpiewaniu „nie żałować,
na czepeczek podarować...”
od gości datki zbierają...

Już korowaj drużby krąją:
„Przyjmcie, goście, choć niewiele,
bo się kończy już wesele”.

Do majowej jutrzeńki

Siedemdziesiąty piąty maj dziś dla mnie nastał.
Czy wesół, czy smutny, któż to wiedzieć może?
W przyrodzie zalecanki wszczęły się amorze:
florze, faunie i czlecze - w lasach, siolach, miastach.

A w dziejach? Zda się bije godzina dwunasta...
Dowody tego dają powietrze, ląd, morze...
Krzywdzeni i krzywdzący w nieświełym humorze.
Czemuż? - Bo tym post zgubą, tamtym nadomasta...

Jutrzni! W maju, miesiącu mojego Patrona,
tyś, zda się, najpiękniejszą w mych rodzinnych stronach,
Czy choć aby początki nadziei dla nas niesiesz?...

Ja wiem, po Oleandrach bywał zwykle Nieśwież...
Bywały panie luki i szafoty w tronach...
Więc się może Majowa Jutrzeńko i nie śpiesz...

Rońsko 1943

Lipa

Przecisnąwszy się leśną zwartością mniej szczelną
drzewin, leszczyn, kobierzec mchów zdobnych w paprocie,
rankiem lipcowym słońce uroczysko złoci
wraz z unikatem - lipą - z barcią wewnątrz pszczelną.

A cóż tu za wspaniała tak symfonia grzmoci
nasycająca dźwiękiem las, świątynię zielną,
skrzypiec i wioli, niby muzyką weselną?
To pszczołki niosą w barć miód słodkiej dobroci.

Blask, słodycz, zapach kwiecia wabi pszczołek grono.
Instynkt do ponoszenia zmusza ich wysiłków,
celowego rozsiania kwiatom płodnych pyłków.

Dlatego to z rozkoszą w ich kielichach toną,
a miód, który za Piasta już w trunek sycono,
zaliczę do najlepszych konsumpcji posiłków.

Rońsko, VII 1925

Stanisław Bojarczuk

Do lipy

W Arkadii wielkodolskiej, dzieciństwa Olimpie,
kiedyśmy przy pasieniu bydelka ślęczeli,
latem grały nam pszczołki na swej wionoczele,
gdy pod słońcem nóg bosych rosa szlochem chlipie.

W Grądku, leśnym atolu, pośród glinnych szczelin,
z których wokół zwisały krze, paprocie, skrzypie,
à - vis dębów, k północy, rość przyszło ci, lipie,
na której w lipcu stawał się miodosprzęt pszczelin.

Między tobą a dębem, dolinka „Odnóżki”,
Nad nią się waszych konar festony zwieszały,
kiedyśmy pastuszące odbywali szale.

Tam był niby zapiecek, zwany przez nas wanną,
gdzie słońce ogrzewało od wiatru schowaną
płowowłosą *Driadę* i jej bose nóżki ...

II

Lipo! w dziupli twej prace pełniły saperze
pszczoły jak w barci, celem w niej składania płodu
karmionego pyłkami z krztą miodnego słoju,
a w wnękach sęcz spróchniałych tkwiły nietoperze.

Lipo! Myśl ma w archiwach scen ubiegłych szperze,
wsuwał się w muzykę słyszana za młodu.
Dziś, w wieku dysonansów, sztuk klasycznych głodu,
tęsknię ku w twojej strukturze pszczoł brzęku operze.

Lipo, ty muz przybytku zwalony wichurą!
Ulegając współczesnej nagrywania stygmie,
kuszę się w utrwalaniu naturo-muzyki.

Lecz zanim ludzkich krtani ją wyłkają języki,
czyniąc hołd dawno zmiłkłym pszczelich oper chórów,
chcę w sztuce cię uwiecznić, nim jaźń ma zastygnie.

Rońsko 1936

Prace z XII powiatowego konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowa- nego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie

Nagrody:

1. Adrianna Dras: *Legenda o tym jak król Władysław Jagiełło przyczynił się do zamknięcia psotnego chochlika w krasnostawskich lochach*. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie,
2. Michał Raczkowski: *Legenda o cudownym źródleku i świętym obrazie*. Szkoła Podstawowa w Surhowie,
3. Dawid Kowalczyk: *Legenda o Liczykrupie, pięknej Zuzannie i zaczarowanym stawie*. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie,
4. Aleksandra Olejarczyk: *Wioska bez nazwy*. Szkoła Podstawowa w Łopienniku Nadzecz-nym,
5. Maksymilian Rzemieński: *Legenda o nadaniu nazwy wsi Łopiennik*. Szkoła Podstawowa w Łopienniku Nadzecz-nym,
6. Przemysław Błaszczak: *Nieznany król*. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie.

Wyróżnienia :

1. Jakub Jagiełło: *Jak to w Suchodolach było...* Szkoła Podstawowa w Fajstławicach,
2. Andrzej Polski: *Prawdziwa historia o zakonnikach z Łan*. Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym,
3. Gabriela Klus: *Skąd się wzięła nazwa Krasny-staw i dwa karpie w herbie miasta?* Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie,
4. Maja Smolira: *Tajemniczy bęben*. Szkoła Podstawowa w Tarnogórze,
5. Natalia Witos: *Legenda o złym panu, pięknej pani, Jaśku i diable ze starego młyna*. Szkoła Podstawowa w Tarzymiechach.

Prace zauważone:

- Weronika Fornek: *Sen Jasia*. Szkoła Podstawowa w Tarnogórze,
- Patryk Kuźmicki: *Legenda o mulistym widmie*. Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie,
- Łukasz Kulczyński vel Nowosad: *Legenda o dwóch braciach*. Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym,
- Konrad Piwko: *Jak dzielny Franio został starostą Krasnegostawu*. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie,
- Zuzanna Kucharczyk: *Legenda o trzech braciach*. Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie,
- Katarzyna Ruszniak: *Legenda o cudownym uzdrowieniu*. Szkoła Podstawowa w Fajslawicach.

I nagroda**Adrianna Dras**

Legenda o tym jak król Władysław Jagiełło przyczynił się do zamknięcia psotnego chochlika w krasnostawskich lochach

Dawno, dawno temu, gdy w Polsce sprawował rządy król Władysław Jagiełło, na ziemiach krasnostawskich pojawił się złośliwy chochlik. Był to niewielki stworek o zielonkawej skórze, długim ogonie i rozbieganych oczkach. Lubił, gdy między ludźmi nie było zgody, wtedy też na jego twarzy pojawiał się złośliwy uśmiech. Chochlik zadomowił się w pobliskiej puszczy, skąd słychać było jego krzyk i dziwny, zwierzęcy skrzek. Wieść głosiła, że kiedy mieszkańcy pobliskiego grodu Krasnystaw byli zwaśnieni i obrażeni na siebie, stworek robił się coraz większy i silniejszy. Malał natomiast i tracił siły, gdy między ludźmi panowała zgoda i przyjaźń.

Aby nie stracić swej mocy, złośliwy chochlik często zaczął się na ludzi, by podsłuchać ich rozmowy, a następnie rozsiewać złośliwe i krzywdzące innych plotki. Często pojawiał

się także w samym grodzie. Chodził uliczkami miasteczka, odwiedzał ludzkie zabudowania i dobrym słowem sprzyjał mieszkańcom, aby tylko wyciągnąć od nich jakieś informacje, które potem mógłby wykorzystać do swych niecznych planów.

Od czasu pojawienia się chochlika, gród założony na lewym brzegu rzeki Wieprz, przestał się rozwijać. Kamienice, które mieszkańcy zaczęli budować na krasnostawskim rynku popadały w ruinę, gdyż rzemieślnicy nie mogli dojść ze sobą do porozumienia co do wyboru materiału i kształtu budowli. Czwartkowy targ zamienił się w krainę zwady i waśni. Zewsząd słychać było odgłosy kłótni i złośliwości, jakie ludzie wypowiadali w swoją stronę. Na twarzach mieszkańców pojawił się grymas niezadowolenia, a cechą ich charakteru coraz częściej stawała się skłonność do plotkowania i oczerniania innych. Najgorsze było to, że nawet między dziećmi nie było zgody. Nie bawiły się one jak dawniej z radością i szczerością, jedynie naśladowały złośliwości dorosłych.

W owym czasie, nad rzeką stał murowany zamek, gdzie często zatrzymywali się polscy królowie. Na zamku, mieszkał ze swą rodziną pewien kupiec o nazwisku Korzyc. Był on człowiekiem pracowitym i pogodnym, toteż szczęście mu sprzyjało. Cieszył się zaufaniem króla Władysława, który mianował go pierwszym wójtem Krasnegostawu. Korzyc miał syna o imieniu Błażko. Ten dzielny i pracowity młodzieniec był prawdziwą dumą swego ojca. Stary wójt doskonale rozumiał, że źle się dzieje w jego mieście. Niestety, nie wiedział w jaki sposób uratować jego mieszkańców. Z niecierpliwością, ale i nie małym niepokojem oczekiwał na przybycie króla Jagiełły, który szczególnie lubił te okolice i był częstym gościem krasnostawskiego zamku.

Korzyc dobrze znał króla i wiedział, że Władysław Jagiełło, rodowity Litwin, nie był w bogactwie i wygodach rozmiłowany, cenił sobie prostotę, gdyż od dzieciństwa był przyzwyczajony do surowego i skromnego życia. Król jadał tylko niewyszukane potrawy, które popijał zazwyczaj źródlaną wodą. Władca uwielbiał polowania i przebywanie w krasnostawskich borach. Wierny wójt wiedział, że wkrótce król

zateśkni za leśną głuszą, rześkim powietrzem, zapachem lasu i pogonią za zwierzyną.

Pewnego razu, kiedy wracał z cotygodniowego targu, usłyszał, że zbliża się królewski orszak. Z bijącym sercem popędził na zamek, by powitać króla. Jagiełło przybył do Krasnegostawu, by odpocząć i zorganizować wielkie łowy. Wierny wójt nieśmiało opowiedział o tym, co dzieje się w Krasnymstawie.

- Królu, jak to możliwe - głośno zastanawiał się Korzyc - aby dotychczas zgodni mieszkańcy, wiedli między sobą tyle sporów, które nierzadko kończyły się na sali sądowej? Przecież to spokojni i bogobojni ludzie.

Wyjaśnienie było jedno. Ktoś lub coś musiało wprowadzać waśnie między ludźmi. Oczywiście, podejrzenie padło na nowego mieszkańca prastarej puszczy, psotnego chochlika. Należało go jak najszybciej przepędzić z miasta.

Stary Korzyc nie wiedział jak pozbyć się leśnego psotnika. Nikt dokładnie nie znał jego kryjówek. Jedyne wiadome było, że zamieszkuje on bagniste polany, gdzie rosną groźne gąszczce. Radę znalazł pomysłowy Błażko. Ukłonił się królowi i przedstawił swój plan.

- Królu - rzekł - zbierz kompanów i raniem wyrusz na łowy. Ja pojedę z wami, gdyż znam miejsca, w których można spotkać naszego mąciociela. Niełatwo w puszczy wytropić jego kryjówkę, ale wiadomo, że kocha on plotki. Nie ma innej rady, podczas wyprawy zaczniemy się głośno kłócić, a on na pewno się pojawi.

- Zgoda - odrzekł po namyśle król - właśnie powinny zwabić chochlika i ułatwić nam jego schwytanie.

Rankiem, kiedy nad miastem panował niezmacony spokój, a świat spowijała jeszcze księżycowa poświata, Władysław Jagiełło wraz kompanami wyruszył na łowy. Wokół nich rozciągała się prastara, olbrzymia, tajemnicza puszcza. Król, mimo misji, jaką zgodził się wykonać, czuł się jak nowo narodzony, nareszcie był w swoim żywiole.

Kiedy królewska drużyna wjechała na bagniste polany, na znak dany przez syna Korzyca, wszyscy zaczęli się głośno kłócić. Nie minęła chwila, gdy wśród drzew błysnęła ogromna postać chochlika. Zaciekawiony i zasłuchany plot-

karz nawet nie zauważył, kiedy został otoczony. Wystarczyła chwila nieuwagi, a Błażko zarzucił na niego rybacką sieć. Długo próbował się z niej wydostać pojmany psotnik, pisał, syczał, groził, jak zwykle plotkował, aż w końcu obiecał poprawę. Na nic się to zdało. Błażko obmyślił dla niego karę.

- Łotrze jeden - rzekł - zostaniesz zamknięty w lochach naszego miasta. Tam będziesz mógł plotkować do woli. I poprowadził pojmanego we wskazane miejsce.

I tak oto psotny chochlik na zawsze zamieszkał w lochach. Jakże od tego czasu zmieniło się życie mieszkańców Krasnegostawu. Zrozumieli, że ich postawa oraz rozsiewane plotki raniły, krzywdziły, a nawet niszczyły życie ich bliskich. Ile osób cierpiało przez rozpowszechnianie kłamstwa nie sposób było policzyć. Ważne, że ludzie zrozumieli swój błąd i stali się względem siebie jak dawniej serdeczni, otwarci i gościnni.

Król Władysław Jagiełło z uśmiechem wspominał to wydarzenie. Opowiedział o nim nawet swojej małżonce Zofii, która również podziwiała urok „krasnego stawu”. Władca docenił także przyjaźń wiernego Korzyca, którego sowsie wynagrodził. Jego syn Błażko został bohaterem całego miasta, a po śmierci ojca - nowym wójtem. Tak jak kiedyś ojciec, tak teraz on, z bijącym sercem oczekiwał na przyjazd miłościwego króla. Wraz z nim dosiadał zwinnego rumaka i galopował za ogromnym turem, który uciekał między potężnymi drzewami i gęstymi krzakami krasnostawskiej puszczy.

Po dzień dzisiejszy, spacerując korytarzami krasnostawskiego muzeum, można usłyszeć nawoływania, szepty, prośby psotnego chochlika. Mądrzy muzealni kustosze na straży postawili leśnego niedźwiadka, który pilnuje, aby mieszkańcy miasta już nigdy nie byli ze sobą skłóceni.

Adrianna Dras
Szkoła Podstawowa nr 4
w Krasnymstawie

II nagroda

Dawid Kowalczyk

*L*egenda o Liczykrupie, pięknej Zuzannie i zacczarowanym stawie

Było to dawno, dawno temu, w 1489 roku. Szlakiem wiodącym z Chełma do Krasnegostawu wędrował samotnie rycerz, może nie do końca samotnie, gdyż obok niego dwa konie ciągnęły wóz, na którym piętrzyły się worki ze złotymi monetami i skrzynie pełne niezliczonych skarbów i klejnotów. Większość okolicznych terenów porastały lasy, na polach pasły się zwierzęta i tylko niewielkie obszary były uprawiane przez ludzi.

Żyło się tutaj ubogo, ale dobrze i spokojnie. Nieopodal lasu błyszczało w sierpniowym słońcu lustro wody tutejszego stawu, więc strudzony podróżnik rycerz uznał, że jest to świetne miejsce do odpoczynku. Napoił konie, wykąpał się w stawie i poczuł ogromne zmęczenie. Usiadł na pniu zwalonego przez burzę drzewa, rozpamiętując wydarzenia ostatnich lat, kiedy to los rzucał go w różne, nieraz bardzo odległe zakątki świata. Niejedną raz śmierć zaglądała mu w oczy podczas licznych bojów, jakie przyszło mu stoczyć. Wprawdzie w czasie tych podróży udało mu się zgromadzić ogromny majątek, ale to, co widział i przeżył, odcisnęło głębokie piętno w psychice. Od pewnego czasu zaczął unikać towarzystwa ludzi, stał się zgorzkniały i ponury. Nie potrafił czerpać radości ze zgromadzonego majątku ani z otaczającego go świata. Kiedy przelatujący nad stawem ptak zaskrzeczał głośno, rycerz otrząsnął się, popatrzył dokoła i postanowił pozostać w tym pięknym miejscu na zawsze. Ponieważ był bardzo pracowity, w niedługim czasie wybudował coś w rodzaju domu, tyle tylko, że było tam jedynie jedno małe okienko, na dodatek skryte za solidnymi kratami. Okoliczni mieszkańcy próbowali nawiązać kontakt z nowym sąsiadem, niestety bezskutecznie. Rycerz nie chciał z nikim rozmawiać, nikogo nie odwiedzał i do siebie też nikogo nie zapraszał. Ciekawscy sąsiedzi przychodzili czasami pod okratowane okno i zaglądali do środka, powiadano, że komnata rycerza jest bardzo skromna, a on sam

żyje tak oszczędnie, że gotując krupnik, odlicza ziarenka kaszy, żeby przypadkiem nie zużyć ich zbyt dużo. W związku z tym bardzo szybko rycerz otrzymał miano skąpca i został nazwany Liczykrupą. Nie przeszkadzało mu to wcale, nie zależało mu na nikim, więc nie miał zamiaru przejmować się gadaniem ludzi, którzy właściwie nic w życiu nie widzieli i niczego nie doświadczali.

Tak w samotności przeżył długą, śnieżną zimę, ale gdy wiosenne słońko zaczęło budzić przyrodę z zimowego snu, pewnego marcaowego dnia zdarzyło się coś niezwykłego. Liczykrupa, bo nikt inaczej nie nazywał naszego rycerza, usłyszał rżenie rumaków i wyjrzaawszy przez swoje zakratowane okienko, ujrzał prześliczną dziewczynę wysiadającą z powozu i udającą się na przechadzkę brzegiem stawu. Niemal w jednej sekundzie ożyło jego skamieniałe serce, poczuł szum w głowie, a jego oczy zaczęły dostrzegać pięknego świata, którego wcześniej nie dostrzegał. I zakochał się nasz rycerz bez pamięci, nieświadomy, że serce pięknej hrabianki należało do kogoś innego. Od tej chwili nie myślał o niczym innym. Długie, bezsenne noce spędzał na rozmyślaniu o tym, jak zdobyć serce dziewczyny. Po kolejnej nieprzespanej nocy, rankiem wpadł na pomysł, że zbuduje dla ukochanej piękny zamek, w którym zechciałaby wraz z nim zamieszkać.

Pomimo skąpstwa, z wielkim zapalem przystąpił do realizacji swojego planu. Sprowadził najlepszych budowniczych, nie żałował złotych dukatów i w niedługim czasie nad brzegiem stawu stanął warowny zamek z czterema ozdobnymi basztami. Dumny ze swego dzieła odważył się napisać do pięknej Zuzanny, bo tak miała na imię hrabianka z domu Skarżewska. Wysłał list z wyrazami szacunku i uwielbienia, w którym zapewnił ją o swym oddaniu, prosił o jej rękę. W odpowiedzi otrzymał pachnący majową łąką bilecik, w którym dziewczyna wyznała, że jej serce należy do młodego myśliwego i nic nie jest w stanie tego zmienić. Na próżno Liczykrupa otoczył zamek fosą i wybudował mury ze zwodzonym mostem broniącym dostępu do jego dziedzińca. Na kolejne listy z wyrazami szczerej, dozgonnej miłości przychodziły niezmiennie te same odpowiedzi.

Nie wytrzymało tego udręczone serce wojownika i pewnej gwiaździstej, księżycowej nocy wrzucił do stawu całe złoto i wskoczył do wody, która kiedyś, po trudach walk, jakie stoczył w da-

lekich krajach i długiej, uciążliwej wędrówce, dała mu orzeźwienie i spokój. Mieszkańcy Krupego, bo tak nazwano miejscowość na pamiątkę Liczykrupy, który mimo swego skąpstwa wystawił wspaniały zamek, powiadają, że w zamglone poranki nad lustrem wody unosi się duch rycerza, który pilnuje zatopionego w stawie skarbu, a nocami słysząc jego rozpaczliwe jęki dochodzące z ruin zamku.

Jeśli będziesz, wędrowcze przejeżdżał przez te strony, zajdź nad brzeg stawu i wrzuć do niego złoty pieniążek, to na jedną chwilę całe lustro wody zabłyśnie szczerym złotem i gdy zdążysz wypowiedzieć swoje marzenie, niebawem doczekasz się jego spełnienia.

Dawid Kowalczyk

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

II nagroda

Michał Raczkowski

Legenda o cudownym źródleku i świętym obrazie

Wszystkie dziejowe wydarzenia związane są z losami pojedynczych ludzi, to ich niepowtarzalne opowieści tworzą historię. Także Surhów posiada swoje fascynujące i barwne dzieje, które przekazywane z dziada pradziada tworzą legendę.

Surhów to piękna, malownicza wieś, położona ok. 10 km na południowy wschód od Krasnegostawu. Miejscowość ta od niepamiętnych czasów związana jest ze świętym Łukaszem. To z postacią tego Ewangelisty związana jest legenda, którą opowiedział mi mój pradziadek.

Około tysiąca lat temu król Bolesław Chrobry przejeżdżał niedaleko Surhowa, polując w tych nieprzebranych i pełnych zwierząt lasach. W czasie polowania został raniony w nogę przez wielkiego dzika, który grasował w okolicach. Rana była bardzo poważna, król myślał, że już nie wróci do ukochanej stolicy. Natknął się wtedy na źródleko. Zdjął swoje szaty i obmył poranioną nogę. Gdy wychodził z wody, objawiła mu się Matka Boska w towarzy-

stwie św. Łukasza. To święty Łukasz sprowadził Matkę Boską w miejsce, gdzie król, będąc jeszcze dzieckiem, często modlił się razem ze swoją matką o wstawiennictwo świętego. Od tamtej chwili rana cudownie zaczęła się goić i król wyzdrowiał. W podzięce kazał wezwać malarza, a ten namalował obraz, który umieścił w starej kapliczce. Obraz przedstawiał Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus i św. Łukasza u ich stóp. Później miejscowość otrzymała nazwę Łukaszówka od św. Łukasza. Cudownym obrazem przez około 100 lat opiekowali się pustelnicy zamieszkujący pobliski teren Łukaszówki. Był to piękny leśny zakątek. Została tam wybudowana kapliczka. Dzisiaj na miejscu pustelni stoi krzyż.

Pewnej wiosny nadszedł huragan i zniszczył kapliczkę, lecz obraz przetrwał. Cudownie ocalony wizerunek Matki Boskiej znalazł ksiądz proboszcz. Wszystko dookoła było wielką ruiną, a obraz ocalał. Ksiądz pomyślał, że to znak, że po coś ten obraz Bóg ocalił i koniecznie musi znaleźć bezpieczne miejsce dla niego. Na odwrocie obrazu był umieszczony napis: Wizja króla Bolesława. Ksiądz postanowił, że za wszelką cenę zdobędzie środki na świątynię dla cudownego obrazu. Wieści o obrazie szybko się rozeszły. Historię usłyszał biskup chełmski i postanowił pomóc w staraniach. Napisał list do ówczesnego władcy, do króla Augusta. Opowiedział w nim historię o tym, że Matka Boska ukazała się oczom samego króla Bolesława. Król August wybudował świątynię w miejscowości położonej niedaleko od cudownego źródleka.

Po niedługim czasie król przybył w towarzystwie przyjaciela, aby zobaczyć obraz. Nie mogli się obaj nadziwić piękności i prostocie obrazu. Wtedy przyjaciel króla poprosił o coś Matkę Boską w cichej modlitwie. Jak się później okazało jego żona była chora i prosił, aby dała jej jeszcze parę lat życia, aby chociaż dzieci wychować. Kobieta wyzdrowiała i cud rozszedł się po świecie.

Jak mówi legenda, miejsce to od tamtych wydarzeń było czczone jako święte, a licznie przybywający tu pątnicy doznali wiele łask i cudów. Z biegiem czasu wokół miejsca objawień wyrosła wieś nazwana Łukaszówką, zaś legenda o cudownym obrazie krąży wśród miejscowej ludności do dziś.

Michał Raczkowski

Szkoła Podstawowa w Surhowie

III nagroda

Aleksandra Olejarczyk

Wioska bez nazwy

Działo się to dawno temu na ziemiach polskich. Na dworze Leszka Czarnego mieszkała księżna imieniem Gryfina. Pewnego dnia, znudzona luksusowym życiem Gryfina postanowiła rozstać się z mężem i wyruszyć w podróż w poszukiwaniu niezwykłych miejsc w kraju. Spakowała tylko kilka potrzebnych rzeczy, przebrała się w mało wytworny strój i kazała siodłać swojego konia. Wieczorem wraz z wiernym sługą i jedną z dam dworu wyruszyła w podróż po ziemiach polskich.

Jeździła po kraju i zwiedzała miasta, wioski i małe wioseczki, ale ani jedno z miejsc jej nie zachwytiło. Zmęczona wędrowką i długim przebywaniem poza pałacem, postanowiła wrócić do domu. Chęć spotkania z ukochanym Leszkiem sprawiła, że Gryfina postanowiła pojechać na skróty. Początkowo droga była szeroka i równa. Stopniowo robiła się coraz bardziej wąska i kręta, aż w końcu księżna dojechała do dużego lasu. Uznała, że objechanie całej puszczy zajmie jej kilka dni, dlatego postanowiła pojechać przez las. Wędrowała cały dzień, aż w końcu postanowiła zatrzymać się na nocleg na niewielkiej polance. Wiernemu słudze kazała przywiązać konie, a sama zajęła się przygotowaniem noclegu. Znalazła ustronne miejsce wśród krzaków łopianu, którego liście dawały schronienie. Zmęczona podróżą, szybko zasnęła. Tej nocy śnił jej się Leszek Czarny, który nawoływał ją do powrotu.

Wczesnym rankiem Gryfina zjadła śniadanie złożone z owoców lasu i ruszyła w dalszą drogę. Droga bardzo się zwężyła i Gryfina zmuszona była zejść z konia i wędrować dalej pieszo. Towarzysze podróży przedzierał się przez gęste krzaki i krzaczaste łopiany. W pewnym momencie księżna zauważyła maleńkiego niedźwiadka i postanowiła podążać jego śladem, sądząc, że ten wyprowadzi ją z tego wielkiego lasu. Wędrowała za niedźwiadkiem kilka godzin, aż dotarła na wielką przestrzeń. Gdzieś w oddali słychać było gwar ludzi. Gryfina

postanowiła odwiedzić mieszkańców. Szła przez wielką łąkę i gęstą trawę, gdy nagle poczuła ukąszenie. Ból był tak silny, że księżna zemdląła. Wierny sługa z dwórką zanieśli księżnę do wioski, w której zajęła się nią miejscowa zielarka. Okazało się, że Gryfinę ugryzł jadowity wąż. Zielarka zrobiła księżnej okład z liści pokrzywy i przyłożyła do spuchniętej stopy. Całą noc dwórka i zielarka czuwały przy księżnej i zmieniały jej okłady. Co pewien czas zielarka prosiła swojego siostrzeńca o przyniesienie większej ilości pokrzyw. Młodzieniec szybko spełniał prośby ciotki. Nad ranem Gryfina odzyskała przytomność. Ciągłe jeszcze osłabiona dziękowała zielarce za uzdrowienie.

- Dziękuję, pani Krzywa za opiekę - mówiła księżna.

- Nie nazywam się Krzywa - oponowała kobieta.

- Całą noc słyszałam jak wypowiadałaś to słowo - stwierdziła Gryfina.

- Prosiłam mojego siostrzeńca o przyniesienie pokrzyw, bym mogła zrobić ci kolejny okład, który ukoł twoj ból.

- Co to jest pokrzywa? - zapytała księżna.

- To ziele mające niezwykle właściwości.

Cała tutejsza ludność pije herbatę z pokrzyw, która wzmacnia ich organizmy i dodaje sił do pracy.

- To niezwykła miejscowość. Jak zwie się ta osada.

- Nie mamy nazwy.

- Tak piękne miejsce z tak leczniczą rośliną powinno mieć jakąś nazwę.

- Jesteśmy ubogim ludem, żyjącym wśród lasu i uprawiającym rośliny i zioła. Nigdy nie dotarł do nas nikt z otoczenia dworu króla i nie nadał nam nazwy. Cała ludność wierzy, że kiedyś i nasza miejscowość doczeka się godnej nazwy.

Po kilku dniach Gryfina opuściła niezwykłą miejscowość i udała się do zamku na spotkanie z mężem. Tam opowiedziała mu o swojej podróży i niezwykłym uleczeniu przez zielarkę. Leszek Czarny nakazał rycerzom przygotować wszystko do podróży i wyruszył do małej miejscowości bez nazwy. Na miejscu zachwytiło go przepiękne położenie osady wśród lasu. Mieszkańcy bardzo uradowali się przyjazdem władcy. Gdy dowiedzieli się, jaki jest prawdziwy powód jego przyjazdu zgromadzili się na wielkiej polanie i czekali na przemówienie władcy.

- Nadaję tej miejscowości nazwę Krzywe - obwieścił Leszek Czarny.

Radość mieszkańców była ogromna. Świętowali całą noc przy dźwiękach piszczałek, popijając wywar z pokrzyw. Po tym wydarzeniu księżna Gryfina, w podziękowaniu za uzdrowienie, zamieszkała w klasztorze i codziennie odmawiała modlitwę za mieszkańców Krzywego.

*Aleksandra Olejarczyk
Szkoła Podstawowa
w Łopienniku Nadrzecznym*

III nagroda

Maksymilian Rzeziński

Legenda o nadaniu nazwy wsi Łopiennik

Działo się to kilkaset lat temu. Gdy książę Leszek Czarny wracał z bitwy, natknął się na bór zbyt duży by go obejść. Nigdzie nie było też drogi prowadzącej przez ten wielki las. Książę wydał więc rozkaz: Oddział naprzód!

Rycerze niechętnie ruszyli przez las. Przechodzili się przez ciernie, dziko rosnące krzaki i drzewa, torując sobie drogę do domu. Po kilkunastu godzinach jazdy dotarli w najciemniejszą część lasu. Przez korony drzew nie przebiła się najmniejszy promyk słońca. W pewnym momencie do księcia podbiegł nadworny lekarz, a zarazem towarzysz wyprawy imieniem Mikołaj i zawołał zdyszany:

- Panie, panie miłościwy, racz zatrzymać wojsko, rycerze ranni!

Na co książę mu odpowiedział:

- A więc niech tak się stanie. Wojsko stać!

Wojsko było okaleczone przez ciernie. Mikołaj próbował wyleczyć rannych. Używał wszelkich maści, wywarów i mieszanek ziół, lecz nic nie pomagało. Rany były zbyt głębokie i poszarpane. Postój wojsk mocno się przedłużał, rany się nie goiły i zaczynało brakować jedzenia.

Pewnego późnego wieczoru książę siedział jeszcze przy ognisku, zjadał ostatnie kawałki chleba i żalił się losowi:

- Cóż ja pocznę? Rycerze ranni, chleba i wody brakować zaczyna.

Wtem do uszu księcia dotarło błaganie:

- Chleba, chleba. Z głodu pomrę. Panie poratujcie mnie kromką chleba.

Książę miłościwy oddał nieznajomej ostatnią kromkę chleba i zapytał:

- Jak cię zwą, waćpani?

- Starucha - odpowiedziała. - Widzę, że rycerze ranni, ale w podzięcie dam ci panie coś, co ich wyleczy.

Sięgnęła za pazuchę, wyjęła kij i uderzyła nim o ziemię trzy razy. W rękę pojawiły jej się trzy korzenie.

- Zetrzyj to i daj im do zjedzenia, a za twą dobroć rycerzom i tobie nigdy nic się nie stanie. Masz tu jeszcze maść, by rycerze mogli posmarować nią rany.

Książę kazał wszystkich obudzić i roślinę zetrzeć jak kazała mu Starucha. Zieleń tym wyleczył wszystkich rycerzy, a gdy to zrobił, chciał odnaleźć Staruchę, by jej podziękować.

Dwa dni później wyruszył w dalszą drogę przez las. Uszedł kilka kilometrów i spostrzegł, że skupiska drzew są coraz rzadsze, aż w końcu dotarł do polany. Tu postanowił odpocząć. Nagle zobaczył jelenia, który uciekał przed goniącym go niedźwiedziem. Bez wahania sięgnął po kuszę i zabił niedźwiedzia. Tym celnym strzałem sprawił, że kompani jego podróży mogli najeść się do syta. Po sutości ruszył w dalszą drogę. Doszedł do wioski otoczonej lasem w zwierzęta i miód bogatym i zapytał pierwszego napotkanego chłopca:

- Jak zwiecie tę wioskę?

- Waćpanie, zwiemy ją po prostu Wioska.

- A znacie może kobietę imieniem Starucha?

- Oczywiście. Cała wieś ją zna. To zielarka. Do leczenia używa tylko jednej rośliny.

- Prowadź mnie do niej - polecił Leszek.

Chłop niezwłocznie wykonał rozkaz księcia. Zaprowadził władcę przed najwyższe wzniesienie oddalone od osady o jakieś dwie godziny drogi. U stóp wzniesienia Leszek Czarny zauwa-

żył dach niewielkiej chatki, wokół której rosły rośliny o niezwykle dużych liściach. Liście były tak rozłożyste, że przesłaniały całą posiadłość zielarki. W drzwiach chaty ukazała się ta sama kobieta, która w lesie podarowała władcy cudowny korzeń nieznaney mu rośliny.

- Przybyłem, by podziękować ci za niezwykle podarunek - powiedział Leszek. - Jak mogę ci wynagrodzić twój niezwykle uczynek?

- Ja już otrzymałam zapłatę. Podzieliłeś się, panie ostatnią kromką chleba z potrzebującym.

- Wspólnie z moim nadwornym lekarzem zastanawialiśmy się, czego używasz do sporządzenia tak niezwykłego lekarstwa?

- Widzisz, panie te liście rosnące wokół mojej chaty? To łopian. Odpowiednie proporcje tej niezwyklej rośliny, połączone z sadłem niedźwiedzia i porożem jelenia sprawiają, że maść ma niezwykle właściwości, a starty korzeń wzmacnia organizm.

- Czy możesz zdradzić nam sekret przyrządzania tej mikstury?

- Niestety nie. Sporządzić ją może tylko ta osoba, która zrodziła się pod liściem łopiana.

- Pragnę zatem zabrać cię na mój zamek i uczynić nadworną znachorką.

- Nie mogę, panie przyjął twojej propozycji. Niezwykła roślina znajduje się właśnie tutaj.

- Powiedz mi zatem jak zwać tę wieś, bym mógł do niej posyłać gońców po ten niezwykle lek.

- Wieś ta nie ma nazwy.

- A więc wieś ta zwać się będzie Łopiannik, a w jej herbie liść łopiana, niedźwiedź i jelen.

- Dziękujemy, panie! - ucieszyli się Łopianie przysłuchujący się rozmowie.

I tak mała wioseczka wśród lasu zyskała nazwę Łopiannik.

Z czasem, a może przez pomyłkę skrybów, w aktach pojawiła się nazwa Łopiennik, i mimo że o starej nazwie już prawie zapomniano, to o spotkaniu Staruchy z Leszkiem Czarnym dziadkowie opowiadają wnukom do dziś.

*Maksymilian Rzemiński
Szkoła Podstawowa
w Łopienniku Nadzeczynym*

III nagroda Przemysław Błaszczak

Nieznany król

Pewnego dnia we wsi Szczekarzew była wielka ulewa. Deszcz padał, padał i padał. Po kilku dniach ciągłej ulewy jeden z mieszkańców wioski wyszedł przed swoją chatę i zaczął prosić Boga o zakończenie deszczu. Młodzieniec ten miał na imię Franek. Matka mówiła na niego Krasynek, ponieważ często się przebiegał. Pomimo żarliwych prośb Franka, Bóg nie zakończył ulewy, ale powiedział do chłopca tak: „Chłopcze, za kilka dni przyjdzie do waszej wsi król. Jeżeli go dobrze ugościcie, ulewa zakończy się i nad Szczekarzewem znów zaświeci słońce”.

Bóg zniknął, a Franek opowiedział rodzinie, co się stało. Cztery dni później do wioski wjechała piękna karoca. Do karocy przywiązane były dwa ogromne konie. Mieszkańcy wioski wybiegli, by powitać króla i ugościć go najlepiej jak umieli. Uczta trwała do późnego wieczora. Następnego dnia piękny pojazd wraz z ważnym gościem wyjechał z wioski. Deszcz jednak nie przestał padać. Mieszkańcy Szczekarzewa zaczęli wątpić w słowa Franka. Niektórzy wyśmiewali się z niego, że Bóg pewnie mu się tylko przyśnił. Wszyscy rozeszli się do swoich domostw żli i przemoknięci. Tylko Franek przysiadł na kamieniu obok swojego domu i rozmyślał. Nadał wierzył, że to, co powiedział mu Bóg się spełni. W pewnym momencie ujrzał zbliżającego się do niego zgarbionego człowieka. Staruszek upadł na ziemię. Franek zerwał się i pomógł mu wstać. Zaprosił go do swego domu.

- Dziękuję ci, chłopcze - powiedział nieznajomy. - Prosiłem wiele osób o pomoc, ale tylko Ty zaprosiłeś mnie do swej chaty. Odpocznę chwilę i wyruszę w dalszą drogę.

Franek, widząc jak bardzo zmęczony i zziębnięty jest wędrowiec, podarował mu swoje ubranie. W domu nie miał zbyt wiele jedzenia, ale wcześniej udało mu się złowić dwa karpie. Przygotował więc z nich posiłek. Staruszek posilił się, podziękował i wyruszył w dalszą drogę.

Następnego dnia deszcz w końcu przestał

padać. Minęło kilka dni. Mieszkańcy wrócili do swych codziennych zajęć. Nadal jednak wyśmiewali się z Franka i jego rozmów z Bogiem. Chłopak tylko spuszczał głowę i nic nie mówił.

Pewnego słonecznego dnia do Szczekarzewa przyjechała karoca, dużo większa i piękniejsza od tej, która była w wiosce wcześniej. Mieszkańcy z zachwytem przyglądali się pojazdowi oraz sześciu rumakom. Z karocy wysiadł człowiek ubrany w długi płaszcz, na głowie miał złotą koronę. Franek ze zdziwienia zaniemówił. Poznał bowiem, że to ten sam staruszek, którego ugościł podczas ulewy. Okazało się, że człowiek, którego wszyscy gościli jak króla, był tylko królewskim posłańcem, zaś staruszek, którym zaopiekował się Franek był prawdziwym królem.

W nagrodę za dobre serce, król uczynił Franka księciem. Dał mu za żonę swoją córkę, którą wszyscy nazywali Stawią i wybudował dla nich piękny zamek. Wiosce Szczekarzew nadano prawa miejskie, a na cześć młodego księcia, którego nazywano Krasynem oraz jego pięknej żony Stawii miasto nazwano Krasnymstawem. W herbie miasta umieszczono dwa karpie, ponieważ król jeszcze długo wspominał jak bardzo smakowały mu ryby złowione przez Franka.

*Przemysław Błaszczak
Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie*



rys. Robert Znajomski.

Wyróżnienia

Jakub Jagiełło

Jak to w Suchodołach było...

Dawno, dawno temu ziemie nasze porastały gęste lasy, rzeki były większe i ludzie przepływali je łodziami. Tereny, na których teraz żyjemy, zamieszkiwali ludzie i zwierzęta, pomagając sobie nawzajem. Dwa królestwa niedźwiedzi i ludzi obiecały sobie, że nie naruszają swych ziem i będą się nawzajem wspierać.

Lecz chciwość ludzi była większa niż wspólne postanowienie i tak ludzie wykradali barcie z miodem, wycinali dla zysku drzewa, łowili ryby z łowisk niedźwiedzi. Sprawy toczyły się tak od lat, niedźwiedzia rada zebrała się na polach Kępy, żeby ustalić jak ukroić zło czynione przez lud. Przywódca niedźwiedzi, stary i zacny Roan zabrał głos:

- Bracia moi, niedźwiedzie. Wiem, że jesteście źli, zmęczeni i pełni nienawiści.

- Wojna! - krzyknął ktoś z tłumu.

- Milcze! - zaryczał nagle król Roan. - Pamiętamy wszyscy ludzkie krzywdy, ale pamiętać musimy też o dobrych uczynkach. Król z Kępy Jan uratował mego ojca ze szpon Smoka. W ludziach jest jeszcze część dobra, musimy ją ocalić. Wszyscy zgromadzeni wiedzieli, że zostać na tej ziemi dłużej nie mogą, dlatego podjęli decyzję o odejściu do krainy Elfów. Roan zabrał głos:

- Odejdziemy, opuścimy szumiące bagna z olszynami, ogromne jesiony, ale musimy ostrzec ludzi przed zbliżającymi się watahami smoków ze wschodu. Smoki chcą zająć tereny Arianki. Królowa ludzka Arianka jest dziś z wizytą u swej siostry Ignasin, poślijcie po nią mego sługę, niech zbierze wszystkich dowódców.

Przywódcy spotkali się na górze Arianki, gdzie ludzie wznosili świątynię, by oddać cześć za wszystkie łaski, którymi obdarzył ich Bóg. Przybyli tam: król niedźwiedzi Roan, królowa Arianka, zawsze sprawiedliwa dla swych braci niedźwiedzi, wojowie boniewscy (którzy najwięcej krzywd

Andrzej Polski

Prawdziwa historia o zakonnikach z Łan

niedźwiedziom uczynili, za co Arianka wygnała ich na Kosnowiec, Boniewo i Dziecinin) oraz dziedzic, cwany Żyd Edenbaum. Zaczęto naradę. Wieści o krwiożerczych smokach szybko doszły do królestwa Arianki, ludzi opanował strach. Niedźwiedzie w zamian za skarby obiecały pomoc w walce.

Walka zaczęła się o świcie na polach Fajslawic. Przewaga i siła smoków była ogromna, pazurami rozszarpały ofiary. Ludzie ze swoimi dzidami, kosami, katapultami, balistami nie mieli szans w starciu z przerażającymi potworami. Oddział smoków spalił wioskę w Boniewie, dlatego do dziś tak tam pusto. Dobrze, że Roan i Żyd Edenbaum wymyślili podstępny plan: namówili dziewczyny z Siedlisk, żeby upiekły placki, które nafaszerowały siarką i zaniósły do karczmy chytrego Koguta.

Smoki po walce uczładowały w tej karczmie, zajadając się plackami. Popijały je miodem, ciesząc się ze zwycięstwa. Kiedy wyszły z karczmy, zaczęły odczuwać skutki trucizny, brzuchy im pękały, rozległy się trzaski i grzmoty. Smoki próbowały uciekać, wzbijały się w górę i opadały, a tam, gdzie upadły, powstawał dół, który długo jeszcze płonął. Po tym zdarzeniu zostały suche doły, stąd nazwa wsi - Suchodoły. Kilku smokom udało się uciec i przeżyć; jeden z nich osiedlił się w grocie pod Wawelem.

Ludzie i niedźwiedzie bardzo cieszyli się ze zwycięstwa, wybudowali obelisk, który miał upamiętnić to wydarzenie. Mieszkańcy dziękowali niedźwiedziom za pomoc, przeprosili za krzywdy, które im wyrządzili, obdarzając ich łakociami. Niedźwiedzie, opuszczając Fajslawice, zostawiły królowej Ariance niezwykły skarb. Były to maleńkie drobniutkie ziarenka ziół w szkatułkach. Król niedźwiedzi Roan, żegnając Ariankę, powiedział, że skarb, który zostawia rozślawi i wzbogaci osadę Fajslawic.

Zioła do dziś zapewniają zdrowie i dostatek.

Jakub Jagiełło

Szkoła Podstawowa w Fajslawicach

Młodzi ludzie, tacy jak ja, tego nie pamiętają, ale nasi dziadkowie często wieczorami opowiadają sobie pewną historię. Ja usłyszałem ją od mojej mamy i chcę przekazać innym.

Dawno, dawno temu, a może i nie tak dawno, istniała mała miejscowość Łany Książęce. Leżała ona niedaleko dzisiejszego Krasnegostawu. Rozciągała się na wzgórzach porośniętych gęstymi lasami, w których było dużo dzikiej zwierzyny. Pośrodku wsi znajdowały się zabudowania gospodarze zakonników. Prowadzili oni bardzo bogobojne życie. Ciężko pracowali na roli, zajmowali się hodowlą krów i innych zwierząt. Znali się na ziołach, które porastały okoliczne łąki i pola. Miejscowa ludność bardzo zaprzyjaźniła się z zakonnikami. Okazali się prawdziwymi bratnimi duszami i wielkim wsparciem dla ludzi.

Pewnego dnia we wsi starsza gospodyni zachorowała na ciężką i wydawałoby się nieuleczalną chorobę. Zaczęła tracić wzrok. Córką tej biednej kobiety, młoda gęsiarka, przyszła po pomoc do zakonników. Drzwi dziewczynce otworzył zakonnik Robert. Zmartwione dziecko opowiedziało mu o chorobie matki. Zakonnik dał jej miksturę z ziół, która miała pomóc matce i udzielił wskazówek na temat sposobu postępowania z cudownymi ziołami. Marysia, bo tak nazywała się dziewczyna, usłuchała poleceń sługi bożego, przyrządzonym lekiem przemywała matce chore oczy. Po niedługim czasie kobieta zaczęła odzyskiwać wzrok. Radość córki była ogromna, a sława zakonników daleko przekroczyła granice miejsca, w którym żyli.

Minęło kilka miesięcy i do wioski przybył książę. Nie był to dobry człowiek. Niechętnie odnosił się do zakonników. Pewnego dnia rozkazał im opuścić Łany i udać się do miasta. Mieszkańcy wsi bardzo się tym zmartwili, szczególnie młoda gęsiarka Marysia, która pasła gąski w pobliżu zabudowań zakonników. Tam też często ich spotykała. Pasali swoje krowy, konie, mieli pasieki. Marysia, od czasu, kiedy jej matula odzyskała wzrok, bardzo się zaprzyjaźniła z zakonnikiem Robertem.

Później, gdy zakonnicy opuścili wioskę, dziewczyna, kiedy tylko mogła udawała się do miasta, by ich odwiedzać. Ich szczerą przyjaźń przetrwała.

Ludzie ze wsi wspominali dawnych sąsiadów ciepło i serdecznie, tęsknili za ich dobrymi radami i ochroną, jakiej doświadczali na każdym kroku.

Dziś w mojej wiosce nie ma już zakonników, ale pamięć o nich przetrwała i to temu wieś zadzięcza swoją nazwę - Łany. Praca tych dobrych ludzi sprawiła, że wioska wyglądała pięknie, pola porośnięte były łanami zbóż, wszędzie unosiła się woń kwiatów i ziół.

Dzisiaj poszła w zapomnienie druga część nazwy mojej miejscowości. W nazwie zostało tylko słowo, które budzi dobre skojarzenia - Łany.

Andrzej Polski

Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Gabriela Klus

Skąd się wzięła nazwa Krasnystaw i dwa karpie w herbie miasta?

Dawno, dawno temu, tak dawno, że prawie nikt już tego nie pamięta, było sobie miasteczko o nazwie Szczekarzew. Koło grodu rozciągał się ogromny, tajemniczy, porośnięty szuwarem staw. Miejscowi rybacy całe dnie spędzali nad wodą, by nałowić dużo ryb dla swoich rodzin. W tych czasach zwykłym ludziom nie powodziło się zbyt dobrze, karpie były rarytasem na stole biedaków. Kiedy mężczyźni ciężko pracowali, kobiety zajmowały się dziećmi, piekły chleby i tętały podarte ubrania. Wszyscy ludzie opowiadali, że na dnie stawu mieszkają dwa królewskie karpie, które mają cudowną moc. Nikt ich nie widział, ale była to prawda. Te ryby nigdy nie dawały się złapać w sieci, słynęły z odwagi i sprytu wśród innych stworzeń żyjących w stawie.

Pewnego dnia, kiedy pływały między wodorostami, nie zauważyły sieci i zostały złapane razem z innymi rybami. Kiedy karpie otrząsnęły się z szoku, zobaczyły, że nie są już w swym pięk-

nym stawie. Nie wiedziały, że będą daniem głównym podczas uroczystej kolacji na cześć księżniczki Zofii. Miała ona odwiedzić mieszkańców Szczekarzewa, gdyż jechała tędy na spotkanie z Władysławem Jagiełłą. Kucharz miał wprawę w sprawianiu ryb i przygotował wspaniałą, wystawną kolację. Karpie podano z szafranem. Kolację była przepyszna, takiego smaku jeszcze Zofia nie знаła.

Po kolacji księżniczka wybrała się na przejażdżkę po okolicy i wtedy spostrzegła tajemniczy staw. Była oczarowana. Przypominała sobie swój rodzinny kraj, swoje dzieciństwo. Zatrzymała karetkę i powiedziała do towarzyszących jej dworzan, że staw jest „krasnyj”, czyli piękny. Dopiero po chwili ruszyła dalej, urzeczona tym, co zobaczyła. Po powrocie do miasta podziękowała za wspaniałą ucztę i życzliwe przyjęcie, pożegnała się z mieszkańcami i pojechała w dalszą drogę na spotkanie ze swoim narzeczonym. Mieszkańcy, by upamiętnić ten niezwykły dzień, miasto nazwali Krasnystaw. W herbie umieścili dwa karpie na niebieskim tle i do dziś tak już pozostało.

Gabriela Klus

Szkoła Podstawowa nr 4 w Krasnymstawie

Maja Smolira

Tajemniczy bęben

Za górami, za lasami, na pięknym, zielonym pagórku stał domek, który był zbudowany z drewnianych belek. Otoczony był kolorowym ogrodem wypełnionym tysiącami kwiatów, a nieco dalej znajdowało się niewielkie pole uprawne. W domku ze swoimi rodzicami mieszkał śliczny, złotowłosy chłopiec o bystrym spojrzeniu. Rodzice wołali na niego Tarnuś. Matka z ojcem dbali o to, aby wychować syna na zaradnego i mądrego człowieka. Niestety, byli to ludzie w podeszłym wieku, ciężko chorowali. Gdy tylko chłopiec stał się młodym mężczyzną, zmarli. Tarnuś długo nie mógł się z tym pogodzić. Starał się żyć według rad rodziców. Ciężko pracował.

Pewnego razu wybrał się na spacer do pobliskiego lasu. Znalazł tam, ukryty pomiędzy bujną roślinnością mały, opuszczony dom, porośnięty miękkim mchem. Niepewnie wszedł do środka. Zobaczył stare, zmurszałe meble oplecione gęstą, nieprzyjemną pajęczyną. Zardzewiałe zawiasy w drzwiach wydawały przeraźliwe dźwięki. Panował ponury półmrok. Dziwne było to miejsce. Tarnuś zamierzał czym prędzej stąd uciec, ale jeszcze ukradkiem spojrzał w kąt izby, gdzie coś delikatnie błyszczało. Z ciekawości chłopiec podszedł i ujrzał duży bęben. Podniósł go i zabrał do domu. Po drodze myślał, co z nim zrobić.

Zapał późny zmierzch. Nagle ktoś zapukał do jego drzwi. Otworzył, a na dworze w poświacie księżycy pojawiła się nieznana postać. Była to niemłoda już kobieta o bardzo dźwięcznym głosie. Młodzieniec zląkł się, ale zaprosił ją do środka. Usiadła obok niego i zapytała, co zrobił z bębniem, który był w jej chałupce. Młodzieniec przeprosił za swoje zachowanie i zaczął się tłumaczyć, mówiąc, że sądził, iż dom jest opuszczony i nikt w nim nie mieszka. Chciał oddać bęben kobiecie, lecz ta go nie przyjęła. Rzekła mu bardzo powoli, ale dobitnie, aby nie używał go bez powodu i uważał, by nie dostał się w niepowołane ręce... Pożegnała Tarnusia i w dziwny sposób zniknęła. Od tej pory nikt już jej nie widział.

Młodzieniec zaczął się zastanawiać, o co chodziło, gdy wypowiadała te tajemnicze słowa... Cóż to był za bęben... Postanowił więc w niego uderzyć...

Wtem wokół jego domu pojawiło się dużo ludzi. Pytali go, co mają uczynić, w czym mu pomóc? Tarnuś nie wiedział, co się dzieje i o co chodzi ludziom? Wyszedł do nich i zaczął przemawiać, pytać, skąd się wzięli? Usłyszał od nich, że przybyli na dźwięk bębna i że pomogą mu w czym tylko zechce. Młody mężczyzna zawsze marzył, aby otaczali go ludzie. Teraz wreszcie przestał być samotny, zdobył przyjaciół. Niedługo z ich pomocą zbudował osadę. Ludzie czuli się tu dobrze, żyli w zgodzie i dostatku. Mieszkańcy w potrzebie mogli nawzajem na siebie liczyć. Swoją miejscowość na cześć Tarnusia zgodnie nazwali Tarnogóra.

A co z tajemniczym bębniem? Przetrwiał do dzisiejszych czasów. Jest najważniejszym przedmiotem w mojej pięknej miejscowości. Każdy sołtys

Tarnogóry kultywuje starą tradycję. Kiedy musi coś ogłosić mieszkańcom, zabiera ze sobą ten duży instrument. Zatrzymuje się na skrzyżowaniach ulic, głośno bębni, tak jak przed wiekami robił to Tarnuś. Schodzą się ludzie i wysłuchują, co najważniejsza osoba chce im przekazać. Gdy sołtys kończy kadencję, oddaje bęben swojemu następcy.

Maja Smolira
Szkoła Podstawowa w Tarnogórze

Natalia Witos

Legenda o złym panu, pięknej pani, Jaśku i Diable ze starego młyna

Dawno, dawno temu panem obecnych Tarnymiechów był hrabia Haske - człowiek bardzo zły, słynący z okrucieństwa i zamiłowania do hulaszczego życia. Dla własnej uciechy lubił znęcać się nad rodziną, służbą i chłopami odrabiającymi pańszczyznę. Wszyscy we wsi poznali twarde serce dziedzica, którego nie zmiękczyła nawet śliczna i dobra żona Anna ani dwie córeczki. Pan nie znał litości, bił żonę, szydził z dzieci, a wszystkich tych, którzy mu się sprzeciwiali, kazał mordować swoim zaufanym sługom. Pani dziedziczka w pierwszych latach małżeństwa dzielnie stawiała opór małżonkowi, próbując naprawić krzywdy wyrządzone wieśniakom. Często pod osłoną nocy schodziła do wsi. Opiekowała się chorymi, przynosiła leki i odzienie dla najuboższych. Szalony Haske pił, bił i trwonił majątek na hulanki i hazard. Anna kochała ludzi, wioskę i założony przez siebie park.

Mijały kolejne lata. Wieś umierała. Ludzie z głodu i strachu przed dziedzicem przenosili się w inne miejsca, nawet młyn straszył teraz pustką. Hrabia wszystko roztrwonił. Dwór powoli zaczynał przypominać grobowiec.

Pewnej nocy w czworakach wybuchł pożar. Uwięziona w izbach służba darmo wzywała pomocy. Zewsząd dobiegały krzyki i lamenty duszących się ludzi. Stary hrabia, jak gdyby nic, siedział zamknięty w gabinecie ze swym starym

sługą i ze śmiechem popijał wino. Dom był pusty, tylko pani Anna ruszyła płonącym na ratunek. Doremnie próbowała otworzyć drzwi i wybić okna, ktoś specjalnie zaryglował wrota od zewnątrz i pozabijał okna. Krzyki powoli cichły, ucichł też płacz dzieci i niemowląt. To był koniec. Przybyli ze wsi ludzie patrzyli na hrabinę. Siedziała na podwórzu poparzona, z osmolonymi włosami i patrzyła nieobecny wzrokiem na pogorzelisko. W długiej, białej koszuli nocnej wyglądała jak anioł, którego ktoś podeptał i zabrał skrzydła. To właśnie tak zapamiętali ją wieśniacy, wtedy też widzieli ją po raz ostatni. Nikt we wsi nie umiał powiedzieć, co się stało z panią owej strasznej nocy. Ludzie snuli różne domysły, jedni myśleli, że oszalała i gdzieś poszła, inni, że ukryła się u swoich córek, nie mogąc znieść tyranii męża. Prawda okazała się inna i wkrótce wszyscy mieli ją poznać. Po tragedii, we dworze wszystko się zmieniło. Hrabia, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stał się bogaty jak Krezus. Szybko zaczęto wprowadzać zmiany w folwarku. Odbudowano czworaki, rozpoczęto budowę mleczarni, cukrowni, uruchomiono cegielnię. Dwór zaczął kwitnąć, a wieś powoli podnosiła się z niedostatku. Zmieniła się również atmosfera na polach pana i w samym domu dziedzica.

Gdy tylko słońce chyliło się ku zachodowi, ze strony starego młyna dobiegały dźwięki skrzypiec, które tak zawodziły, że serca wszystkich, którzy usłyszeli tę melodię, niemal zamierały ze strachu. Potem następowała chwila ciszy i nagle przerywał ją głośny krzyk. Chłopi szybko zrozumieli, że wraz z nastaniem zmierzchu dwór i należąca do folwarku pola opanowuje jakaś nieczysta siła. Sam dziedzic, co noc przeżywał nieziemskie katusze. Na nic zdały się modlitwy tutejszego proboszcza. Całe zło, jakiego się hrabia dopuścił, wróciło do niego i pod postacią przerażającego upiora dręczyło go tak sromotnie, że szybko zaczął tracić zmysły.

W owym czasie we wsi zmarł jeden z wieśniaków Jędrzej. Osierocił ośmioro dzieci, zaś żonę pozostawił bez grosza przy duszy, z pustą komorą. Wdowie głód zaglądał codziennie w oczy, nie miała zapasów, a dzieci wciąż chciały jeść. By wyżywić rodzinę, ciężko pracowała. Trud życia codziennego tak wyczerpał kobietę, że za-

chorowała. W chałupie zimno, głodno, dzieciaki wciąż płakały, domagając się choć suchego chleba. Najstarszy syn - dziesięcioletni Jasiek - chcąc pomóc matce i rodzeństwu, zrozpaczony udał się do dziedzica z prośbą o ratunek.

- Dobry panie, dajcie choć bochenek chleba dla chorej matki i dzieci, bo pomrą z głodu. Ja najemę się za pomocnika do kowala i oddam wszystko dobrodziejowi - błagało dziecko.

Hrabia nic nie mówił, tylko patrzył z obrzydzeniem na małego przybłędę.

- Komora pusta, a z rana dzieciśka wypili resztę mleka. Bodaj skibkę chleba dziedzic da.

A dziedzic myślał sobie: „Oj dam ci ja skibkę...” - roześmiał się i przywołał swego sługę.

- Zabierz stąd tego najducha i każ poszczuć psami albo obić darmożjadą. Niech wszyscy zdychają z głodu - wrzeszczał.

Przerażone dziecko skuliło się ze strachu, gdy sługa złapał go za kołnierz. Następnie Jaśko pobity i cały obolały usiadł na miedzy obok młyna i głośno szlochał. Nawet nie zauważył, że słońce już dawno zaszło i zapadła noc. Dopiero dźwięk skrzypiec przywrócił mu świadomość.

- Czego tak zawodziś i drzesz gardło cherlaku?

Chłopiec patrzył i nie wierzył własnym oczom, toż sam „Czarny” do niego mówi. Diabeł siedział na młyńskim kole, w rękach trzymał skrzypce i zabawnie machał chudymi girami. Jaśkowi było wszystko jedno, opowiedział kusemu o wszystkim, co go spotkało we dworze i o tym, że nie wie, co dać rodzeństwu i matce jeść. Diabliśko słuchał i uśmiechał się chytrze. Trafiła mu się okazja nie lada, podkręcił węża i usiadł przy chłopaku.

- Słuchaj uważnie, pomogę ci, ale mam jeden warunek. Za jedną małą przysługę twoja rodzina będzie opływać w dostatek.

I zaczął diabeł opowiadać chłopcu o umowie z Haske, o pięknej pani dziedzicze i obietnicy, jaką jej złożył.

- Gdy hrabia przehulał cały majątek, nawet posag swych córek, przyszedł do mnie. Za cenę swej nędznej duszy i dusz mieszkających w czworakach służby, dostał od mego pana sagan pełen złota, ale Archanioł Gabriel pokrzyżował plany moje i Boruty. Ukrył przed nami w mieszk-

ze skóry dusze zamordowanych przez dziedzica ludzi. Miech ukrył gdzieś na dnie jeziora Sodomy, w lesie na końcu wsi. Wyłowić go może jedynie osoba czysta i nieskalana jeszcze grzechem. Gdy to dla mnie uczynisz, podaruję ci drugi mieszek pełen srebra i złota. Do końca życia nie wydasz tylu monet. Dusza dziedzica - mówił dalej - już jest w moich rękach. Obiecałem to Annie w noc, gdy z rozpaczyny utopiła się w Wieprzu. W zamian za jej dobrą duszę mam ukarać hrabiego srogą i haniebną śmiercią. To ona, to żona dręczy go w nocy, jej upiór prześladowuje starego hrabiego. Tak będzie do chwili, gdy diabli obdará go ze skóry i rzucią do rozgrzanej smoły.

Chłopiec słuchał kusego z otwartymi ustami, a gdy czart znikł, malec uciekł do domu i opowiedział wszystko matuli. Ta na wieść o śmierci pani Anny rozplakała się. Dobrze pamiętała miłą i troskliwą dziedziczkę, która pomagała jej dzieciom przyjść na świat. Jasiek niemal całą noc modlił się, klęcząc u stóp matki. Błagał Boga i aniołów, by poradzili mu, co ma czynić. Szczerze żałował wszystkich tych, którzy spłonęli we dworze i nie chciał, by trafili do piekła. Nad ranem wiedział, co ma zrobić i jeszcze przed wschodem słońca ruszył w kierunku Sodomy. Diabeł ze starego młyna już na niego czekał, w rękach zamiast skrzypiec trzymał ogromny wór pełen złota i srebra.

- Tak więc, chłopcze za mały mieszek dusz dam ci ten oto wór - kusilo diablisko.

- Dobrze, czarny panie - chłopiec szybko się zgodził i by nie budzić podejrzeń diabła, natychmiast skoczył w mętne wody Sodomy. Nie bał się już, że wyławiając sakwę z niewinnymi duszami skarże je na wieczne potępienie. W nocy przyszedł do niego Anioł Stróż i kazał, by wziął ze sobą wodę z chrzcielnicy i garść poświęconej ziemi z cmentarza. Chłopiec miał to wymieszać i umieścić w mieszkun przyniesionym przez anioła, a następnie podmienić.

Po kilku chwilach Jasiek wypłynął z anielskim woreczkiem w dłoniach, a diabelski skrzętnie schował w kieszeni spodni. Zadowolony diabeł szybko złapał miech i nie podejrzewając podstępny, otworzył go. W jednej chwili moc świętej wody i ziemi rzuciła go w odmęty Sodomy i uwięziła pod wodą po wieczne czasy. Chłopiec, szczęśliwy, że oszukał czarta, oddał mieszek z duszami

aniołowi w zamian za uwolnienie duszy pani Anny z diabelskich mocy. Jakaż była radość matki, gdy jej ukochany synek wrócił bezpiecznie do domu. Kobieta uczciwie rozdzieliła pieniądze pomiędzy najuboższych, szczęśliwa, że ma tak dobrego i sprytnego syna.

Od tej chwili we wsi nikt nie był już głodny, a Jaśkowi nadano przydomek Tarczemieszek, bo z diabłem i aniołem targował mieszki. W późniejszych czasach od tego przezwiska i Jaśka Tarczemieszka powstał znakomity ród Tarczemieskich, od którego wieś nosi nazwę Tarczemiechy.

Starego Haske (wkrótce po przygodzie Jaśka w lesie), spotkała zasłużona kara. Jakaś nieludzka siła, spowita w białą suknię, wylokła go z dworu i zaciągnęła do starego młyna, gdzie diabli z Borutą na czele obdarli hrabiego ze skóry i rzucili w otchłań piekła.

Po śmierci dziedzica, chłopcy usłyszeli smutną historię dziedziczki Anny. Niesieni litością i miłością do pani, wyłęgali Boga o łaskę dla udręczonej duszy. Dobra pani odzyskała swą nieśmiertelną duszę. Lecz drzwi raju nadal pozostają dla niej zamknięte. Po dziś dzień przemierza ścieżki swego ukochanego parku, chroniąc kolejnych mieszkańców dworu przed przeciwnościami losu.

Legenda, którą opisałam słyszałam od mojego pradziadka Antoniego Szumigaja i swoich dziadków. Nie wiem, ile prawdy jest w tej legendzie, ale w moim domu opowiada się ją z pokolenia na pokolenie. Można powiedzieć, że żyję i mieszkam z duchami przeszłości. Mój prapradziadek Wojciech Szumigaj kupił zrujnowany dwór i pola folwarku Tarczemiechy od ostatniego właściciela Ignacego Margelusa w 1928 r. Wraz z dworem i parkiem, dziadek kupił duchy dobre i złe, które wciąż tu są, co może potwierdzić każdy mieszkuniec Tarczemieszów.

Niektórzy twierdzą nawet, że w miejscu, gdzie kiedyś stał młyn, nadal słychać diabelskie smyczki, a z pola dobiega płacz niemowląt i lament płonących ludzi.

Natalia Witos
Szkoła Podstawowa
w Tarczemieszach

Prace zauważone

Weronika Fornek

Sen Jasia

Dawno, dawno temu żył sobie chłopiec, który miał na imię Jaś. Miał niebieskie oczy, brązowe, krótkie włosy i był chudy. Bardzo kochał zwierzęta. Zdawało się, że umie z nimi rozmawiać, że je rozumie, a one jego rozumieją. Gdziekolwiek się pojawił, zawsze uśmiechał się do ludzi, wzbudzał zaufanie, dlatego wszyscy go lubili. Nierzadko otrzymywał jakieś drobiazgi od obcych. Z radością przynosił podarki do domu. Szczególnie przydawały się one zaraz po śmierci rodziców, którzy osierocili dwanaścioro dzieci. Oprócz swoich braci i sióstr, Jaś nie miał nikogo. Był najmłodszy.

Wszyscy razem mieszkali na wzgórzu porośniętym licznymi krzewami tarniny. Kolce rośliny chroniły ich przed dzikimi zwierzętami, wiosną białe kwiaty cieszyły ich oczy, a jesienią cierpkie owoce służyły za lekarstwo. Rodzina gnieździła się w małej, drewnianej chałupce pokrytej strzechą. Mimo swego ubóstwa, rodzeństwo bardzo się kochało, żyło w zgodzie, odnosiło się do siebie z szacunkiem. Wieczorami lubiło potańczyć przy dźwiękach fujarki. Rozmawiało o tym, co się wydarzyło.

Dni mijały. Starsze siostry i bracia Jasia pozakładali już rodziny. Jednak mimo ciężkiej pracy na roli, mimo założenia hodowli krów w dalszym ciągu ledwo wiązali koniec z końcem, w dalszym ciągu ledwo mieścili się w małym, ciasnym domku.

Pewnego dnia Jaś wrócił zmęczony po całym dniu pracy na roli. Gdy wszedł do izby, okazało się, że nawet nie ma miejsca, żeby móc się położyć i odpocząć. Dom był pełen ludzi... Chłopiec poszedł więc na podwórko. Położył się w cieniu tarniny i upojony jej zapachem, zasnął. Przyśniło mu się coś niesamowitego. Przemówiła do niego krowa:

- Muuuusisz wybuuuudować miastoooo
i nooooowe doooomy, w któóórych zaaaamieszka-
aa Twoooje rooodzeństwo.

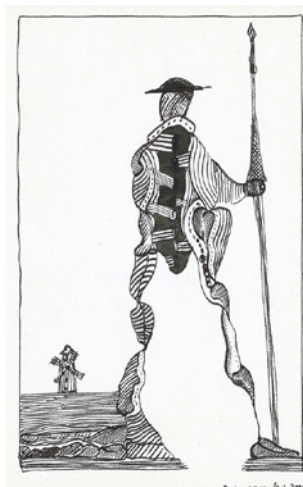
Słowa wypowiedziane przez krowę powtórzyły się jeszcze kilkakrotnie...

Wreszcie chłopiec wyrwał się ze snu zdziwiony. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Pobiegł szybko do chałupki i natychmiast opowiedział o tym tajemniczym śnie swojej rodzinie. Myślał, że wszyscy uznają go za szaleńca, lecz stało się inaczej. Najstarszy z braci o imieniu Bogumił powiedział, że to bardzo dobry pomysł i postanowił zacząć budowę domu już następnego dnia. Reszta rodzeństwa poparła brata.

Mijał dzień za dniem... Pojawiało się coraz więcej nowych domów. Z biegiem czasu powstało miasteczko. Ludzie wspólnie uprawiali ziemię i hodowali krowy. Codziennie rano ulicami chodziły krowy na swoje pastwisko. Zwierząt pilnował Jaś, by nie odchodziły za daleko. Wieczorem każda z krów wracała pod swój dom mucząc, by wyszedł po nią gospodarz. Mieszkańcy miasteczka nazwali je Tarnogóra. Nie mogło być inaczej, bo to przecież dzięki Jasiowi powstała. To jego sen się ziścił, gdy spał obok tarniny na wzgórzu. Te dwa słowa posłużyły do utworzenia jakże pięknego imienia mojej miejscowości.

Dzisiaj to właśnie krowy tworzą niesamowity klimat Tarnogóry. Są niezwykle mądre. Same wychodzą na pastwisko, same wracają do domu i zawsze trafiają do swojej obory. To one chodzą ulicami wsi. Ludzie są wyrozumiali i nie denerwują się, bo wiedzą, że o stałych porach dnia ruch na ulicach blokują właśnie te zwierzęta.

Weronika Fornek
Szkoła Podstawowa w Tarnogórze



rys. Robert Znajomski.

Patryk Kuźmicki

Legenda o mulistym widmie

Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze na świecie ludzie wierzyli w czary, a kraj nasz porastały lasy i dzikie knieje, na wschód od rzeki Wisły znajdowała się maleńka osada, o której istnieniu prawie nikt nie wiedział. Zamieszkiwało ją raptem kilka rodzin, ludzie żyli z tego, co podarował im las. Wiosną i latem rwali dzikie maliny i jagody. Jesienią zbierali grzyby i mech do ocieplania swoich chat. Zimą zaś zbierali szyszki i chrust na opał. Żyli skromnie, ale niespokojnie.

W głębi pobliskiego lasu bowiem znajdowało się bagno. Nawet w najsuchsze lato brudna i śmierdząca woda stała w nim i nie opadała. Potworny zapach unosił się po lesie. Okoliczni mieszkańcy wiedzieli, że do tego miejsca nie wolno im się zbliżać, ponieważ zamieszkiwał je okropny potwór. Jedni widzieli go jako upiorne muliste widmo, inni widzieli ociekającego błotem i wodorostami upiora. Był on bardzo straszny, miał wielkie czerwone oczy, całe ciało zaś pokryte bagnistym mułem. Ludzie się go bardzo bali i dlatego miejsce to szerokim łukiem omijali. Raz na 10 lat potwór budził się i wychodził ze swoich bagnisk, krążył wtedy po lesie. W nocy ludzie słyszeli okropne wycie, rozchodzące się po okolicy. Zdarzało się, że widmo snuło się po polach. Nieszczęśliwy ten, kto natknął się na widmo i spojrzał w oczy potworowi. Natychmiast się zamieniał w polny głąz, który później zarastał mchem.

Pewnej nocy z maleńkiej chatki wybiegł chłopiec, który musiał wezwać znachora do chorej matki. Nagle na wiejskiej ścieżce ujrzał muliste widmo. Chłopiec tak się przeraził, że był tylko w stanie wydusić z siebie okrzyk: „Na mule!”. Wtedy zrobiło się jasno dookoła, drzewa zaszumiały i jak echo powtórzyły słowa chłopca „Na mule!”. Jakież było jego zdziwienie, kiedy okazało się, że muliste widmo zaczęło się rozmywać w powietrzu i po chwili zupełnie zniknęło. Dzielnny chłopiec pobiegł po pomoc dla chorej matki, która po kilku dniach wróciła do zdrowia. Następnego dnia cała wieś mówiła o odważnym młodym mieszkańcu, który zmierzył się z widmem i je pokonał.

Od tamtego czasu minęło kilkanaście stuleci. Chociaż ludzie wiedzieli, jak przepędzić potworne widmo, wieś stopniowo wyludniała się. Las zajmował coraz większe kawałki łąk. O mulistym widmie słuch przeminął, pozostała tylko nazwa „Namule” i kamienie, które kolejni mieszkańcy wydobywali podczas pracy na polu.

*Patryk Kuźmicki
Szkoła Podstawowa nr 3
w Krasnymstawie*

Łukasz Kulczyński vel Nowosad

Legenda o dwóch braciach

Dawno, dawno temu, żyło dwóch braci Chwiejów. Mieszkali nad rzeką Wojsławką, gdzie mieli swoją kuźnię. Obaj byli bowiem kowalami. Starszy z braci, wyższy, nazywał się Piotr, młodszy i niższy miał na imię Paweł.

Pewnego dnia braci odwiedził król. Powiedział im, że często podróżuje w te strony, ale trudność sprawia mu przeprawa przez rzekę, bowiem nigdzie w pobliżu nie ma na niej mostu. Zaproponował kowalom, że jeśli wykują żelazne przęsła pod budowę mostu, on da im do pomocy stolarza i za wykonane zadanie dobrze wynagrodzi. Poza tym przysłużą się swoją pracą ludziom z okolicy. Bracia chętnie się zgodzili, bo przecież nie wypadało królowi odmawiać.

Prace trwały wiele dni i zużyto ogrom materiałów, ale most został ukończony. Był solidny i wytrzymały. Króla wielce to uradowało, bo znacznie ułatwiało mu podróż. Powiedział braciom, że wykonali wspaniałe dzieło i dobrą, użyteczną dla innych pracę. W nagrodę dał im przylegające do rzeki ziemie - starszemu z braci na wzgórzu, po jednej stronie rzeki, młodszemu zaś na wzniesieniu po drugiej stronie. Tak powstały dwie nowe wioski nazywane odtąd od nazwisk ich właścicieli Chwiejami. Dla odróżnienia wieś Pawła zwana była Chwiej Mały, jako że młodszy z braci był niższy, zaś wioska starszego brata nazywana była Chwiej Duży. Z czasem zmienio-

no nazwę obu wsi na Małochwiej, ale dlaczego, tego już nikt nie wie. Jednak nadal podział na Mały i Duży Małochwiej pozostał.

*Łukasz Kulczyński vel Nowosad
Szkoła Podstawowa
w Małochwieju Dużym*

Kornel Piwko

Jak dzielny Franio został starostą Krasnegostawu

Dawno, dawno temu w pobliżu drogi, gdzie krzyżują się szlaki handlowe biegnące znad Morza Czarnego nad Bałtyk, rozciągał się ogromny staw. W pobliżu, w biednej wiosce mieszkał mały Franio ze swoimi rodzicami. Chłopiec zawsze był ciekaw świata i często przesiadywał przy drodze, aby sobie popatrzeć na egzotycznych kupców lub wymykał się do grodu, aby nacieszyć oczy luksusowymi towarami przywożonymi przez handlarzy z różnych stron świata. Przy okazji Franio słuchał opowieści z różnych zakątków świata i z przyjemnością oglądał przedstawienia wystawiane na rynku przez wędrownych kuglarzy.

Najbardziej lubił opowieść o cudownej lampie i często marzył, że jego życzenia też się spełniają w cudowny sposób, bo ubodzy rodzice nie zawsze mogli nawet zapewnić coś do jedzenia Franiowi. Biedacy żywili się głównie rybami z pobliskiego stawu.

Pewnego dnia ojciec chłopca ciężko zachorował i nie mógł wypłynąć jak zwykle na połów, bo był zbyt słaby. Głód zapanował w chatce Frania, dlatego chłopiec postanowił sam wypłynąć na staw i spróbować złowić ryby. Niestety, był zbyt mały i nie potrafił sprawnie zarzucać sieci, więc były one ciągle puste. Rozpłakał się z żalu i bezsilności. Myślał o swoich rodzicach i biedzie, w jakiej przyszło mu żyć. Tak bardzo pograżył się w rozpacz, że nie zauważył, że już zrobiło się ciemno i nad stawem pojawiła się gęsta mgła. Gdy się ocknął, bardzo się przeraził, bo obawiał się, że nie będzie potrafił znaleźć drogi do brzegu. Nagle usłyszał tajemniczy

plusk wody. Chłopiec chciał uciec, ale nie wiedział którędy. Z wody wynurzył się złoty karp z koroną na głowie i przemówił ludzkim głosem:

- Witam cię, Franiu w moim królestwie. Już od dawna przyglądam się tobie spod wody. Ponieważ jesteś dobrym synem, postanowiłem spełnić twoje życzenie. Mów, czego pragniesz.

Chłopiec przeraził się tak bardzo, że zanie-mówił z wrażenia i pomyślał, że to mu się na pewno śni. Gdy trochę ochłonął, zaczął się zastanawiać, czego miałby sobie życzyć, aby być szczęśliwym. Po chwili namysłu powiedział:

- Pragnę, aby już nikt nigdy nie cierpiał głodu w mojej wiosce i aby mieszkańcy, którzy żyją nad stawem, byli szczęśliwi.

Karp spełnił życzenie Frania i zniknął w głębinach, a chłopiec szczęśliwie wrócił do domu. Od tego dnia dobrze się żyło mieszkańcom wioski i pobliskiego grodu, bo nikt już nie głodował. Minęło dwadzieścia lat. Franio stał się Franciszkiem i został wybrany przez króla Władysława Jagiełłę na starostę Krasnegostawu, gdyż uratował władcy życie podczas bitwy pod Grunwaldem. Rządził on w grodzie mądrze i sprawiedliwie. Cieszył się szacunkiem mieszkańców. Z wdzięczności dla króla karpi, umieścił właśnie te ryby w herbie miasta.

*Konrad Piwko
Szkoła Podstawowa nr 4
w Krasnymstawie*

Zuzanna Kucharczyk

Legenda o trzech braciach

Mój świętej pamięci dziadek zawsze opowiadał mi wieczorami ciekawe historie. Moją ulubioną była legenda o trzech braciach: Lubelu, Stawie i Zamo. Opowiem wam ją teraz. Mam nadzieję, że spodoba się wam, tak jak mnie.

Żyło sobie raz trzech braci. Nigdy sporów, walk nie toczyli. Każdy z nich był sprawiedliwy i dobry. Lubel jawił się jako silny, wysoki i potężny chłopiec. Jednak zły czarodziej rzucił na niego urok. Za dnia był brzydki w podartych szatach, zaś nocą zamieniał się w pięknego księ-

cia w ubraniach z najdroższego aksamitu, butach z nie byle jakiej smoczey skóry oraz pelerynie z czerwonego jak krew jedwabiu. Zamo był piękny dniem i nocą. Jego postać była wdzięczna i lekka. Zawsze stwarzał wokół siebie przyjemną atmosferę. Staw był bardzo zmęczonym, chudym i pokrzywdzonym przez życie chłopcem. Przez całe dzieciństwo leżał w łóżku i chorował. Nikt jednak do końca nie wiedział na co, ponieważ podczas choroby widywał się z nim tylko lekarz oraz rodzice. Dopiero gdy Staw skończył jedenaście lat, choroby ustały. Ciągłe jednak był słaby i nie miał siły do nauki. Pozostali bracia byli dorośli, więc nie musieli się już uczyć. Rodzice nie mogli znaleźć dobrego nauczyciela dla Stawa i bardzo się martwili. Pewnego dnia chłopiec poczuł się na tyle dobrze, że mógł swobodnie chodzić po obejściu. Myśląc, co i kogo najpierw odwiedzi, wpadł na stojącą w korytarzu zbroję. Upadł na posadzkę i skrzywił się z bólu. Spostrzegł jednak, że ten blaszak wskazuje na pewne nadszarpnięte zębem czasu drzwi. Otworzył je i okazało się, że była to kaplica (choć wtedy nie wiedział jeszcze, że tak nazywa się to miejsce). Staw bardzo się zdziwił, bo matka i ojciec nigdy nie mówili mu o tym Panu na krzyżu i grubej księdze zdobionej złotem. Chłopiec, kiedy ją otworzył, ujrzał mnóstwo nieznanых mu znaków. Uświadomił sobie, iż są to litery, a on nie umie czytać. Zabrał księgę ze sobą i pobiegł do rodziców. Oznajmił, że chce się nauczyć czytać oraz pisać. Rodzice byli zdziwieni jego postawą, ponieważ Staw nigdy nie palił się tak do nauki. Kiedy mama zapytała, dlaczego tak mu na tym zależy, chłopak odpowiedział, że nie ma zamiaru wyrosnąć na głąba. Skłamał, ponieważ wiedział, iż rodzice nie byliby zadowoleni, że zajrzał do tego starego pokoju. Tak więc nasz Staw zaczął się uczyć czytania i pisania. Na początku dowiedział się, że ta księga, która odtąd zawsze mu towarzyszyła to Biblia. Okazało się, że jest bardzo mądrym chłopcem i szybko pojął sztukę czytania. Tymczasem bracia Lubel i Zamo, kiedy patrzyli, jak rodzice zachwycają się tym niedorajdą, gorzknieli coraz bardziej.

Nasz bohater, kiedy już przeczytał całą księgę, był tak zafascynowany jej treścią, że pragnął wykrzyczeć to całemu światu. Udał się pośpiesznie do komnaty braci. Lubel był zdziwiony

jego wizytą i kiedy spojrzał na Zama, zrodziła się w ich głowach tak zła myśl, że aż go strach obleciał. Lubel złapał miecz, a Zamo nóż i ruszyli na Stawa. Biedak zdążył tylko krzyknąć, gdy ostrze noża przebiło jego ramię. Gdy przyszli rodzice, zastali swego najmłodszego syna leżącego w kałuży krwi. Na szczęście chłopak żył.

Po siedmiu latach od tego strasznego wydarzenia, Staw był już pełnoletni, a po braciach nie było śladu. Uciekli z domu i założyli własne grody Lublin i Zamość. Rodzice początkowo zrozpaczeni całym zajściem, z czasem zapomnieli o przykrości i smutku, które ich spotkały. Postanowili wysłać najmłodszego syna na odległe o wiele mil od dworu ziemie, aby chłopak zaczął samodzielne życie. Nazajutrz Staw wyruszył w drogę. Niewiele zabrał ze sobą. Miał konia, skórzany plecak, a w nim nieodłączną Biblię. Po długiej wędrówce, gdy dotarł już na miejsce, zmęczony rozpałił ognisko i zasnął. Rankiem wybrał się na spacer po okolicy. Okazało się, iż za wzgórzem znajduje się mała chatka. Musiał tam ktoś być, ponieważ z komina buchał dym. Staw zapukał do drzwi, otworzyła mu piękna dziewczyna. Zaprosiła go do środka i poczęstowała ciastem i herbatą. Rozmawiali bardzo długo, aż do późnej nocy. Staw szybko zakochał się w Tani, a Tania w nim. Zorganizowali huczne weselisko, a wkrótce potem podjęli decyzję o rozbudowie swego grodu. Jako, że w tamtych czasach to małżonek przyjmował nazwisko po żonie, a Tania była z rodu Krasnych, to Staw został Stawem Krasnym.

Czas mijał, Staw i jego małżonka żyli szczęśliwie. Jednak przykre wydarzenie zakłóciło ich spokój. Pewnego słonecznego dnia przyjechało dwóch posłańców od Lubela i Zama. Oznajmili, że wojska tatarskie napadły na ich grody i zmierzają w jego kierunku. Mężczyzna pobiegł do domu, wziął Biblię i poszedł do kościoła się modlić. Wszyscy mieszkańcy czekali jeden dzień, dwa dni, tydzień, a wojsk nie było ani widać, ani słyszeć. Lud zaczął dziękować Stawowi za modlitwę i Bogu za obronę. Bohater chciał, aby ludzie mogli słać i szukać pomocy w Biblii. Rozkazał więc, aby zbudowano ogromny budynek i umieszczono w nim Księgę. W ten sposób rozpoczęto budowę obronnego zamku, który jak Pismo Święte, miał strzec mieszkańców przed wrogami. Po latach ktoś wpadł na

pomysł, aby na cześć wybawiciela, gród nazwać Krasnymstawem.

Niestety, wszystko spłonęło wraz z połową grodu podczas strasznego pożaru, który strawił miasto w XVI wieku. Według opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie, Biblia miała się cudem uratować. Teraz jest ukryta gdzieś głęboko w podziemiach. Jeśli znajdzie się śmiałek i ją odnajdzie, nasze miasto stanie się stolicą regionu.

*Zuzanna Kucharczyk
Szkoła Podstawowa nr 4
w Krasnymstawie*

Katarzyna Ruszniak

Legenda o cudownym uzdrowieniu

Dawno, dawno temu za czasów naszych prapradziadków, w wiosce nad rzeką Marianką żyła sobie pewna piękna, młoda kobieta. Mieszkała w małej, drewnianej chatce otoczonej piękną roślinnością. Wszyscy dookoła ją szanowali i lubili. Pomagała ludziom w potrzebie i wspierała w trudnych chwilach. Była jednak bardzo tajemnicza i nigdy nikomu nie opowiadała o sobie i o swoim życiu. Nikt z wioski nie wiedział, jaką ukrywa tajemnicę.

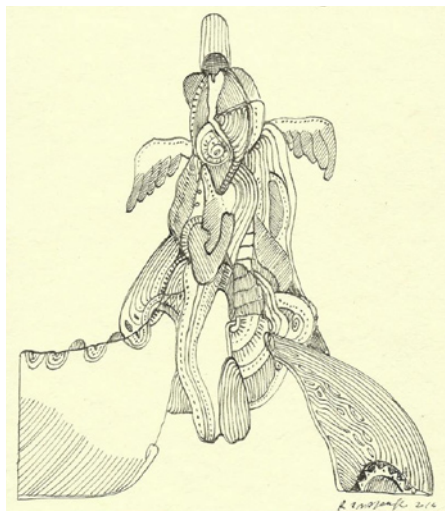
Pewnego razu pod jej dom przybył pewien człowiek błądzący po okolicy. Kobieta nakarmiła mężczyznę, dała mu pić i pozwoliła zostać u siebie do rana, ponieważ zbliżał się zmierzch. Gdy wyszła rano do ogrodu, nieznajomy usłyszał jakiś głos dobiegający z sąsiedniej izby. Postanowił tam wejść. Jak wielkie było jego zdziwienie, gdy w stojącym łóżeczku niedaleko olbrzymiego łoża kobiety, zobaczył małą dziewczynkę o smutnej twarzy. Kiedy próbował wziąć ją na ręce, na progu domu pojawiła się matka dziewczynki. Kobieta ze łzami płynącymi po policzkach opowiedziała mu o swoim nieszczęściu - śmierci męża i tajemniczej chorobie córki. Dziecko urodziło się bardzo ciężko chore. Akuszerka asystująca przy porodzie powiedziała jej, że dziecko umrze w ciągu kilku dni. Jednak tak się nie stało. Mała Ania, bo tak miała na imię ta dziewczynka, nie chodziła ani nie mówiła. Kobieta

była z córeczką u wielu medyków, jednak nikt nie umiał im pomóc. Wędrowcowi zrobiło się żal kobiety i jej dziecka. Z kieszeni swojego płaszcza wyjął mały pakunek i dał go kobiecie. Była to mieszanka różnych ziół: melisy, tymianku, babki lancetowatej, które miały leczniczą moc. Kobieta przez kilka dni robiła napary z ziół i podawała córce. Z radością obserwowała jak dziecko powraca do zdrowia. Po kilku miesiącach wędrowiec ponownie pojawił się pod chatą kobiety. Dziewczynka z wdzięcznością rzuciła mu się na szyję i opowiedziała o swym cudownym uzdrowieniu. Mężczyzna dobrze wiedział, co spowodowało „cudowne uzdrowienie”. Rzekł zatem do kobiety:

- Zioła, które ci podarowałem mają moc uzdrawiającą i rosną wokół ciebie. Możesz zacząć je zbierać, aby pomagać ludziom, tak jak ja wam pomogłem.

Kobieta zajęła się uprawą i zbieraniem ziół. Co jakiś czas odkrywała nowe gatunki. Wśród nich było zioło, któremu nadała nazwę Ildzik. Miało ono cudowną moc. Wielu ludzi dzięki niemu wyzdrowiało, zaś miejscowość w której go uprawiano nazwano Wolą Ildzikowską. I od tamtych czasów, aż po dzień dzisiejszy ludzie tam mieszkający uprawiają zioła.

*Katarzyna Ruszniak
Szkoła Podstawowa
w Fajslawicach*



rys. Robert Znajomski.

Krystyna Hus

Anekdoty i humoreski



Zaginiony na pastercie

Jest odwieczna tradycja, aby na pasterkę iść całą rodziną, nieraz wiele kilometrów i uczestniczyć w celebracji tej mszy. Robiono to zgodnie ze zwyczajem, ale i z potrzeby ducha. Po uroczystej kolacji wigilijnej przed północą wszyscy domownicy i starsi, i młodszy szli do kościoła. Po drodze spotykali inne rodziny, było gwarno i wesoło. Po mszy, kiedy ludzie wychodzili z kościoła rodzina moja nie mogła się doliczyć jednego członka. Wszyscy już opuścili świątynię, a kuzyna jak nie było tak nie było - jak kamień w wodę. Wnet do poszukiwań włączył się kościelny, nawet ksiądz zainteresował się tym incydentem i stwierdził, że cudów nie ma. Ale cud był i krewny też był, tyle, że... zasnął w konfesjonale. Pewnie był zmęczony. Ale czym? Kroniki rodzinne w tym miejscu milczą.

Bimber przy księżycu

Zdarzyło się, że milicja (tak, tak milicja, nie myślę się) dostała cynk, oczywiście od osoby życzliwej, że oto pewien obywatel, pijanica i nierób, zamiast zajmować się uczciwą pracą, urządza jakieś dziwne praktyki i to przy księżycu. Należało sprawdzić. W owym czasie do dyspozycji milicji i gminy chłopci zobowiązani byli do podstawiania „stójek” czyli furmanek przewożących w teren przedstawicieli władzy. Tak więc pojechali furmanką, bo o samochodzie nikt nie marzył. Funkcjonariusze rozpoczęli rutynową kontrolę, a woźnica czekał na wozie i nudził się. Było lato, gorąco, obok studnia, przy studni wiadro. Chłop ugasił pragnienie raz i drugi, a może i trzeci. Kto to wie, sam chłop pewnie już nie liczył.

Funkcjonariusze wrócili, nie znajdując dowodów przestępstwa, wsiedli na wóz i odjechali. Ale szybko okazało się, że to raczej konie prowadzą, a nie woźnica. Milicjanci szybko wyczuli pismo nosem i zawrócili, ale przy studni wiadra nie było. Gdyby wnikliwiej poszukali, okazałoby się, że do studziennego łańcucha przypięta jest bańka na mleko zanurzona w zimnej wodzie...

Poprawianie natury

Był czas - nie do uwierzenia - że w wiejskich gospodarstwach hodowano krowy i to nawet po kilkanaście. Wtedy widziało się prawdziwie wiejski krajobraz. Na zielonej łące krowy były zapładniane w sposób praktykowany od wieków. Ale nastąpiła zmiana - aby utrzymać odpowiednią rasę powołano instytucję inseminatora, który miał zapładniać krowy sztucznie. Nie wiadomo, czy krowom to odpowiadało, bo gospodarzom na pewno nie. No i znalazł się śmiałek, który, nie zważając na konsekwencje karne, potajemnie trzymał stadnika, czerpiąc zyski z tego procederu. I jak to bywa znalazł się ktoś życzliwy i powiadomił odpowiednie służby, które niezwłocznie postanowiły kuć żelazo póki gorące. Przybyli na kontrolę i stwierdzili przestępstwo, a że spieszyli się, mając jeszcze podobną sprawę w innej wsi, zaplanowali wrócić i dokonać formalności. W międzyczasie chłop też dokonał formalności - byka ukrył u sąsiada, a w pusty boks wprowadził krowę. Sprawa upadła. Nie było corpus delicti.

Na krasnostawskich łąkach

Zimy w latach czterdziestych XX wieku były mroźne, śnieżne i długie, a kończyły się gwałtownym ociepleniem. Wtedy rzeka Żółkiewka występowała z brzegów, zalewała łąki, woda dochodziła, aż do szosy i niosła ze sobą kry. Wystarczył kawał drąga do odpychania się i - ahoj, witajcie morza i oceany! Rejs trwał jednak niezbyt długo, kończył się na pierwszym większym kretowisku, kra pękała i następowała zimna kąpiel. Za to w domu - ciepła rozgrzewka z różgą, albo paskiem w tle, na końcu którego były wypisane zasady BHP.

Wkrótce potem grupka miłośników przyrody wybrała się na poszukiwanie wiosny, a konkretnie kotków wierzbowych. Grunt był rozmokły, więc wpadłam w błoto aż po kolana w kozaczkach z trudem „złączanych” przez wiejskiego szewca. Koledzy wyciągnęli buty i, żeby rodzice nie poznali się w jakich były opalających, wysmarowali je wapnem palonym. Efekt nie był natychmiastowy, ale na drugi dzień nie miałam w czym iść do szkoły.

Kto miał więcej strachu

Mój instynkt samozachowawczy czasami ulegał awarii, bo jak wytłumaczyć fakt, że kiedy zobaczyłam zającą w pozycji „na stojąco” siedzącego na miedzy, pochyliłam się nad nim, a ten z całym impetem dał susa mi prosto w nos. Nie miałam pojęcia, że zające spiąją na stojąco i do tego z otwartymi oczami. Nie wiadomo, kto był wówczas bardziej przerażony - on czy ja. Dzisiaj skończyłoby się to dla mnie zawalem.

Na gałęzi

Rosło drzewo z konarem, który przeszkadzał. Trzeba było go usunąć. Bierzemy piłę typu „moja-twoja”, ja na górze, na gałęzi, bo jestem mniejsza, lżejsza i naiwna, ktoś na dole i piłujemy. No i stało się tak, jak było do przewidzenia. Zapewniam, że nie było to miękkie lądowanie. Tak kończy się podrzynywanie gałęzi, na której się siedzi. I tak „zakałałaś stal” jak określił to radziecki pisarz Ostowski. A bo też moje pokolenie czekały nie lada wyzwania - trudny okres okupacji niemieckiej, jeszcze trudniejszy czas początków władzy ludowej okraszony „wolnością” i całkiem idiotyczny okres stalinizmu. Wyrastaliśmy na ludzi, którzy - jak widać - przeżyli.

W izbie przyjęć

Złożona niemocą, nie zważając na ostrzeżenia znanego serialu „wystrzegaj się szpitali”, a może wrodzonej pokorze, podjęłam starania znalezienia się pod opieką tej szacownej i niezbędnej instytucji. Udało się i oto jestem w izbie selekcji. I niech tak będzie, nieraz mnie selekcjonowano. Przyjęto mnie z należnym szacunkiem. Od razu dało się odczuć, że na mnie czekali. Po wymienieniu wstępnych uprzejmości, polecono mi usiąść na wygodnej ławce i zaczekać minutkę. Minutka ma to do siebie, że niekoniecznie trwa minutkę, a że o tym dobrze wiedziałam, to mnie nie obruszało, ani nie dziwiło. Poza tym znalazłam wątpliwą pociechę w tym, że siedziałam w otoczeniu osób skrzywionych bólem, stękających, a ja nie utyskiwałam, cierpiałam w milczeniu, taka jestem.

Moja cierpliwość została nagrodzona. Z szelalem świeżo krochmalonego kitla przyjął mnie se-

lekcjoner i wstępnie ocenił. Tytułem wyjaśnienia dodam, że mam 50 lat z plusem (dość dużym).

- No, wie pani, zważając na wiek...

- Ależ panie doktorze, ja wiem, że jest XXI i szalony postęp w medycynie, a i koszyk usług medycznych się zwiększył, więc nic dziwnego, że z zafaniem oddają się w ręce NFZ.

- No tak. Należy się pani odpoczynek.

- Ale do wiecznego nie spieszy mi się i jest mi jakoś nie po drodze.

Doktor w tej kwestii zgodził się ze mną, a jeżeli tak się uporałam to mogę czekać, ale przed wiadom lekariskim nie wykpię się stanem zdrowia.

Miła pielęgniarka rozłożyła kilkunastokartkowy wywiad, westchnęła do wszystkich świętych i zaczęła:

- Papierosy?

- Nie palę, bo jestem członkiem „zielonych”, a i paczka jest coraz droższa, a cudzesy coraz rzadsze. Nie będę psuła atmosfery przyszłym pokoleniom.

- Alkohol!

- Gdzie mi do takich wybryków, a jako członek towarzystwa antyalkoholowego walczą z tym zgubnym nałogiem. A i butelczyna jest droga, emerytura marna.

- Narkotyki!

- Co też pani? Dealerzy zdarzają się rzadko i to tylko wśród młodych, mijają starszych, a koszt jest taki, że i bez narkotyków wywołuje zawrót głowy.

Pytania się mnożyły, pielęgniarka nudziła się, a ja czekałam na dalsze pytanie o moją orientację seksualną.

- No wie pani! Oburzenie było nieuzasadnione, bo wiadomo „w starym” piecu diabeł pali. Zignorowano moją wypowiedź. Za to lekarz na własną odpowiedzialność skierował mnie na oddział. Nie muszę dodawać, że i tam przyjęto mnie z odpowiednią estymą. W drodze absolutnego wyjątku, zamiast na korytarzu położono mnie w sali na bardzo wygodnym łóżku. Nie miało wszystkich sprężyn, za to było (kiedyś) białe i miało prawie czystą pościel, której walor podniosły kwiatki - widomy znak, że kiedyś pacjentka zostawiła swoją pościel. Stolik nocny też był, solidny z naklejką „Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy”, która skutecznie przykrywała przerdzewiałe miejsca.

Krystyna Hus

Leszek Janeczek

(N)ie)zwykle odwiedziny



Starzy ludzie mają stare rzeczy. Zestarzały się razem z nimi. I teraz oto, jedni i drudzy, stoją na progu unicestwienia. Rzeczy, tak jak ich właściciele, czekają niewiadomego. Ludzie wiedzą, że ich już tu nie będzie. A z rzeczami będzie różnie. Ich właściciele starają się posprzątać po sobie. Zbędne unicestwić, zanim samemu podzieli się taki sam los. W domu pani Anny wszystko wydaje się być w latach. Nawet brama kamienicy chroniąca dom od ulicy, cała z desek, z wyciętą w niej furką, pomalowana olejną farbą, jest z tamtych czasów. Nie wiadomo dokładnie z jakich. A schody drewniane i wąskie, stromo wspinające się na pierwsze piętro, z wytartymi przez może 80 lat używania stopniami. Jeszcze widać w drewnianej belce nad nimi ślady siekiery. To w czasie okupacji Niemcy wyrąbali, chcąc zyskać nieco wysokości przy znoszeniu pianina.

Duży pokój to emanacja tego mieszkania. Wytarty dywan, niemodne krzesła, niedzisiejsze futryny okien z niegdyśszymi zaszczepekami, piec, choć zapewne ma kolor kafli taki jak po postawieniu, to swoim wyglądem pasuje do starości. Do tego, ten niby-przedpokój z niby-kuchnią. Zagrodzony drewnianą ścianą na wysokość może dwóch metrów, z drzwiami wyprowadzającymi nas przez to jakby przepierzenie w kolorze jasnoniebieskim. Pod koniec życia pani Anny ten kolor, chociaż nie tak dawno położony, w idei swej jest stary. Był on taki sam, kiedy mieszkał tu żydowski lekarz, jeszcze przed wojną, która zmiotła całe jego pokolenie. Nasi malarze pokojowi określali ten rodzaj niebieskości żydowskim kolorem, który nie dawał się im zamalowywać przez wiele lat po wojnie. I jeszcze ten zapach, który tak pasuje do całości, sprawiający wrażenie, że wacha się przeszłość. Z półek biblioteczki patrzą na przybysza postarzałe książki, jakby chciały się jakąś mimiką przypodobać reszcie swojego otoczenia. Nad nimi kłębią się różne arkusze, wycinki, stojące w ramkach zdjęcia, kartki i bibeloty. Ze zdjęć wciąż spogląda gospodarz tego, co tu jest. Wszystko to

obramowane dziś już staromodną meblościanką, będącą osiągnięciem cywilizacyjnym PRL-u.

Właścicielka niedawno owdowiała; nosząca w sobie jeszcze głębokie poczucie straty, teraz zdaje się być osaczona tymi wszystkimi przedmiotami po mężu, który z taką pieczołowitością regionalnego badacza historii, gromadził je przez całe swoje pełne pasji życie. W jej myśleniu czuje się jakiś przymus uporania się z tym dziedzictwem, dla którego nie ma ani czasu, ani zrozumienia syn, znany polski poeta. Córka mieszkająca gdzieś w Niemczech, pod holenderską granicą, co uważała pozwoliła pochłonąć ogniovi. Ogień był dla niej jak katharsis, chciała uniknąć spotkania z notatkami ojca. Po części oczyściła przestrzeń tego domu, jak się jej wydawało. Gdy to mówiła, jej oczy błyszczały, zdawała się być bardzo zadowolona ze swojej pracy.

W pokoju jest coś nowego, dzisiejszego. To duży plastikowy brudnozielonkawy worek kryjący na dnie jakieś szpargały. Pani Anna pozwala przejrzeć jego zawartość. Tam nic nie ma ważnego. To wszystko idzie do pieca. Ktoś z Krasnegostawu, który przyjechał odwiedzić żonę swojego „kolegi” i jak on pasjonata historii, doznał natychmiastowego niepokoju i chęci zaspokojenia ciekawości co też tam może być na dnie i czy rzeczywiście są to rzeczy bez wartości. Zależy przecież dla kogo. Może się trochę wstydził, bo to tak, jakby sprawdzał panią domu niby małą dziewczynkę, czy dobrze wykonała swoją pracę. Ręka przybysza za pierwszym zanurzeniem wyciąga grubą książkę. Józef Nikodem Kłossowski „Chłostra”. Kto z młodych wie dziś coś o autorze? Autor był krasnostawskim literatem. Teraz już wiadomo, nie można tak zostawić niewidzialnej zawartości, kryjącej się na dnie tego worka.

Za drugim razem wróciła na pokój, pokryta gryzącym gardło grzybicznym nalotem, zwinięta duża karta papieru. Po otrzepaniu pyłu i rozwinięciu, oczom ukazuje się niemiecka wojskowa mapa z 1943 roku przedstawiająca południową Lubelszczyznę, łącznie z Krasnymstawem. Pani Anna sama jest zdziwiona przeznaczeniem jej na spalenie. Doskonale pamięta skąd się wzięła. Niemcy zostawili ją w kamienicy naprzeciwno. Na strychu znaleziono ją kilka lat temu, jak zmieniano dach. Stąd ten szary, prawie czarny nalot

na jej powierzchni, od wilgoci. Robotnicy, nic nie mówiąc właścicielowi, przynieśli ją do męża, jako do człowieka mającego poszanowanie dla starych przedmiotów. Kolory pozostały dość żywe. No, historyczny cymes. Mapa najeźdźców, którzy ujarzмили tę ziemię. Gospodyni jeszcze się trochę dziwi, że chciała to spalić.

Teraz wiadomo na pewno, trzeba skwapliwie przejrzeć całą zawartość. Widać kilka luźnych kartek wydartych z jakiejś książki. Nie ma ona początku ani końca. Gość jest jednak konsekwentny, lub wie, że go jakieś niejasne przeczuć. Gdy palce przepuszczają arkusze jeden po drugim, nagle przypadkowo, na jednej z kartek, jego wzrok wychwytuje pewien wyraz. Jakaś niewidzialna euforia, znana pasjonatom, wstrząsa gościem. Serce zaczyna bić z ożywieniem. Taką czystą duchową ekstazę przeżywają badacze, przynajmniej badacze historii. No, cały tytuł brzmi dla przybysza niezwykle. *Do Antoniego Oleszczyńskiego w Paryżu*. Aha, jest to list do człowieka urodzonego w Krasnymstawie właśnie. Najbardziej znanego dziewiętnastowiecznego polskiego grafika. Mieszkał, tworzył i umarł w Paryżu. Jak to?! Za niedługo, aktem całkowicie świadomym, miał to pochłonąć ogień, nie dawszy nawet znaku odległemu o 30 kilometrów miastu, które zrodziło adresata?! Mało tego, to rodzinne miejsce nie zna chyba ani jednego listu do obywatela, którym tak się szczyci. I w którym ani jedna osoba nie ma pojęcia o istnieniu takiego rarytasu, jedną nogą już będącego w nicości.

Autor zwraca się per „Kochany Antoni” i pociesza dość młodego Oleszczyńskiego, aby nie martwił się jakimś despektem doznany od rodaków w kraju. Zapewnia o swoim i innych szacunku. Daje nadzieję na wynagrodzenie niesprawiedliwości. Tych kilka linijek na pożółkłej i poszarzałej kartce z książki... Listu jest niewiele, ale podpis pod nim, przytłacza przybysza w tej krótkiej pełnej pośpiechu chwili, tak że wydaje się mu to już wręcz nieprawdopodobną sensacją. Dla niego, poszukiwacza krasnostawskich pamiątek, w tych dwóch słowach, określających autora owego listu, była wielka nagroda. A właściwie powiedzieć wielka, to prawie nic nie powiedzieć, była to meganagroda do n-tej potęgi. Te dwa słowa brzmiały - Adam Mickiewicz. Myśli

kłębiły się w głowie jak płomienie, które miały niedługo to zabrać i unicestwić, dając nieco ciepła zatęchłej przestrzeni starego pokoju. W Krasnymstawie przy Rynku wisi tablica informująca o urodzeniu w roku 1794 Antoniego Oleszczyńskiego. W Paryżu za 50 lat będzie on kolegą narodowego wieszcza. Miasto Krasnostaw dowie się o tym 160 lat później...

Na pożegnanie, pani Anna jeszcze jakby od niechcenia dodała, głosem zgaszonym i zwyczajnym, że jej bratanica pochodząca z Rudnika, spotykała w Krasnymstawie Tadeusza Gajcego, który miał mieć jakieś korzenie rodzinne w tym mieście.

Na dworze zaczynało jesienią zmierzać. Przybysz wyszedł na świeże powietrze zamroczony tym wszystkim, co zobaczył i usłyszał. Dla niego była to historyczna ekstaza. W rękę ścisnął szare, brudne, spleśniałe papiery, jak największe skarby. Dla pani Anny było to wszystko całkiem normalne. Żyje z tym prawie całe życie. I tak zabierze to tylko dla siebie na drugą stronę. Ale po co jej to wszystko tam?

dr Leszek Janeczek



rys. Robert Znajomski.

Mirosław Iwańczyk



Mistyczna Wędrowka

Rozsuwam schody duszy
wnikam w molekuly myśli
od zastygłego ciała oderwane
kroczę mistyczną ścieżką
jak błędny rycerz
adoruję emanację Graala
impresję nieuchwytną twarzy
idę legendą wiekuistej wędrowki
medytuję bez końca
pośród nieśmiertelnych winnic
poznaję ciebie
zaklętą w winogronach

Metafora z cienia

Nie rozprasza
metafory z cienia
nie zamykaj dziedziczą
przed zmrokiem
zapal pieśni umarłe
na mgieł szczytach
niech znów starzec
skargę zanuci
niech znów czaszka
legendę opowie
niech znów
postać zgarbiona
przy kamieniu przystanie

Arkadia dzieciństwa

Zagłębia się myślami w tajemniczym świecie
beztroskiego dzieciństwa
naiwnym, niewinnym i fascynującym,
jak fantastyczne baśnie z tysiąca i jednej nocy.
Przywracam w pamięci orientalny blask
cudownej lampy Aladyna,
rozpraszającej jasnym strumieniem
feerycznych barw

mroczne moce nagromadzonego zła.
Przenoszę się w obłokach wyobraźni
do krainy zaczarowanego lasu elfów,
enklawy ciszy i spokoju,
azylu bezpiecznej duchowej kontemplacji.
W szarobiałej poświacie porannego brzasku
widzę drogą memu sercu piękną i mądrą twarz
mojej matki.
Czuję na policzkach jej tkliwy dotyk
macierzyńskiej miłości.
Przed oczyma przesuwają się jak na ekranie
retrospektywne obrazy mego życia.
Szukam śladów minionego dzieciństwa
w szeleszczących kartkach
zmiętego starego zeszytu,
w wysłużonym przetartym sweterku
i w ołowianym żołnierzyku bez jednej nogi,
wiernym towarzyszowi moich zabaw.
Wspomnienia wypełniają całe moje jestestwo.
Przebiegają przez ciało dreszczem wzruszenia,
szklą oczy łzami tęsknoty
za chwilami, które już nigdy nie powrócą.

Pieta

Powiedz co czujesz
gdy w ramionach
obejmujesz własne cierpienie
brzemień narodzone w bólach
uśpione w nieśmiertelnym śnie
świętą głowę dłonią muskasz
zastygasz niczym Niobe
z kamiennym krzykiem na ustach
obmywasz łzami jego rany
wargami czytasz całun ciała
bezzadnie patrzysz
w znikający punkt
w przestrzeń niepojętą
ty tulisz na łonie
bezwładnie szczątki nadziei
twoja boleść i rozpacz
nie zmienia już nic
wciąż czekasz na wieczny świt

Jurata Bogna Serafińska

Pierwszy kochanek



Tego dnia zepsuł się zakładowy autobus i podstawiono żuka. Było wiadomo, że wszyscy pracownicy i tak się do niego nie zmieszczą. Żuk nie miał miękkich siedzeń tylko twarde, drewniane ławeczki ustawione bokiem do jazdy. Kiedy podjechał, wszystkie miejsca były już zajęte przez roześmianych pracowników, którzy żartowali, że paniom byłoby na ławeczkach za twardo, więc oni się poświęcą i wezmą je na kolana.

Wiktoria czekała na autobus razem z koleżanką. Koleżanka tylko prychnęła, że ona nikomu na kolanach nie usiadzie i pomaszzerowała w stronę odległego przystanku komunikacji miejskiej. Wiktoria, która chciała być nowoczesna, a przynajmniej starała się za taką uchodzić, ruszyła w stronę żuka. Posłyszała gromkie „wow” i kilku kolegów zaoferowało jej miejsce na swoich kolanach. Nie miała zamiaru się droczyć i usiadła najbliższej wyjścia, na kolanach sympatycznego młodego kolegi. Podobnie postąpiło kilka jej koleżanek, w końcu nikt nie miał ochoty tracić dwóch godzin na dojazd, mając możliwość jazdy żukiem, nawet w dużym ścisku. Normalną rzeczą, praktykowaną na co dzień było wtedy (a były to lata siedemdziesiąte XX wieku) również podwożenie pracowników biurowych do domu przez kierowców jeżdżących cysternami z paliwem. Wtedy dopiero trzeba było wykazać się akrobacją, aby wspiąć się do wysokiej szoferki na przykład w wąskiej spódnicy. Nie było innego wyjścia i aby to zrobić, trzeba było najpierw podciągnąć maksymalnie spódnicę.

Żuk ruszył i pomknął trasą autobusu zakładowego. Było gorąco i Wiktoria nie mogła się doczekać końca jazdy. Kiedy wreszcie wysiadła, wyprostowała się i wtedy zderzyła się głową z kolegą, na którego kolanach siedziała. Oboje nabili sobie guza, co nie uszło uwagi reszty pasażerów. Całe towarzystwo rozeszło się w doskonałym nastroju. Tę jazdę wspominano i komentowano jeszcze następnego dnia w czasie pracy.

Niby mało ważne wydarzenie, ale to właśnie ten kolega został potem pierwszym kochanikiem Wiktorii. To on stał się polem dla jej eksperymentów mających na celu wyrobienie sobie zdania na temat mężczyzn i trzeba przyznać, że w porównaniu z jej mężem wypadł dosyć blado. Wiktoria nie miała wcześniej żadnego porównania w sprawach damsko-męskich i odczuwała w tej dziedzinie zdrową, a może niezdrową ciekawość. Sytuacja, w której miała męża i kochanka była jednak dla niej na dłuższą metę zbyt trudna, postanowiła więc wyeliminować kochanka. Zerwała z nim nagle, a właściwie nie tyle zerwała, co przestała przychodzić na umówione spotkania.

I tak zakończyła się jej przygoda rozpoczęta podczas jazdy służbowym żukiem.

Konfrontacja światów

Mąż zadzwonił, że musi zostać dłużej w pracy i nie może po nią przyjechać. Nie zmarł to jej to. Wysiadła ze służbowego autokaru i ruszyła w stronę przystanku tramwajowego. Spodziewała się, że zaraz dogoni ją kolega i nie pomyliła się.

- A może pójdziemy pieszo do autobusu? - zapytał.

- *Dlaczego nie?* - pomyślała i ruszyli razem.

Po drodze wstąpili na lody i ciastka. Potem szli, mijając kolejne przecznice i śmiali się, i przekomarzali właściwie zupełnie bez powodu, tak jak potrafią to robić tylko bardzo młodzi, szczęśliwi ludzie, którzy nawet nie zdają sobie sprawy z istniejącej pomiędzy nimi chemii i nie wybiegają jeszcze myślą poza chwilę obecną. Po godzinie doszli na przystanek autobusowy.

Wtedy dostrzegła nagle swojego męża, który stał na przystanku i podejrzliwie spoglądał w stronę nadchodzącej hałaśliwej pary.

- *Przecież nie robię nic złego* - pomyślała, ale śmiech zamarł na jej wargach. Przywitała się z mężem. Nadjechał autobus i wszyscy wsiedli. Zajęła wolne miejsce, a kolega szybko usiadł obok niej i kontynuował przerwana rozmowę, wybuchając co chwilę głośnym śmiechem. Było bardzo ciasno, dostrzegła jednak wściekle spojrzenie męża, który stał obok.

- *Nie zrezygnuję z siedzącego miejsca i nie będę stała, tylko dlatego, że on nie był dostatecznie szybki, aby usiąść obok mnie* - przeleciało jej przez myśl, ale czuła, że sprawa jest o wiele poważniejsza.

Na przedostatnim przystanku kolega pożegnał się i wysiadł. - Do jutra - rzucił i szeroko się uśmiechnął. Odpowiedziała szybkim, trochę nerwowym uśmiechem. Po paru minutach szła już razem z mężem w stronę domu. Cisza dzwoniła jej w uszach.

W domu atmosfera stała się jeszcze bardziej napięta, mąż z trudem hamował wściekłość. Zdawał sobie sprawę, że ośmieszy się jeśli zrobi awanturę, bo tak naprawdę nie ma o co, jeszcze nie ma. Nie umiał jednak robić dobrej miny i zachowywać się jak zwykle. Czuł, że jeden jego niewłaściwy gest może zniszczyć to wszystko, co uważał za swój cały świat. A może tego świata już nie ma, a on żyje iluzją?... Do dziś nie wyobrażał sobie, że żona może tak dobrze się bawić w innym towarzystwie niż jego. Najchętniej zamknąłby ją w domu. Te wszystkie myśli wywoływały grymas na jego twarzy, grymas, którego nie umiał i nie chciał ukryć. Uważał, że żona powinna odczuć jego niezadowolenie.

- *Co się dzieje, o co mu chodzi?* - myślała, chociaż dobrze wiedziała w czym jest problem. Mąż pierwszy raz zobaczył ją z innym mężczyzną, z którym swobodnie się czuła i z przyjemnością rozmawiała. Uświadomiła sobie, że mąż ją nudzi, a do tego męczy tymi swoimi ciągłymi podejrzliwymi spojrzzeniami, pouczeniami i grymasami.

Dotychczas uważała swoje małżeństwo za udane i szczęśliwe. Teraz zauważyła, że żyła jakby na dwóch płaszczyznach, w dwóch światach. W jednym była tylko ona i mąż, w drugim - ona oraz koleżanki i koledzy z pracy. Wszystko było dobrze tak długo, dopóki te światy były od siebie oddzielone. Wtedy była szczęśliwa (no, może względnie szczęśliwa) w każdym z nich, a w tym świecie, do którego mąż nie miał do tej pory dostępu - nawet bardziej radosna i beztroska. Dzisiaj doszło do konfrontacji światów. Już nie będzie tak jak dotychczas. Mąż zaczął sugerować, że powinna zmienić pracę.

- *Dlaczego?* - udawała, że nie rozumie.

Uświadomiła sobie, że jest uzależniona

seksualnie od męża, ale go nie kocha, jednak nie odeszła. Aby udowodnić samej sobie własną wolność i niezależność, wdała się w romans z kolegą... Zerwała z nim po pewnym czasie, aby nie rujnować swojego małżeństwa, a on wtedy zwolnił się z pracy. Właściwie nie znaczył dla niej wiele, ale nigdy potem nie była już tak radosna jak wtedy przed laty. Coś wtedy straciła - niewinność, złudzenia, różowe okulary, a może niezależność? Chyba to ostatnie, bo dręczyły ją wyrzuty sumienia i w późniejszych latach zrezygnowała ze względu na męża z wielu swoich marzeń i ambicji.

Czy było warto? Wiedziała, że nie, ale przecież nie mogła cofnąć czasu. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby mąż wtedy nie zadzwonił, a może po prostu zbyt wcześnie wyszła za mąż... może za niewłaściwego mężczyznę?... To jest bardzo prawdopodobne, ale nie ma jak tego sprawdzić, zresztą po co?

Konfrontacja światów nie zawsze występuje na wielką skalę. Wszyscy mamy swoje własne miniświaty i dobrze, jeśli mogą one ze sobą pokojowo koegzystować. Nie zawsze jest to możliwe i nie zawsze się o to dostatecznie staramy.

Domek w lesie

Czuła się źle, a on chciał koniecznie jechać do domku w lesie. Zabrakło jej argumentów, aby się przeciwstawić. Nie miała gorączki, tylko lekki kaszel i brak chęci do opuszczenia mieszkania, w którym czuła się bezpiecznie.

- W sosnowym lesie wszystko ci przejdzie - powiedział, a ona przytaknęła, zakładając, że on wie lepiej. Myślała, że pojadać następnego dnia, ale on wszystko spakował i pozostało jej tylko zejść do samochodu.

W lesie nie poczuła się lepiej, a drewniana chatka wydała się jej mocno wilgotna. W końcu nikt tam nie wietrzył od poprzedniego lata. Cały czas czuła ciągnące się wilgotne zimno. Liczyła, że wyrzy słońce i domek się nagrzej, jednak tak się nie stało. Przez następny tydzień padał deszcz. W nocy, z powodu coraz silniejszego kaszlu nie mogła w ogóle spać, w dzień nie wychodziła dalej niż na taras. Tymczasem on cieszył się, biegając na grzyby i siejąc jakieś zielsko na

grządkach. Nie, nie zaniedbywał jej - parzył ziółka i herbatę, podawał aspirynę. Jednak uznał, że nie jest tak naprawdę chora i postanowił wziąć ją na przetrzymanie.

W końcu miała dosyć i głośno to powiedziała. Męczył już nie tylko kaszel, ale i gorączka, zaczynała się po prostu bać o swoje zdrowie. Był mocno niezadowolony, ale przyjrzał się jej uważnie.

- Wracamy do Warszawy - powiedział wreszcie i spakował rzeczy.

Już mieli wyjeżdżać, kiedy niespodziewanie przyjechała jego córka ze swoim chłopakiem. Sytuacja stała się kłopotliwa, bo przyjechali tu po raz pierwszy, z ciastem i butelką wina. Chora nie chciała zasłużyć na miano wrednej macochy, nie wykrztusiła więc, że jest chora, a jej mąż... szybko rozpakował bagaże i zaczął szykować obiad.

- Inaczej w tej sytuacji nie wypada - powiedział.

Nie miała już siły na nic. Nie mogła wydostać się z tej pułapki. Las był oddalony od cywilizacji, środków komunikacji, a telefony komórkowe jeszcze wtedy nie istniały. Mogła wyjechać tylko z mężem albo jakąś nadzwyczajną okazją. Okazji nie było. Położyła się do łóżka. Przez kolejne dwa dni trzęsły nią dreszcze.

W końcu goście mieli dosyć chodzenia w deszczu na grzyby i jedzenia jajecznicy i wyjechali. Wróciła z mężem do domu. Następne dwa miesiące przeleżała w łóżku, a lekarze stawali na głowie, aby ją wyciągnąć z ciężkiego zapalenia płuc. Mąż bardzo się martwił, kupował leki, pomarańcze i wszystko, co było potrzebne, zyskując pochwały u wszystkich wokół. Jeździł też co kilka dni do lasu.

- *Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, że to przez niego jestem teraz taka chora* - myślała.

Czy mogła temu zapobiec, czy powinna się była przeciwstawić? Teraz wiedziała, że tak. Ale trudno jest przeciwstawić się mężowi, który deklaruje miłość, jest troskliwy i opiekuńczy i niby bardzo się stara... a naprawdę usiłuje przez cały czas narzucić swoje zdanie i swój styl życia. Taką sytuację jest bardzo trudno ocenić obiektywnie, jeszcze trudniej wyciągnąć prawidłowe wnioski. Wtedy nie umiała jeszcze tego zrobić.

Przebudzenie

Przez pierwsze pół roku nie mogła pohamować płaczu. Nie wyobrażała sobie jak teraz będzie dalej żyć... sama. Odszedł ten, z którym dzieliła życie przez wiele, wiele lat. Nie chciała wierzyć w nieodwracalność tego, co się stało. Nie mogła i nie chciała o tym mówić, unikała kontaktów z ludźmi. Czuła się względnie dobrze tylko sama w swoim mieszkaniu. Przypuszczała, że nie pożyje długo, no może rok, nie więcej. Tak, na pewno nie będzie umiała teraz żyć, przecież on zawsze jej mówił, że bez niego sobie nie poradzi. W ostatnich tygodniach bała się i spała, trzymając ręce na szyi. Tak, na wypadek tego, gdyby przyszło mu do głowy... wolała tego nawet nie precyzować.

Po następnych kilku miesiącach zauważyła, że czuje się lepiej. Mogła się teraz wyspać i nie musiała już pędzić jak najszybciej ze sklepu do domu w obawie, że on coś sobie zrobił, że zapomni o rozkręconym gazie, albo o lejącej się wodzie z kranu, albo po prostu zrzucił na siebie zawartość którejś z górnych półek, albo - co byłoby najgorsze - będzie miał kolejny atak, a jej wtedy przy nim nie będzie, nie poda mu leków i nie zadzwoni na czas po lekarza.

Teraz mogła wyjść z domu nawet na dwie godziny i niczym to nie groziło. Powoli zaczynała żyć normalnie w stosunku do tego, co było jej udziałem przez ostatnie pięć lat. Spokój jednak nie był jej dany od razu, w tym czasie zaatakowała ją rodzina męża. Sprawa sądowa, jaką jej wytoczono zmobilizowała ją do działania i wbrew oczekiwaniom atakujących, wzmocniła jej siły. Stres trwał przez kolejne trzy lata, ale wygrała i sprawę, i swój spokój. Nikt już jej nie zagrażał.

Wreszcie poczuła, że jest bezpieczna i może pomyśleć o sobie. Była wyspana i wypoczęta, odzyskała apetyt, a przede wszystkim odnalazła swoje dawne, spychane na skraj świadomości ambicje. Poczuła smak życia. Postanowiła, że zadba o zdrowie, bo chce żyć jak najdłużej. Chce mieć czas na realizację marzeń, na wszystko to, z czego zrezygnowała kiedyś w imię miłości i małżeństwa. I pomyślała sobie jeszcze, że on, wtedy dawno temu, nie powinien był przyjąć tych

wszystkich wyrzeczeń, nie powinien być, jeśli ją naprawdę kochał.

No cóż, życie to nie bajka, stwierdziła pewnego dnia rano, zaraz po przebudzeniu. I okazało się, że było to dla niej przebudzenie symboliczne, od tego dnia zmieniła zupełnie swoje życie.

Prawie jak szwagier

Zenek obudził się w wyśmienitym humorze. Po wczorajszej akcji był z siebie bardzo zadowolony i patrzył z politowaniem na smętną minę swojej żony Biruty. Dla ścisłości trzeba bowiem dodać, że akcja Zenka dotyczyła kuzynki jego żony, a konkretnie jej ciotecznej siostry Agaty, która rok temu owdowiała. Otóż Agata poznała ostatnio pana, który okazywał wielkie zainteresowanie jej osobą. Pan ten nie budził wielkich zachwytów Agaty, trzymała go na dystans, nie pozwoliła nawet na to, aby przeszli na ty; czuła się jednak bardzo samotna i postanowiła zabrać adoratora, jako osobę towarzyszącą na małe, niezobowiązujące spotkanie rodzinne. Umówiła się z Birutą, z którą potem mogłaby o wszystkim porozmawiać i poplotkować. Pech jednak chciał, że tego dnia Birucie wyjątkowo towarzyszył jej mąż Zenek. Nie wiedział zbyt wiele o całej sprawie, ale sytuacja zaciekawiła go do tego stopnia, że postanowił rozkręcić towarzystwo.

- Jestem Zenek, no prawie szwagier - zwrócił się do nowo poznanego mężczyzny, po czym poklepał go po ramieniu.

- Możesz, bracie liczyć na rodzinę. Może pojedziemy wszyscy razem na urlop? Serdecznie was zapraszamy - rzucił, lustrując miny kuzynki i jej adoratora.

- A w ogóle przestańcie już udawać z tym per pan, pani, mówcie wreszcie do siebie normalnie - brnął dalej, nie zważając na groźne spojrzenia, jakie rzuciła mu Biruta.

- Czego chcesz ode mnie, kobieto - warknął do niej możliwie najciszej, ale dostatecznie głośno, aby być słyszany przez wszystkich - przecież widzę, że twojej siostrze potrzeba chłopca, a ten jakiś taki niemrawy, to trzeba go zachęcić...

W tym momencie Biruta wiedziała, że nic się już nie da naprawić. Wcześniej planowała, że jeśli facet będzie w porządku, to będzie namawiać

Agatę na związek, a może chociaż romans. Jednak знаła swoją siostrę na tyle, aby wiedzieć, iż po takiej scenie nie ma już żadnych szans na cokolwiek.

Po ostatnich słowach Zenka Agata oblała się rumieńcem, a jej adorator zzieleniał na twarzy. Nie patrzyli na siebie, ale obydwójce zgodnie szybko się pożegnali i wyszli.

- Widzisz jak ich zeswatałem? Od razu popędzili do chaty - triumfował Zenek.

Biruta popatrzyła przez okno. Zobaczyła parę wychodzącą na ulicę. Mężczyzna coś cicho mówił i zdawał się przekonywać, ale kobieta zdecydowanie pokręciła głową i natychmiast się odaliła. Przeszła kilka kroków, zatrzymała taksówkę i odjechała.

Tak, bardzo źle to wszystko wyszło. Biruta wiedziała, że słowa jej męża podziały jak papier lakmusowy i utwierdziły Agatę w jej niechęci do adoratora. Jednak to nie wszystko - siostra miała dosyć prostackich zagrań Zenka i na pewno nie zechce go już nigdy więcej widzieć. Popsuły się stosunki towarzyskie i rodzinne.

Zadowolony z siebie był za to Zenek i tej radości i samozadowolenia nikt i nic nie mogło mu odebrać.

Jurata Bogna Serafińska



rys. Robert Znajomski.

Zbigniew Masternak



Ja z Orkana

Pamiętam dobrze wieczory, kiedy drączyłem pierze i słuchającym z zapartym tchem kobietom, moja matka czytała kolejne fragmenty „Komorników” Władysława Orkana. Było cicho, cienie rąk na bielonych ścianach poruszały się bezszelestnie, a wzruszenie razem z puchem wirowało pod sufitem. A kiedy do domu wrócił syn Józek i zastał trupa zmarłej z głodu i wycieńczenia matki, dłonie kobiet zastygały. Nieruchome stawały się także cienie na białej ścianie. Słowa biegały po nerwach, pozostawiając wzruszenie, które tkwi we mnie do dziś. I właśnie ta pamięć utrudnia mi pisanie, bo zupełnie nie mogę się zdobyć na dystans będący niezbędnym elementem krytycznego obiektywizmu. Dlatego ten tekst z założenia nie będzie nawet próbą obiektywizowania literackich dokonań Orkana, raczej subiektywnym wspomnieniem. Będzie zupełnie inny, niż pierwotnie zamierzałem napisać.

„W cichej, głębokiej kotlinie leży górska wioszczyna: Koninki. Przytuliły ją Gorce do piersi i objęły z dwóch stron ramionami. Dokoła spadającej wartko roztoki leśnej rozłożyły się osiedla mniejsze i większe po dwa, cztery i więcej zabudowań.

Grunta jałowe, kamieniste, podnoszą się z obydwu stron wody ku огоłoconym z lasów góróm” - tyle Orkan na początku „Komorników”.

Podążam teraz drogą, której niezmiennność zagwarantowana została zdumiewającą trwałością słowa pisanego. Droga wiedzie przez wieś, która utkwiała w literaturze, więc wieś nieśmiertelna. Stąd jest tylko 20 minut do Orkanówki. To już inne Koninki od tych, które znał pisarz. Nieopłacalne rolnictwo zastąpiła teraz turystyka. I migracja zarobkowa - głównie na Wyspy Brytyjskie i do Skandynawii. Nie ma już lichych chatynek z „Komorników”, są wystawne pensjonaty. Koninki to obecnie baza wypadowa i turystyczno-wypoczynkowa na całe Gorce.

Ale bardziej od tego, co widzę, obchodzi mnie to, co zapamiętałem z książki Orkana. Z tych wieczornych lektur przy darciu pierza. Czy

ten szacunek dla tego pisarza mógł wywrzeć na mnie literacki wpływ? W końcu postąpiłem prawie tak samo, jak on - w swym debiucie powieściowym „Niech żyje wolność” opisałem swój rodzinny Piórków, wieś położoną w Górach Świętokrzyskich. Miejsce, które znałem najlepiej. Szukałem sposobu, jak oddać język i wydarzenia - inspirację znalazłem w „Komornikach”. Nie znaczy to, że to najlepsza powieść Orkana - literacko cenniejsza jest dwutomowa „W roztokach”. Ważne są dla mnie także „Listy ze wsi”. Ale bez wątpienia „Komornicy” to moja powieść ulubiona w dorobku Dumaca z Poręby.

Rzadko się zdarza, żeby już pierwsza powieść pisarza była tak dojrzała, jak „Komornicy”. Może dzięki temu, że wcześniej były tomy poezji, jak również próby nowelistyczne. Niektórzy krytycy uważają „Komorników” za szkic do dwutomowej powieści „W roztokach”. Uważam to twierdzenie za krzywdzące - debiut powieściowy Orkana jest bytem samoistnym. Mało tego. W „Komornikach” Orkan wyprzedził Reymonta, jeżeli chodzi o pierwszeństwo opisanie losów wsi polskiej. Chyba Złydaszek to bez wątpienia pierwowzór Boryny z „Chłopów”, powinowactw jest wiele. Przyjrzyjmy się temu fragmentowi:

„Synów miał trzech. Baba mu pomarła na jadwencie, ino nie pamięta, którego roku... dość, że pomarła i nie ma jej... a szkoda! Boby się przydała w chałupie. Z konieczności musiał syna żenić i przyjął niepotrzebny kłopot, bo się synowa z młodszym Sobkiem nie zgadza”.

Epopeję chłopską dzieła Orkana nazwać nie możemy, to raczej szkic, szkic jednak samoistny. Można stwierdzić, że autor „Komorników” za swój właściwy wymiar uznawał opłotki swojej wsi i okolicy, poza które wychylać się nie miał potrzeby, jeżeli już - czynił to incydentalnie. W jego debiucie powieściowym widać to najwyraźniej. Wydaje się, że do sporego krytycznoliterackiego odzewu, jaki miała ta książka, przyczyniło się zastosowanie w narracji środków wyrazu bliskich reportażowi. Pozorny dystans autora, oszczędna literacka ornamentyka oraz dbałość o realia - łącznie z językiem - przyczyniły się do zwielokrotnienia sugestywności przekazu. Największym atutem powieści była chyba jednak jej aktualność społeczna. „Komorników” uznać należy za dokument bardzo ważne-

go dla wsi momentu. Przedstawia bowiem Orkan okres wiejskiej degrengolady przełomu XVIII i XIX wieku. Obecnie rzadko wspomina się o zastraszającej nędzy panującej wtedy na polskiej wsi, bez względu na to, pod jakim była zaborem. Nie mówi się o częstych przypadkach śmierci głodowej.

Nowe realia sprawiały, że dawna wspólnota nie wytrzymała próby czasu, a zmiana stosunków ekonomicznych i metod gospodarowania narzucały nową mentalność. Uwidoczniło się wiejskie rozwarstwienie, rozluźniające dotychczasową spistość. Zaborcy wbijali ekonomiczny klin między gromadę, doprowadzili do skruszenia włościańskiej solidarności, sprowadzili wzajemną nieufność i zawiść.

„Komornicy” to książka o chłopskiej biedzie - jednak na przekór swej treści, aż bucha optymizmem krzepy chłopskiej. Józkowie i inni wyruszyli do Pesztu, wyruszają teraz na Wyspy Brytyjskie i do Skandynawii, żeby poprawić swój los. Jest w tej nędzy jakaś nadzieja, cały czas odczuwana przez czytelnika. Może kryje się w budowie zdań, w jedrności języka. W przypadku Orkana podziw może budzić wielka dyscyplina słowa. Zwłaszcza, że nie chodzi przecież o kogoś zasiedziałego w pisarstwie, ale o literackiego *homo novus*. Świadczy to o sporej skali talentu autora oraz jego dużej intuicji twórczej. Dowodem niech będzie fakt, że brak formalnych ornamentów wcale nie zubaża sugestywności przekazu, ale wręcz go pogłębia. Zadziwia także swoisty obiektywizm narracyjny, trzymanie emocji na uwięzi, odcedzanie wszelkich nieistotności. Takie zabiegi zbliżają powieść Orkana do najlepszych partii prozy Emila Zoli. Z pewnością zupełnie nie przystaje to do młodopolskiej manieri literackiej, z którą krytykom zdarza się łączyć twórczość Orkana. Pisarz jawi się jako przypadkowy obserwator, który opowiadając o widzianych przypadkach, niczemu się nie dziwi i zachowuje do wszystkiego dystans. Czytelnik i tak czuje, że to tylko obiektywizm pozorowany - nie ma się wątpliwości, po czyjej pisarz stoi stronie. I nie ma znaczenia, czy owa formalna i emocjonalna wstrzemięźliwość była świadomym założeniem, czy po prostu intuicją. Orkan nie idealizuje wsi. Wbrew powszechnej ówczesnej modzie brak u niego patetycznych opisów pejzażu i zwyczajów, nie ma filozoficznych draperii. Co prawda znaleźć

można fragmenty poświęcone opisom przyrody wsi, ale ich rozmiar ograniczono do koniecznego minimum. Wychodzi na to, że dla Orkana w „Komornikach” znacznie ciekawszy był pejzaż ludzki.

O literackim talencie Orkana oraz darze obserwacji świadczą także wspaniałe portrety psychologiczne. Jego proza to targowisko charakterów, jarmark ludzkich natur, odpust szlachetności i podłości, mądrości i głupoty. A wszystkie te atrybuty występują obok siebie na równych prawach. Wszyscy bohaterowie oceniani są przez wiejską społeczność, która na kształt antycznego chóru stanowi niezbędny element realnego spektaklu. Bez niej każdy z bohaterów byłby jedynie statystą. Wiejska społeczność potępia, współczuje, rozgryza i osądza.

Poznajemy gromadę ludzi, a w niej jednostki, na różnych stojących planach. Mimo że to tylko szkic, żadna z postaci nie jest obrysowana jedynie frazesem, każda zdaje się przemyślana. Czytelnik podczas lektury jest oburzony, współczujący i przygnębiony, a nawet zaciska pięści. Chciałby wspomóc Margoškę i dać nauczkę Chybie Złydaszkowi.

Orkan łowił pierwowzory do swej powieści, spacerując przez wieś Koninki, które teraz właśnie przemierzam. Rozmyślam o Chybowym traczcu. Toż ja także mam takie „traczowe” opowiadanie w tomie „Niech żyje wolność”, nazywa się „Niebo, krew i wino”. Tyle że u mnie to bardziej struktura zamknięta - opowiadanie, które jest autonomiczne względem reszty rozdziałów-opowiadań, może być czytane oddzielnie. Kiedy je pisałem, w głowie miałem „traczową” historię Orkana. U mnie takim Chybą Zładyszkim jest lokalny biznesmen o ksywie Jezusek, dwulicowy baka, który z czasem został wójtem. Chybowie Złydaszki rodzili się także na wsi świętokrzyskiej.

Interesujący są także bohaterowie dalszego planu. Na przykład Błażek.

„Prusak się zbroi - ciągnął Błażek - Francuz gotowy, ino czeka. Italjanin też pudzie, bo jakże? Skoro zaczną, to wszyscy razem” - takie przemyslenia snuje w tartaku. Czyż nie pobrzmiwa w tym późniejsze zdanie z „Wesela” - „Chińczyki trzymają się mocno”?

Chłopi mówią z chłopska, z góralska. I tu tkwi ciągle moc tej prozy - w dialogu, w samej

opowieści. Orkan odważył się pisać gwara, bez niego nie byłoby „Księstwo”, czy mojego cyklu „Księstwo”, zwłaszcza trzech pierwszych tomów „Chmurolap”, „Niech żyje wolność”, „Szczyryk”, nie byłoby Wincentego Burka, Mariana Pilota i Józefa Ozgi-Michalskiego. W czasach, kiedy gwarą ulega gwałtownemu zanikowi, a w twórczości literackiej napotykamy jedynie jej szczątki, gwarą Orkana objawia się w tym pełniejszej krasie swojej słowotwórczej, składniowej i frazeologicznej pomysłowości.

Kiedy po latach przeczytałem „Komorników”, zrozumiałem, że to może być odpowiedni język na oddanie tego, co chciałem wyrazić. Pisząc „Księstwo. Trylogię młodzieńczą”, obawiałem się jednak, że partie, w których przytaczam wiejską mowę (raczej nie jest to żadna gwarą), najszybciej się zestarzeją. Był to jednak zabieg szczęśliwy. „Wiejskie” dialogi dobrze zabrzmiały w filmie „Księstwo” (2011), ekranizacji mojego debiutu, której dokonał piewca prowincji, Andrzej Barański. Dobrze brzmiały w wydanych w 2015 roku audiobookach (czyta Marcin Popczyński), w przygotowywanej przez Radio Kielce adaptacji radiowej, która zostanie wyemitowana w drugiej połowie 2015 roku.

Robiono pisarzowi zarzut, że odmalował wieś zbyt czarnymi barwami. Ale tak pisać mogli chyba tylko ci, którzy tej wsi zupełnie nie znali. To nie była młodopolska chłopomania, a życie w całej jego nędzy. Powieściopisarz taki jak Orkan był nie tylko reporterem opisującym stan chwili bieżącej - potrafił spomiędzy zdarzeń wybrać fakty najbardziej charakterystyczne i uwidatnić niezmiennie cechy odtwarzanych zjawisk, odrzucając cechy drugorzędne, nie wywodzące się z przyczyn wewnętrznych, lecz wywołane przez nacisk zewnętrzny. Minęło sto lat i kiedy ja opisałem swój Piórków, także podniosły się głosy, że przesadziłem, przerysowując postacie i konflikty. Moja książka nie podobala się zwłaszcza lokalnym politykom. Zapraszałem ich, żeby przyjechali na chwilę pod jedyny sklep monopolowy we wsi i zobaczyli tę całą nędzę, ale nie chcieli. Warszawscy krytycy też mi nie dowierzali, woleli kleić w swych gabinetach recenzynki o moim czarnowidztwie.

Idę koło kapliczki, która ponoć zatrzymała kiedyś epidemię cholery. Mija mnie grupka kolarzy. Koninki to obecnie jeden z najbardziej znanych ośrodków kolarskich w Polsce. Na stokach Toboło-

wa i Tobończyka znajduje się kilka tras zjazdowych dla kolarzy górskich, trenujących zjazd na szybkość.

Wiatr kastruje drzewa z resztek liści. Porudział Turbacz, wbijający się klinem w rzeczną dolinkę.

„- E, tak ta, nie najgorszy... Jeździliśmy pod Tróbach, ku samemu wierchu. Droga zła, niech Bóg broni!...” - przypomina mi się z powieści Orkana, kiedy spoglądałem ku szczytowi góry, która obecnie nazywa się Turbacz. Czy pisarz wchodził na jej szczyt, by spoglądać zeń na Koninki? Czy to tam obmyślał swoją powieść? Nie jest to książka wymyślona za biurkiem. Ta książka sama się Orkanowi napisała. Podobnie było z „Listami ze wsi”, z „Drogą Czwartaków”. Nie chciały się Orkanowi pisać dramaty. Nie chciała się pisać „Czantoria”, powieść konkursowa. Od razu widać, co pisarz widział na własne oczy, co zasłyszał, a co próbował zmyślić. Mam podobną wadę. Interesuje mnie tylko życie prawdziwe w różnych jego odsłonach. Zmyślanie jakoś nie bardzo mi wychodzi. I z tego jeszcze powodu Orkan jest mi bliski.

Na przykładzie „Komorników” mogliśmy zobaczyć, jaka siła drzemie w chłopach polskich, przywartych do swych zagonów. Obecnie powieść zdaje się nieco anachroniczna w formie, ale jej wpływ na narodziny nurtu chłopskiego w polskiej literaturze trudno przecenić. Dyskusja o twórczości Orkana i jej wpływie na współczesnych autorów nie jest łatwa, w dodatku ta twórczość chłopska zupełnie zanika, tak jak przestaje powoli istnieć chłopstwo jako warstwa społeczna. Wolę pisać o wpływie Orkana na moje własne pisanie, bo tutaj jestem tego pewien. Planowałem początkowo napisać o wpływie Orkana na poezję Józefa Ozgi-Michalskiego, na prozę Stanisława Piętaka czy nawet dramaty Edwarda Redlińskiego. Ale pogrzebałem w pamięci i stwierdziłem, że wolę złożyć hołd „Komornikom”, bo od nich zaczęło się moje własne pisanie. Oczywiście, po „Komornikach” przyszedł czas na inne lektury autorstwa Dumaca z Poręby. I chociaż z czasem dostrzegłem w tej twórczości pewne niespełnienie, ale na pewno Orkan pozostanie moim mistrzem. W 2012 roku otrzymałem nagrodę jego imienia - za cykl „Księstwo”, który odradzał nurt chłopski w literaturze. Odbierając nagrodę z rąk Tadeusza Skoczka, myślałem o swojej

matce niby jak o Margoŝce, której Józek wyruszył w świat za pracą. Tamta sprzedała ostatnie kozy, a moja matka wyprzedawała krowa po krowie, żeby było na moje studia - najpierw prawnicze, a potem dziennikarskie. Nie skończyłem ani jednego, ani drugiego, dyplom otrzymałem dopiero w Krakowskiej Szkole Scenariuszowej. Kiedy wyruszałem z domu za lepszym losem, matka żegnała mnie jak Margoŝka - z lękiem, ale i nadzieją. Jej los był podobny - nie doczekała mojego sukcesu ani wnuka, zmarła na raka, w nędzy, nękana przez komorników. Kiedy odwiedzam jej grób, wspominam te wieczory z darcie pierza i czytaniem książki Orkana.

Zbigniew Masternak

Maria Makarska

Podążać za życiem...

Alina Jahołkowska - poetka, animatorka kultury, założycielka Stowarzyszenia Edukacyjnego „Salon Literacki”, nauczycielka języka polskiego, członek Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, opublikowała szósty już tomik poetycki pt. „W świecie oczekiwań i prawdy”, Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2015. Na skrzydełkach obwoluty tej niezwykle pięknie i starannie wydanej przez Polihymnię książki poetyckiej, zamieszczona jest bogata nota biograficzna autorki, uwzględniająca szczegółowo jej dorobek zawodowy i literacki.

Alina Jahołkowska swoją poezję zaczęła publikować późno, po zakończeniu długoletniej pracy pedagogicznej nauczyciela polonisty. Wiadomo, że poetą się jest, a nie bywa, bo jest to kwestia myślenia, odczuwania i wrażliwości człowieka. Tak też było i w przypadku Aliny Jahołkowskiej. Nosila w swojej świadomości poezję od zawsze, odkąd pamięta. To była jej wrażliwość, czułość, emocje na otaczającą ją rzeczywistość. To był jej cały świat wewnętrzny. Koncentracja, bezgraniczne oddanie pracy pedagogicznej w Zespole Szkół Ekonomicznych im. A. J. Vetterów w Lublinie definitywnie i skutecznie odsuwały na dalszy plan jej

zmaganie się z wierszem. Kiedy już wreszcie mogła szczerze sobie powiedzieć - dość pracy dydaktycznej, wtedy popłynęły obficie wiersze.

Alina Jahołkowska, jako jedna z wielu poetek Lublina zaczęła publikować i wydawać tomik za tomikiem. I tak w przeciągu krótkiego czasu uzbierał się znaczny dorobek poetycki i literacki. Czytelnicy w dużej mierze znają już jej wiele wierszy, choćby z takich tomików jak: „Przekroczyć granicę zwątpienia” (Lublin 2003), „Podążać za miłością” (Lublin 2004), „Uciec od samotności” (Lublin 2006), „Lustro duszy” (Lublin 2011), „To jeszcze Twój czas” (Lublin 2013).

We wszystkie swoje wiersze Alina Jahołkowska wkłada duży wysiłek twórczy, a to dlatego, że ciągle szuka adekwatnych odpowiedzi na odpowiednie pytanie egzystencjalne. Te pytania nurtują każdego z nas, bo są uniwersalne i ponadczasowe. Co jest sensem naszego życia? I to jest cała strategia poetycka autorki. Mówi w swoich wierszach o własnym życiu, bez silenia się na intelektualne metafory, bez zbędnej symboliki, bez patosu, bez dreszczu metafizycznego. Mówi do każdego czytelnika zwyczajnie i po prostu, bo tak najlepiej każdy z nas rozumie i odbiera. Tak też jest w kolejnej książce poetyckiej „W świecie oczekiwań i prawdy”. Bohater liryczny utożsamiony z autorką deklaruje: *Każdy człowiek odnajduje siebie w życiu/ (...) / Jeszcze wszystko przed nami*. To tak jakby sugerowała - postaw na jednej szali swoją rzeczywistość, a na drugiej - własne oczekiwania. Zastanów się, co przeważa. Może będziesz musiał tkać swoje życie na nowo? *Nerwowo chodzisz/ na pasku lęku/ coraz krótszym/ niepewność osacza/ twoją świadomość/ (...) / Kobieto - obudź się z leż-targu/ uwolnij od oczekiwań/ innych ludzi*.

Narracyjność wierszy autorki układa się w jeden tematyczny cykl. Upozorowany dialog z odbiorcą rozpoczęty już w pierwszym tomiku nie kończy się, ale trwa nadal. Trzeba oswoić własne życie, pokonać przerażenie („Przekroczyć granicę zwątpienia”). Może trzeba dojść do granicy wytrzymałości, aby tę graniczność przekroczyć („Uciec od samotności”), a może trzeba w swoim własnym świecie znaleźć wewnętrzny rytm i kompromisową niezależność („Podążać za miłością”) ? To sugestie zawarte w poezji Aliny Jahołkowskiej, bardzo trafne i wyciszające nasze emocje.

*pozostaw w życiu
choć część siebie
ocal swą niezależność
sekretność własnego ja (...)*

Ewa Hadrian w swoim posłowie „Ze sztambucha kobiety spełnionej” do tomiku wierszy Aliny Jahołkowskiej „W świecie oczekiwań i prawdy” napisała: (...) *Gdy spojrzymy do tomiku Aliny Jahołkowskiej skonstatujemy, że wiersze tu zamieszczone są swoistą formą zapisków sztambuchowych, są to bowiem wiersze o naturze refleksyjnej, których powstanie wiąże się z chęcią zatrzymania chwili ulotnej.* (...) Alina Jahołkowska opisała w swoim sztambuchu poetyckim to, co najpiękniejsze - miłość (...).

Cała dotychczasowa twórczość poetki Aliny Jahołkowskiej to dziennik liryczny poetki, w którym próbuje odpowiedzieć, jaka jest jej projekcja wyobrażenia miłości, tęsknoty, spełnienia, ale też, czym jest dla niej rozpacz, nadzieja, zwątpienie. To jest psychologia, ale i głęboka filozofia. Poetka sugeruje, że życie ma wówczas sens, jeżeli mamy to szczęście, że przy naszym boku znajdzie się drugi życzliwy nam człowiek. Ona ma swojego Odysa, który jest adresatem wszystkich jej najczulszych słów.

*(...) To w szczęśliwym małżeństwie
jak ze źródła czerpiesz
siły wiecznej młodości
Miłość sptywa w twoje życie
w promieniach słońca bo
w oczach wiernego Odysa
wydajesz się być piękna i
kochana - jak Penelopa*

Poetka egzaltowanie apoteozuje miłość, bo to uczucie jest w życiu najważniejsze i winno stać, jak twierdzi, na czele hierarchii wszelkich wartości. *Potęgi poezji godna to miłość/ co ciało przenika dreszczem rozkoszy/ i rozedrganych pożądań płomieniem (...).*

Tak autorka buduje własny świat, tworząc emocjonalne, a często bardzo intymne obrazy miłości. O miłości pisali już wszyscy poeci na przestrzeni wieków, tu już tylko krok od banału, ale

Alina Jahołkowska chce mówić własnym głosem, szukać własnego stylu i własnej formy wyrazu, aby oddać wszystkie odcienie tego uczucia. Stąd chłonie i na gorąco konotuje przeżyte, zaobserwowane i zapamiętane obrazy i wrażenia.

*Lęk przed samotnością
nie pozwala ci odejść (...)
Uwolnij
tłumione latami
potrzeby i marzenia (...)
cofniesz niedobry czas
gdy uwierzysz w to co najpiękniejsze (...)
w spełnionych
odśtonach
nowego losu*

Następnym obiektem miłości Aliny Jahołkowskiej jest pejzaż i przyroda. To w obcowaniu z przyrodą autorka nabiera dystansu do własnego życia, wycisza się emocjonalnie, odpoczywa psychicznie. Pejzaż jak kołaż urozmaica jej poezję, rozbudza wrażliwość autorki, nadaje treści i formie jej utworów plastyczności, sensualności i nastrojowości. Stąd w jej książkach jest wiele wierszy opisujących przyrodę.

*Dzień nachylał się do zmierzchu
Nagle wiatr
obezwładnił ciszę (...)
Zwiewnym rytmem
rozniecił srebrnoszare
liście drzew (...)
spokój i uroda lata (...)
Pozostań choć na chwilę (...)
w ciszy milczenia
odnajdziesz siebie (...)*

Duża wrażliwość Aliny Jahołkowskiej, czułość w stosunku do ludzi, empatia to główne wyznaczniki jej wierszy. To porządkuje jej postrzeganie świata, układa symetryczną hierarchię wartości, pozwala konstruować własny kod porozumienia i komunikacji z odbiorcą. Posługuje się pięknym, plastycznym językiem. Szuka własnej formy wypowiedzi i własnej poetyki. Poprzez wiersz chce czytelnikowi pokazać swój „teatr wnętrza” i oddać swój „spektakl uczuć”. Alina Jahołkowska nie tyl-

ko „podąża za miłością”, ona przede wszystkim „podąża za życiem”. Wykreowana przez nią bohaterka jej wierszy to nie bierny i zapatrzone łzawo w rzeczywistość obserwator, to kobieta dojrzała, doświadczona życiowo, niezależna, umocowana towarzysko, która ma swój subiektywny świat i wie, czego może oczekiwać od ludzi. Boleśnie świadoma i czuła na wszystkie etapy własnego życia. Alina Jahołkowska znalazła już swoją strategię życia i postępowania, od uwierającej ją rzeczywistości świata potrafi uciec i schronić się w swoim wierszu.

*„Bo ja od życia dużo nie wymagam”
i wystarczy mi
uroda świata
sto lat w zdrowiu
szczęściu i miłości
kochająca rodzina
niezawodni przyjaciele
wena twórcza
przychylność losu
by jak dobre wino
dojrzewać z biegiem lat.*

Maria Makarska

Alina Jahołkowska

Dotyk miłości

Wzruszają mnie bardzo
twoje zmarszczki
zachwycają dojrzałą kobiecością.
To w szczęśliwym małżeństwie
jak ze źródła czerpiesz
siły wiecznej młodości
Miłość spływa w twoje życie
w promieniach słońca bo
w oczach wiernego Odysa
wydajesz się być piękna i
kochana - jak Penelopa!

Magia miłości

Pragnę być piękna
dla mojego mężczyzny
wyrzeźbionego jak
mistrzowskiemu dłutem.
Jego smagłe jędrne ciało
wyzwała moją namiętność
a mgiełka zmysłowego
zapachu perfum
oswaja pożądaniem
w jego oczach
skrzących namiętnością
czuję się piękna
jedyna
niepowtarzalna
bo mój mężczyzna
pragnie mnie
jak nikogo innego na świecie

XXX

Ze słów rzucanych na wiatr
zerwanych pajęczyn przysięgi
mógłby powstać niejeden
cielesny obraz mężczyzny

W potrzasku zdarzeń

Nie można
zagubić się w życiu
w potrzasku złych emocji
niepotrzebnych słów
które echo niesie
siwym pochyleniem czasu.
Rozjątrzone myśli
nad którymi
nie panujemy
wrócą jak bumerang
wyrzutem sumienia
zranią nas samych
bo nie cofniemy
słów wypowiedzianych
w niezatrzymanych
kadrach zdarzeń.

Wiersze z tomu „W świecie oczekiwań i prawdy”, Polihymnia, Lublin 2015, ss. 64.

Za jakim parawanem...

Za jakim parawanem
chciałabyś ukryć się
w szpitalnej przestrzeni
pozostać anonimowa
w swoim cierpieniu
odgrodzić się nim od
świata niepokoju
czy parawan
przed twoim łóżkiem
to ucieczka przed strachem
bólą samotnością.
a może chciałabyś
aby twój parawan
wyhaftowany był
z nadziei na
odmianę losu
zanim postawią
przed twoim łóżkiem
parawan wyzwolonego odejścia
na drugą stronę Styksu.

Miej serce dla siebie

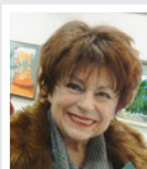
Jeszcze nie jest
za późno
na pogłębioną refleksję
na rachunek sumienia
na wyjście z pułapki
wymagań wobec siebie
i oczekiwań innych
na poukładanie wielu
ważnych spraw
na przejście granicy
zdrowego rozsądku
w wyborze wartości
podaruj sobie czas
to jedyny lek na
wypalenie fizyczne i duchowe
zaufaj mądrości mnicha
Bernarda z Clairvaux
„aby swe człowieczeństwo
wypełnić i określić,
musisz mieć serce
nie tylko dla wszystkich...
również dla samego siebie”.

Pułapka czasu

Siwa zgrabiona
Staruszka
z wyblakłymi
załęknionymi oczami
z twarzą pomarszczoną
bruzdami zmarszczek
z pomarszczoną skórą
wychudzonych rąk.
Rozległy zawał
trzyma w kleszczach
ledwo tłące się życie.
Cierpienie przyjmuje
z pokorą i wiarą że
na taki los zasłużyła.
Piętno czasu
zgasiło jasność życia
zniszczyło jej urodę
wiarę w siebie
Los zatrzaskał ją
w pułapce samotności
cierpieniu Jezusa na krzyżu
z zastygłymi słowami:
„Boże, mój Boże
Czemuś mnie opuścił”.

*Wiersze z tomu „To jeszcze nie twój czas”,
Polhymnia, Lublin 2015, ss. 103.*

Alina Jahołkowska - poetka,
inicjatorka życia kulturalnego,
założycielka Stowarzyszenia
Edukacyjnego „Salon Literac-
ki”. Członek Zarządu Lubelskie-
go Oddziału Związku Literatów



Polskich od roku 2012. Urodziła się w Chełmie 19 lipca 1944 roku. Absolwentka Liceum Pedagogicznego w Chełmie (1957-1962). Magister filologii polskiej UMCS w Lublinie (1962-1967). W latach 2000-2002 polonistka w Prywatnym LO im. K. K. Baczyńskiego w Lublinie oraz Prywatnym LO im. ks. Gostyńskiego w Lublinie. Autorka sześciu tomików poetyckich.

Stanisław Koszewski


 „Idę ku ciszy”


Miłym zaskoczeniem dla mnie jest kolejny tomik poezji Stanisława Rogali *Idę ku ciszy*. Już na samym początku moją uwagę zwrócił wspaniały wiersz bez tytułu:

*mówią i mówią
a nikt nie słyszy*

*słucham i słucham
a nikt nie mówi...*

Wiersz biały, w nowym stylu, a także pięknie sformatowany, zawiera wszystkie pierwiastki prawdziwej poezji. Jest w nim równomiernie rozłożona stopa rytmiczna i fraza, które tworzą rytm melodii. Jeżeli do tego dodamy wartości filozoficzne, społeczne (stosunki międzyludzkie), poznawcze i kulturowe, otrzymamy kompendium wiedzy o otaczającym nas realnym świecie, który nie kończy się za rogatkami.

Autor dostrzega niedoskonałości tego świata i ostrzega przed niebezpieczeństwami dalszej egzystencji, która wymaga korekty. Jego zdaniem, najtrafniejsze pomysły nikną w dźwiękochłonnych barierach ludzkich niegodziwości, bądź pychy i bylejakości w pracy na rzecz społeczeństwa.

Droga, którą kroczy myśl poety, nie jest podzielona na etapy, jej wartość jest niezmienna, można nią kroczyć, bo jest godna wysiłku, nawet wówczas gdy za horyzontem pustka.

W podobnym stylu, ale pełnym radości, jest wiersz *Przebudzenie*. Autor wyraża w nim radość z harmonii panującej w rodzinie, gdy każde przebudzenie, każdy poranek nie zakłóca domowego ogniska. Pogląd ten odnosi także do państw, do całych narodów ujętych pokoleniowo, które żyjąc w zgodzie, gwarantują spokój i szczęście o każdym poranku:

*...wstajesz i wiesz...
...ptaki powróciły
wnuki zaszczebiały
psy się rozszczękały...
Hosanna*

Na szczególną uwagę zasługuje wiersz bez tytułu dedykowany *Mojej...*, nietrudno dostrzec w nim uzewnętrznienia doznań poety w życiu rodzinnym. Autor z niezwykłą szczerością kreśli blaski i cienie życia rodzinnego, w szczególności obraz kobiety, którą darzy małżeńską miłością, której złożył ślubowanie dożgonnej wierności:

*Kobieta może wszystko
dać początek i koniec*

*radość i smutek
pokój i piekło...*

*...nasyć jadem miłości
duchem pokory*

Tę prawdę należy znać i szanować. Autor nie kryje trudów pożycia małżeńskiego. Własnym doświadczeniem dokumentuje, że nie należy działać impulsywnie. Dostrzega potrzebę wyrozumiałości i rozwagi, wsłuchiwanie się w argumentację strony i umiejętność przyznawania racji, dostrzegania własnych błędów, a nade wszystko wybaczenia, skruchy, porozumienia i budowania zrębów zgody. Tylko tym sposobem można mieć gwarancję trwałości dwójga oddanych sobie i zdanych na siebie ludzi.

Mam nadzieję, że tych parę przykładów zachęci czytelników do zgłębienia nadzwyczaj wartościowej twórczości Stanisława Rogali.

Stanisław Koszewski

Stanisław Rogala. „Idę ku ciszy”, wyd. BCK I GENS Piekoszów 2014.

Stanisław Rogala

z tomu „Idę ku ciszy”

x x x

mówię i mówię
a nikt nie słyszy

słucham i słucham
a nikt nie mówi

patrzę i patrzę
a nic nie widzę

szukam i szukam -
znaleźć nie mogę

idę i idę -
droga bez końca

Przebudzenie

chwytasz oddech
otwierasz oczy
wstajesz i wiesz

przebudził się dzień
wzeszło słońce
kobieta przy tobie

ptaki powróciły
wnuki zaszczebiały
psy się rozszczękały

wszystko wokół ciebie
nastał cudny dzień
Hosanna

x x x

Mojej...

Kobieta może wszystko
dać początek i koniec

radość i smutek
pokój i piekło

nasycić jadem miłości
i duchem pokory

otworzyć świat
i pokutniczą celę

może dać siebie
i zabrać siebie

może być wszystkim

Wędrowcy

Wędrujemy w błękie dnia
i ciemnościach nocy
w szarym zmierzchu
i poświęcie gwiazd
spiekocie słońca
i deszczu z chmur
po górach i wądocach
poszukując
Doliny Przeznaczenia
i wierchołka wstąpienia

Sosna II

Zmęczony żebraczymi torbami
dotarłem do sosny,
która miała być celem mojej drogi.

Pierwsza odezwała się ona,
kiedy drętwiącymi rękami
znowu chciałem objąć świat,
zapytała:

Na chleb musisz zapracować
a czy przyniosłeś ziarno do siewu
A wodę do jego zroszenia?

Co jej było odpowiedzieć...

x x x

(los drzewa)

Ileż razy drzewo musi się pochylić,
żeby pokonać wiatr,
każdy podmuch,
każde uderzenie

Jak długo drży,
kiedy zbliża się ręka człowieka
- od której może zginąć...

Stanisław Rogala

Żale syna

Matkom,
które umarły na rękach syna

Gdybym nie miał rąk,
nie umarłabyś na nich.

Gdybym nie miał uszu
nie usłyszałbym Twego wołania.

Gdybym nie miał oczu,
nie widziałbym Cię w trumnie.

Gdybym nie miał głosu,
nie śpiewałbym pieśni żalu.

Gdybym nie miał myśli,
nie powracałbym do Ciebie.

Gdybym nie miał kolan,
nie klęczałbym przy Twoim grobie.

Gdybym nie miał serca,
nie łkałbym głośno.

Nie byłoby mnie tu,
byłbym z Tobą
i słuchał „Pieśni nad Pieśniami”.

*Stanisław Rogala. „Idę ku ciszy”, wyd. BCK I GENS
Piekoszów 2014.*

Wiersze z tomu „Trzy poematy”

W Małych Pieninach
ludzie zeszli z gór
zostawiając po stopach
jęzory śniegu.

Wiatr zepchnął ich domostwa
na łagodne stoki
i w głębokie doliny.

Bóg w Małych Pieninach
rosi czoła ludzi potem,

składa ich spracowane ręce
do modlitwy,
usta złoci słowami,
czyny życzliwością,
przyjaznym światłem
z wysokich Krzyży

Kobieta miała kamyk,
który morze wydobyło z dna.
Powinien opowiedzieć nam
stare bajki i legendy miłości,
te z łądów już znudziły.
Kamień szybko wysechł i
zapomniał słów.

Wspólnota Słowa

Nad wodą
ale nie nad Jordanem
rozlega się czyjś głos
ale nie księdza

Ptaka przerwał lot
by posłuchać
woda omija kamienie
by nie pluskać
zwierzęta przerwały przeżuwanie
by nie chrzęścić
trawa cichutko przebija się
spod śniegu

Człowiek przystanął
w swojej wędrówce
pełnej utrapienia
klęka na kolana
by połączyć się
we Wspólnocie Słowa

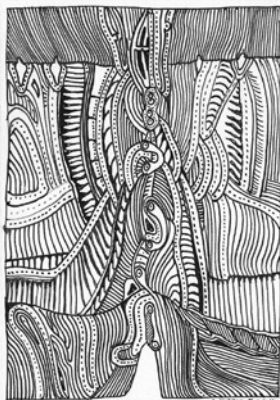
*Stanisław Rogala „Trzy poematy” Wyd. PATI Kinga
Potrzebowska, Warszawa 2013.*

Stanisław Józef Rogala, świętokrzyski poeta, prozaik i literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych, ur. 9 października 1948 w Zreczach Chałupczańskich na Kielecczyźnie, absolwent filologii polskiej UMCS w Lublinie, pracownik naukowy Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, jako poeta debiutował na łamach czasopisma „Sztandar Ludu” (1967). Pierwszą powieść *Modlitwa o grzech* wydał w 1977 r. W latach 1980-88 był dyrektorem Ośrodka Kultury Literackiej oraz organizatorem i prezesem Oddziału ZLP w Kielcach. W 1991 r. założył Agencję Wydawniczą GENS. Rok później rozpoczął współpracę z Polskim Radiem Kielce. W latach 1997-2006 współredagował „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki”. Na dorobek S. Rogali składa się ponad 60 publikacji książkowych m.in. siedem tomów poezji, osiem powieści, cztery zbiory opowiadań, dwa zbiory legend, siedem monografii i szkiców literackich, sześć przewodników turystycznych oraz kilka książek dla dzieci i młodzieży. Od kwietnia 2011 r. jest redaktorem prowadzącym ostrowieckiego kwartalnika „Nad Kamienną”.



Studia w Lublinie oraz wspomniany wyżej debiut poetycki pozostawiły trwałe ślady wyrażające się niekłamną sympatią S. Rogali do Lubelszczyzny. Jego bardzo częste wizyty w miastach naszego województwa oraz współpraca z wydawnictwami, m.in. z chełmską *Egerią*, *Lublinem*, *Akcentem* itp. Są tego najlepszym przykładem.

Stanisław Koszewski



rys. Robert Znajomski.

Ewa Magdziarz



II LO z Filмотeką Szkolną

Rekordowa liczba nagrodzonych na 13. Powiatowym Konkursie Filmowym

Organizatorem konkursu o zasięgu powiatowym „Inspiracje Filмотeką Szkolną” jest MDKF „Iluzjon”. Finał konkursu odbył się 17 kwietnia 2015 r. w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury. Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych po raz kolejny ufundowała dla laureatów nagrodę specjalną - akredytację na 16. Letnią Akademię Filmową w Zwierzyńcu.



Honorowy patronat objęli: starosta krasnostawski Janusz Szpak oraz wiceprzewodniczący Rady PF DKF Piotr Kotowski. Na uroczystości finałowej zostali powitani zaproszeni goście, m.in.: Janusz Szpak, Piotr Kotowski, Hanna Mazurkiewicz - burmistrz Krasnegostawu, Marek Nowosadzki - przewodniczący Rady Powiatu, Edward Kawęcki - przewodniczący Rady Miasta, Janusz Cięciera - skarbnik Powiatu, Aleksandra Stachula - naczelnik Wydziału Oświaty Starostwa Powiatowego, Dariusz Turzyniecki - prezes Zarządu Stowarzyszenia „Porozumienie Ziemi Krasnostawskiej”, Damian Kozyrski - dyrektor Krasnostawskiego Domu Kultury oraz przedstawiciele szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych.

W celu przygotowania do konkursu, w pracowni Filмотeki Szkolnej w II LO odbyły się dwa spotkania. 20 lutego warsztaty „Inspiracje Filмотeką Szkolną - analiza plakatów filmowych” pro-

wadziła Ewa Magdziarz. 27 lutego na warsztatach Piotr Kotowski analizował filmy z Filmoteki Szkolnej oraz projekty prac filmowych, fotograficznych i fotokastów. Uczestnicy XIII Powiatowego Konkursu Filmowego przygotowali prace w dwóch kategoriach: praca filmowa/fotograficzna/fotokast na temat „Inspiracje Filmoteką Szkolną” lub plakat do filmu z Filmoteki Szkolnej wybranego z zestawienia podanego przez organizatora. Prace oceniało jury pod przewodnictwem Piotra Kotowskiego oraz Tadeusza Kicińskiego - przewodniczącego Komisji Oświaty Urzędu Miasta. Zaproponowane kategorie spotkały się z dużym zainteresowaniem - uczniowie wykonali na konkurs 84 prace. Szkoły, z których nadesłano prace to: gimnazja z Małochwieja Dużego, Siennicy Nadolnej, Rejowca, oraz szkoły z Krasnegostawu: gimnazja nr 1, 3 i 4, I Liceum Ogólnokształcące, Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2, Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy oraz II Liceum Ogólnokształcące. Prace na konkurs nadesłano także z Koła Fotograficzno-Filmowego przy KDK oraz Niepublicznego Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego w Rejowcu.

W ramach pierwszej części uroczystości finałowej odbyły się warsztaty „Inspiracje Filmoteką Szkolną, cz. II” prowadzone przez lokalnego lidera Filmoteki Szkolnej i opiekuna MDKF-u Ewę Magdziarz oraz warsztaty „Analiza prac filmowych/fotograficznych/fotokastów - inspiracje Filmoteką Szkolną cz. II” prowadzone przez Piotra Kotowskiego - przewodniczącego jury. Ewa Magdziarz przedstawiła m.in. aktualności programu i działania lokalnego lidera, przykładowe projekty filmowe, a także plany współpracy ze szkołami z powiatu krasnostawskiego i Krasnegostawu dotyczące projektów filmowych. Po pokazie prac zgłoszonych na konkurs w kategorii film/fotografia/fotokast, Piotr Kotowski wypowiedział się na ich temat, zwracając uwagę na dojrzałość zgłoszonych projektów. W niektórych pracach chwalił koncepcję, autorską wypowiedź, w innych nietypową formę albo ciekawe połączenie muzyki i obrazu. Przewodniczący jury wskazał także najpoważniejsze błędy: brak pomysłu, streszczanie oryginału, brak równowagi między muzyką a obrazem.

W kategorii praca filmowa/fotograficzna/fotokast pierwszą nagrodę ex aequo zdobyli Ja-

kub Kopańko z Gimnazjum nr 1 w Krasnymstawie oraz gimnazjalistki Łucja Staszak i Weronika Chrzęszcz z Koła Fotograficzno-Filmowego przy KDK. Uczniowie szkół ponadgimnazjalnych, którzy zajęli pierwsze miejsce, to Oliwia Zajączkowska z II Liceum Ogólnokształcącego w Krasnymstawie oraz Maciej Kamieniak z III LO w Lublinie.

Finał konkursu zakończyło wystąpienie starosty Janusza Szpaka, który podkreślał szczególne zaangażowanie organizatorów, a także rolę edukacji filmowej w kształtowaniu młodego pokolenia oraz w promowaniu kultury lokalnej. Następnie głos zabrał przewodniczący Rady Miasta Edward Kawęcki, który przypominał początki edukacji filmowej w II LO i podkreślił rolę Piotra Kotowskiego w popularyzacji tej dziedziny sztuki w powiecie krasnostawskim. Dyrektor Anna Cichosz także podziękowała nauczycielom II LO za przygotowanie konkursu oraz instytucjom i osobom wspierającym to duże przedsięwzięcie edukacyjne. Dyrektor szkoły przedstawiła młodzieży szkół gimnazjalnych ofertę edukacyjną na rok szkolny 2015/16, przypominała także o realizacji przez Ewę Magdziarz autorskiego programu z edukacji filmowej.

Sponsorzy konkursu to: Polski Instytut Sztuki Filmowej, Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie, Urząd Miasta Krasnostaw, Polska Federacja Dyskusyjnych Klubów Filmowych, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Krasnostawski Dom Kultury, Stowarzyszenie „Porozumienie Ziemi Krasnostawskiej”, Wydawnictwo STENTOR, Wydawnictwo DANTE Oficyna, „Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza”, Czasopismo Artystyczne „Nestor”, sponsor indywidualny Marek Nowosadzki oraz Zakład Cukierniczo-Piekarniczy „KAWA”.

II LO w Krasnymstawie w ogólnopolskiej Filmowej Grze Miejskiej

Filmowa Gra Miejska, zorganizowana 29 maja przez II Liceum Ogólnokształcące im. C. K. Norwida w Krasnymstawie, to ogólnopolski projekt Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Filmoteki Szkolnej. W grze wzięło udział 101 uczestników z gimnazjów nr 1, nr 4 w Krasnymstawie, w Siennicy Nadolnej,



w Małochwieju Dużym i z II LO. Gimnazjalistom towarzyszyli opiekunowie: Grażyna Wojtyna, Teresa Berbeć, Bożena Mitura i Piotr Galiński. Wicedyrektor Anna Antyga powitała uczestników i opiekunów, natomiast Ewa Magdziarz zapoznała ich z zasadami gry. Uczniowie wcielili się w uczestników castingu do 5. edycji letniego projektu „Kręcmy film!” realizowanego przez naszą szkołę. Proponowane zadania miały sprawdzić predyspozycje uczniów do pracy w zespole filmowym. Od punktu do punktu kierowali ich uczniowie - organizatorzy wcielający się w prowadzących casting. Punkt pierwszy znajdował się w sali gimnastycznej II LO. Zadanie polegało na podaniu nazwisk reżyserów na podstawie plakatów filmowych - prac z XIII Powiatowego Konkursu Filmowego „Inspiracje Filmoteką Szkolną”. Kolejne zadanie wykonano w pracowni Filmoteki Szkolnej. Na podstawie fragmentów filmów z letnich projektów „Kręcmy film!” uczestnicy podawali ich tytuły. W Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie uczniowie - organizatorzy wcielający się w bohaterów filmu dyplomowego „Fotografia” uczyli uczestników tańców i pieśni żydowskich. Na rynku miejskim uczniowie mieli do wykonania dwa zadania związane 5. edycją letniego projektu „Kręcmy film!”. Po rozmowie z uczennicą odgrywającą rolę Buntowniczką - bohaterki filmu, który będzie realizowany w lipcu 2015 r., uczestnicy wypowiadali się w sondzie ulicznej na temat jej zachowania. Następnie opracowali fragment scenariusza dotyczący spotkania bohaterów filmowych, którzy uciekli z domu i wędrowali wspólnie przez kilka dni. Na stadionie Centrum Sportowo-Rekreacyjnego w Krasnymstawie uczestnicy wcielili się w bohaterów filmu „Męska sprawa” i wzięli udział w treningu piłki nożnej. Dwa ostatnie punkty znajdowały się w sali gimnastycznej II LO. Zadanie nr 7 polegało na wykonaniu projektów plakatów na

6. Festiwal Filmoteki Szkolnej. Ostatnie zadanie to casting. Przedstawiciele zespołów przebierali się za bohaterki i bohaterów filmu „Dziewczyny do wzięcia”, następnie uczestniczyli w zdjęciach próbnych i odgrywali scenkę z tego filmu. Do zadań w czasie Filmowej Gry Miejskiej wykorzystano następujące filmy: „Katedra” Tomasza Bagińskiego, „Exit” Grzegorza Koncewicz, „Dziewczyny do wzięcia” Janusza Kondratiuka, „Męska sprawa” Sławomira Fabickiego, film dyplomowy z WSF „Fotografia” Ewy Magdziarz oraz filmy z letnich projektów „Kręcmy film!” (1. edycja - „Jestem tu”, 2. edycja - „Królowna”, 3. edycja - „To, czego nie widać”, 4. edycja - „Koniunkcja”). Podczas wywiadów uczniowie z entuzjazmem wypowiadali się na temat Filmowej Gry Miejskiej i zapewniali, że wezmą udział w tej wspaniałej zabawie w następnym roku. Na zakończenie odbyła się loteria, na którą nagrody zostały przekazane przez Polski Instytut Sztuki Filmowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej, Nowe Horyzonty Edukacji Filmowej, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, Starostwo Powiatowe i Urząd Miasta Krasnystaw.

II LO na 6. Festiwalu Filmoteki Szkolnej

Festiwal Filmoteki Szkolnej odbył się 11 i 12 czerwca 2015 r. w Warszawie. Organizatorami byli Polski Instytut Sztuki Filmowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Warszawska Szkoła Filmowa. W festiwalu wzięło udział około 150 uczniów i 50 nauczycieli z całego kraju. II LO reprezentowali: Justyna Czuba, Urszula Pawlak, Jakub Pitucha oraz Ewa Magdziarz, opiekun Młodzieżowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego i lokalny lider Filmoteki Szkolnej.



Pierwszego dnia uczestnicy brali udział w warsztatach integracyjnych dla uczniów i nauczycieli. Uczestnicy dzielili się swoimi wrażeniami i refleksjami z całorocznej pracy, wymieniali się doświadczeniami. W tym dniu w kinie „Muranów” odbył się pokaz filmu „Przywódcy” Pawła Ferdka oraz debata. Moderatorami ożywionej dyskusji byli Kaja Klimek i Błażej Hrapkowicz. Na zakończenie pierwszego dnia odbyła się Hotelowa Gra Filmowa. Drugi dzień festiwalu rozpoczął się od uroczystego powitania w kinie „Elektronik” przez Annę Sienkiewicz-Rogowską – pełnomocnika dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, Macieja Ślesickiego – kanclerza Warszawskiej Szkoły Filmowej oraz Alicję Pacewicz – dyrektorkę Centrum Edukacji Obywatelskiej. W Warszawskiej Szkole Filmowej prezentowaliśmy nasze całoroczne projekty filmowe w formie ciekawych, kolorowych i bardzo pomysłowych plakatów. Następnie, po podziale uczestników, jedna grupa uczniów brała udział w World Cafe z ekspertami w WSF. Uczestnicy mogli porozmawiać m.in. z aktorami Magdaleną Czerwińską i Sebastianem Fabijańskim. Eksperci dzielili się uwagami dotyczącymi swojego zawodu, ale także odpowiadali na pytania uczniów, którzy zmagają się z wieloma problemami, realizując filmowe projekty. Druga grupa uczestników w tym czasie brała udział w warsztatach filmowych w kinie „Elektronik”, w czasie których reżyser Tomasz Wasilewski analizował filmy uczniów nadesłane na festiwal. Wiele ciepłych słów prowadzący powiedział na temat traileru „Koniunkcji” – filmu zrealizowanego przez II LO w czasie 4. edycji letniego projektu „Kręcmy film!”. Dla nauczycieli natomiast zorganizowano warsztaty „Wychowanie poprzez film”, w czasie których rozmawiano m.in. na temat psychoedukacji z wykorzystaniem filmu. Wszyscy zgodnie twierdzili, że festiwal jest doskonałą formą wymiany doświadczeń, które na pewno zainspirują do realizacji kolejnych projektów filmowych.

MDKF „Iluzjon” na I Festiwalu Dziękczynienia w Gdeszynie

I Festiwal Dziękczynienia Krasnostawsko-Gdeszyńskie „KRAŚNIAKI” poświęcony był błogosławionemu ks. Zygmuntowi Pisarskiemu, który



urodził się w Krasnymstawie w 1902 r., a zginął w Gdeszynie w 1943 r. Festiwal pod patronatem starosty krasnostawskiego odbył się 13-14 czerwca 2015 r. i był podziękowaniem za błogosławionego księdza, a jednocześnie okazją do zaprezentowania dorobku Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego. Każdy dzień festiwalu rozpoczynał się od mszy świętej i procesji do grobu błogosławionego Zygmunta Pisarskiego. W bogatym programie uroczystości znalazła się m.in. wystawa malarstwa Krystyny Mojskiej, występy zespołów muzycznych i kapel ludowych. Starostwo Powiatowe reprezentował sekretarz Wojciech Hryniewicz. Na zaproszenie współorganizatora Zbigniewa Atrasa w festiwalu wzięli udział także przedstawiciele II Liceum Ogólnokształcącego im. C. K. Norwida w Krasnymstawie, wicedyrektor Anna Antyga oraz uczniowie Justyna Czuba, Wiktoria Janeczko, Jakub Pitucha, a także Ewa Magdziarz. Spotkanie z filmami Młodzieżowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego odbyło się drugiego dnia Festiwalu Dziękczynienia. Ewa Magdziarz w formie prezentacji multimedialnej przedstawiła osiągnięcia „Iluzjonu”, następnie odbył się pokaz filmów: „Sen o Krasnymstawie”, „Królowna” i „To, czego nie widać”. Uczestnicy spotkania mogli obejrzeć także wystawę plakatów filmów zrealizowanych w czasie letnich projektów „Kręcmy film!” oraz kronikę MDKF-u. Widzowie otrzymali na pamiątkę płyty z filmami MDKF-u, natomiast Zbigniew Atras wręczył uczniom z II LO swoją książkę „Bajdy wie-rutne, czyli 12 legend na XII wieków Szczekarze-wa - Krasnegostawu”.

*Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”
lokalny lider Filmoteki Szkolnej*

Dominik Kleszko

Ryszard Smolak zwycięzcą XXI Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej



21 kwietnia 2015 roku w Sali Muzycznej Krasnostawskiego Domu Kultury miało miejsce rozstrzygnięcie XXI Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej na najlepszy zbiór poezji autorów zamieszkałych na terenie województwa lubelskiego.

Impreza rozpoczęła się od przedstawienia „Wierszy wybranych” - prezentacji audiowizualnej z Anną Kamieńską czytającą własne utwory. Wierszom towarzyszyła muzyka Philipa Glassa oraz fragmenty filmu „Koyaanisqatsi” Godfreya Reggio. Po niej osobistą refleksją na temat twórczości autorki podzielił się Stanisław Kliszcz - pomysłodawca i realizator prezentacji.

Oficjalną część wieczoru otworzyli dyrektorzy Miejskiej Biblioteki Publicznej - Małgorzata Antoniak i Krasnostawskiego Domu Kultury - Damian Kozyrski. Przywitani przybyłych gości i przedstawili pokrótce historię konkursu, podkreślając przy tym rolę jego admiratorów, a zarazem laureatów, krasnostawskich poetów Jana Henryka Cichosza i Mariusza Kargula.

Zanim nastąpiło ogłoszenie werdyktu, odbył się panel dyskusyjny pod tytułem „Po co komu poezja?”, którego moderatorem była dr Ewa Dunaj. Do powyższej kwestii starali się ustosunkować laureaci konkursu z lat poprzednich: Jan Henryk Cichosz, Marian Janusz Kawalko, Krzysztof Konopa i Paweł Zacharewicz. Uzyskaliśmy odpowiedzi m.in. na takie pytania jak: „kiedy dyskutanci odnaleźli w sobie dar poezji?”, „jakie zyski poeta czerpie z poezji (bardziej materialne czy duchowe)?” czy „jaką rolę odgrywa Internet w jej promowaniu?”. W głównej mierze rozmowa skupiła się wokół roli siły wyższej w procesie twórczym oraz na przywołaniu wspomnień panelistów dotyczących Anny Kamieńskiej.

Następnie jury w składzie: dr Ewa Dunaj (Wydział Humanistyczny UMCS), Adam Kulik (poeta, prozaik, twórca filmów dokumentalnych), Danuta Chwała (polonistka, pedagog) ogłosiło werdykt tegorocznego konkursu. Spośród 15 zgłoszonych tomików, główną nagrodę zdecydowało się przy-

znać Ryszardowi Smolakowi za zbiór „Ukrzyżowane pejzaże”, wydany przez wydawnictwo Norbertinum. W uzasadnieniu napisano: *Uznaliśmy, że w tym roku właśnie ten Poeta potrafił sugestywnie, odważnie i z wielką wrażliwością przedstawić ciężar ludzkiego życia w wymiarze egzystencjalnym, jak i transcendentnym. Gratulujemy Autorowi i Wydawnictwu.* Wyróżniono również tom zatytułowany „Zbiór krótkich opowiadań pisanych nocą”, autorstwa Zdzisława Toczyńskiego, wydany przez Wydawnictwo Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie oraz „Przed siatką”, autorstwa Artura Chlewińskiego, wydany przez Wydawnictwo Norbertinum w Lublinie.

Nieobecny tego dnia zwycięzca konkursu - Ryszard Smolak przesłał do organizatorów list, którego treść publikujemy poniżej: *Jest mi niezmiernie miło podziękować za znakomitą organizację konkursu. Anna Kamieńska to genialna poetka i cieszę się, że ta impreza upamiętnia Jej Imię. Nie odkryję niczego nowego stwierdzeniem, że szeroko rozumiana kultura znalazła właściwe miejsce w pięknym Krasnymstawie. Cieszy oczy, uszy a przede wszystkim duszę. Czuję się zaszczycony, że mogę przebywać w tak szacownym gronie, przynajmniej duchem. Moja dystrofia nie pozwala mi na przebywanie wśród Was fizycznie. Serdecznie dziękuję Wydawnictwu Norbertinum za sprawną i miłą współpracę przy tomiku, za zauważenie (ku mojemu pełnemu zadowoleniu) wydanych strof. Bardzo dziękuję Jury za docenienie mojej poezji. Ciepło pozdrawiam Uczestników Konkursu i wszystkich Państwa tutaj zgromadzonych.*

Nagrody laureatom i nominowanym wręczyli burmistrz Krasnegostawu Hanna Mazurkiewicz, dyrektor MBP Małgorzata Antoniak, przewodniczący Rady Miasta Krasnostaw Edward Kawęcki oraz dyrektor KDK Damian Kozyrski.

Istotnym punktem programu było wyrecytowanie przez Piotra Sanetrę z Wydawnictwa Norbertinum wybranych utworów tegorocznego zwycięzcy konkursu. Wysłuchaliśmy m.in. „Coś za coś” (gdzie za motto autorowi posłużył fragment wiersza Anny Kamieńskiej „Śmieszne”), „Zahoryzont” czy „Nic się nie stało”.

Na zakończenie, w krótkim przemówieniu, podziękowania organizatorom i uczestnikom konkursu złożyła pani burmistrz Hanna Mazurkiewicz.

Bohaterem ostatniej części wieczoru był Sławomir Tkaczyk i jego wystawa „W kolorach, światłach i cieniach”. Podczas wernisażu nie dało się jednak uciec od tematu poezji. W kuluarach, podziwiając malarski kunszt krasnostawskiego artysty, zebrani kontynuowali rozmowy na temat Anny Kamieńskiej, jak i kondycji współczesnej literatury.

Dominik Kleszko

Do tegorocznej XXI edycji Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej wpłynęło piętnaście tomików wierszy, wydanych w ośmiu wydawnictwach, których autorami są poeci województwa lubelskiego:

1. Lidia Jurkiewicz, *Pod niebem żrenicy*, Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin,
2. Zdzisław Toczyński, *Zbiór krótkich opowiadań pisanych nocą*, Wydawnictwo Wojewódzkiego Ośrodka Kultury, Lublin,
3. Edward Franciszek Cimek, *Jesienne głosy słyszę w dali*, Wydawnictwo POLIANNIA, Krasnystaw,
4. Adam Świć, *77 Limeryków*, Wydawnictwo Konfraternia „Kozirynek”, Radzyń Podlaski,
5. Dorota Chołody, *Nic takiego*, Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, Sandomierz,
6. Danuta Agnieszka Kurczewicz, *Żarówki gasną pod ziemią*, Wydawnictwo TAWA, Chełm,
7. Zofia Nowacka-Wilczek, *Czasobranie*, Wydawnictwo Drukarnia Liber Duo, Lublin,
8. Zofia Nowacka-Wilczek, *Limeryki*, Wydawnictwo Drukarnia Liber Duo, Lublin,
9. ks. Paweł Wojciech Maciąg, *Testament [Otwarty]*, Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin,
10. Anna Czarniecka, *Piękno w prostocie*, Wydawnictwo POLIANNIA, Krasnystaw,
11. Artur Chlewiński, *Przed siatką*, Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin,
12. Anna Fornal, *Tu i Tam*, Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin,
13. Teresa Syta, *Czar Roztocza. Lato, Jesień*, Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin,
14. Ryszard Smolak, *Ukrzyżowane pejzaże*, Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin,
15. ks. Jarosław P. Woźniak, *Droga. Rozważania drogi krzyżowej*, Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin.

Andrzej David Misiura

Święto kultury



Powiatowe Święto Działacza i Pracownika Kultury każdego roku odbywa się w innej gminie. Miejscem tegorocznej uroczystości było miasto Krasnystaw. Podczas niej tradycyjnie podsumowany został konkurs „Kultura 2015”, który odbył się pod patronatem marszałka województwa lubelskiego Sławomira Sosnowskiego. 15 maja na scenie Krasnostawskiego Domu Kultury uhonorowano: Edwarda Kycę z Małochwieja Małego, obchodzącego 50-lecie pracy twórczej, zespół śpiewaczy z tej samej miejscowości, świętujący 40-lecie działalności, oraz Dorotę Rybczyńską, dyrektorkę Gminnego Centrum Kultury w Siennicy Nadolnej, która otrzymała Medal Pamiątkowy Województwa Lubelskiego.

Uroczystość zainaugurował chór Krasnostawskiego Domu Kultury utworem „Krasnystaw, moje miasto”. Honory gospodarza pełnili starosta krasnostawski Janusz Szpak oraz burmistrz Krasnegostawu Hanna Mazurkiewicz. Obecni byli także m.in. wicemarszałek województwa lubelskiego Krzysztof Grabczuk, zastępca dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie Grzegorz Figiel i dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Lublinie Artur Sępoch.

Nagrody starosty otrzymali: Grażyna Skrzyńska - kierownik Biblioteki Publicznej Gminy Łopien-Górny, Mirosław Socha - emerytowany bibliotekarz Biblioteki Publicznej Gminy Łopien-Górny, Dorota Pawlas - bibliotekarka Biblioteki Publicznej Gminy Łopien-Górny Filia Wola Żulińska, Małgorzata Antoniak - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie.

Nagrody finansowe, ufundowane przez Zarząd Powiatu otrzymały: Elżbieta Patyk - dyrektor Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie oraz: Iwona Gruszczyńska - starszy kustosz, Dorota Korkosz - starszy kustosz, Jadwiga Pędzisz - kustosz, Joanna Radziszewska - starszy kustosz, Beata Zadrag - kustosz-instruktor, Anna Naklicka

- główna księgowa, Barbara Pieczykolan - pracownik gospodarczy.



fot. Paulina Antoniuk.

Podczas gali nagrody wręczyła również burmistrz Hanna Mazurkiewicz. Dyrektor Damian Kozyrski odebrał dyplom uznania za szczególne zaangażowanie i pasję w upowszechnianiu kultury w województwie lubelskim przyznany przez marszałka województwa lubelskiego. Pozostali nagrodzeni z Krasnostawskiego Domu Kultury: Alicja Pacyk - główna księgowa, Havhannes Aleksanjan - animator kultury, Marta Zorska-Swatowska - instruktor ds. rękodzieła i twórczości ludowej, Małgorzata Chudzik - pracownik gospodarczy, Waldeemar Chwil - instruktor ds. organizacyjnych, Zenon Frańczak - pracownik gospodarczy, Ewa Gwarda - pracownik gospodarczy, Agnieszka Kawęcka - referent ds. administracyjno-księgowych, Dominik Kleszko - instruktor ds. organizacyjnych, Stanisław Kliszcz - instruktor ds. teatru, Wojciech Machejus - kinooperator, Ryszard Maleszczyk - instruktor ds. historii, Jadwiga Nowacka - instruktor ds. plastyki, Agnieszka Wolanin - kierownik administracyjny.

Z Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie nagrodzeni zostali: dyrektor Małgorzata Antoniuk oraz pracownicy: Elżbieta Borzęcka, Barbara Majewska, Maria Bąk, Artur Borzęcki, Agnieszka Nawrocka, Monika Kulawczuk-Furmanek, Anna Sokół, Piotr Basiński i Halina Kulawczuk.

W kategorii „Animator kultury” pamiątkowe dyplomy i upominki wręczyli starosta Janusz Szpak i przewodniczący Rady Powiatu Marek Nowosadzki. Zwyciężył Zbigniew Atras, a nominacje otrzymali Józef Czugała i Ryszard Król. Z kolei w kategorii „Talent roku” wyróżniony został Karol Bojarczuk, a nominowane były Dominika Dąbrowska i Patrycja Stojańska.

W kategorii „Twórca kultury” zwyciężyła Władysława Panas-Marczewska, a nominacje otrzymali Maria Kielbasa, Magdalena Józewczuk-Dmitroca. Zespołem artystycznym roku zostały „Brzezinianki” spośród nominowanych zespołów: „Relaks”, „Łopieńczacy”, „Stryjowiacy”. Nagrodę w kategorii „Senior kultury” odebrał Jan Henryk Cichosz. Nominację otrzymały panie Czesława Seroka oraz Danuta Chwała.

Gali towarzyszyło dziewięć wystaw m.in. zbiór tomików poezji autorstwa jubilatą Jana Henryka Cichosza oraz wybór publikacji, w których



fot. Paulina Antoniuk.

pojawia się jego poezja, wystawa pt.: „Krasnostaw Stanisława Bojarczuka. Genius loci kresowego partykularza” autorstwa Dariusza Włodarczyka i śp. Mariusza Kargula, wystawa Młodzieżowego Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Iluzjon”, ekspozycje dokumentujące działania warsztatów i kół zainteresowań działających przy Krasnostawskim Domu Kultury, prace Stowarzyszenia Twórców Kultury „Paleta”, Stowarzyszenia Twórców Ludowych Chełmskiego Oddziału z siedzibą w Krasnymstawie oraz wystawa exlibrisów przygotowana przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie.

W części artystycznej wystąpili: chór KDK, kapela „Uroczysko”, kapela z Małochwieja, Patrycja Stojańska, Sekcja Rytmiczna Młodzieżowej Orkiestry Dętej KDK oraz zespoły taneczne: Face, Chaines, Adrisio i Logo Dance. Imprezę prowadzili Marta Zorska i Jacek Wojciechowski.

wg informacji starostwa
Andrzej David Misiura

Ewa Żydek

„Aby przeszłość miała przyszłość”, czyli o ratowaniu zabytków i pomników przyrody



Zabytki to świadkowie przeszłości, dzięki którym wiele możemy dowiedzieć się o historii naszego kraju. Nie jest więc sprawą obojętną, jaki jest nasz stosunek do nich. Kiedy o nie dbamy, stają się elementem ubogacającym krajobraz kulturalny regionu, ale też pokazują, że szanujemy historię naszych przodków i ich wkład w tworzenie dziedzictwa narodowego. Jednak kiedy pozwalamy, by popadały w zapomnienie i ruinę, stają się tylko reliktem przeszłości, który niejednokrotnie szpeci okolicę, ale nawet może stanowić zagrożenie. Dlatego ważne jest, aby promować działania mające na celu ich ochronę i renowację.

Historia i charakter fundacji

Fundacja Ratowania Zabytków i Pomników Przyrody powstała 7 listopada 1995 roku i jest organizacją pozarządową, której celem jest m.in. zwrócenie uwagi społeczeństwa, zarówno poszczególnych osób, jak i instytucji, na to, jak ważną kwestią jest ochrona zabytków oraz ratowanie tych, którym grozi ruina. Fundacja troszczy się także o pomniki przyrody, jako nie mniej ważne symbole przeszłości, prowadząc również działania z zakresu ekologii i poszanowania środowiska.

Konkretnymi działaniami podejmowanymi przez fundację w ostatnich latach jest chociażby zbieranie 1% podatku na rzecz kilkunastu obiektów zlokalizowanych w całej Polsce, udział w konferencjach i spotkaniach mających na celu propagowanie ochrony zabytków czy też doradztwo prawne i administracyjne w tym zakresie.

Choć siedziba fundacji znajduje się w Poznaniu, nie oznacza to, że jej działania ograniczają się tylko do Wielkopolski. Dzięki pomocy wolontariuszy udaje się działać praktycznie w całej Polsce, w czym pomagają profile poszczególnych województw na Facebooku.

Działania na Lubelszczyźnie

Pierwszym podjętym na terenie Lubelszczyzny projektem fundacji było wsparcie prac konserwatorskich kościoła pw. św. Jakuba Apostoła w Żółkiewce. W tej drewnianej świątyni znajdują się godne uwagi zabytki ruchome, w tym: cztery ołtarze boczne, figury świętych, stacje drogi krzyżowej oraz krzyże. Zarówno ich remont, jak i uświadomienie mieszkańcom, jakie cenne obiekty posiadają w swej miejscowości, jest sprawą ważną dla organizacji, gdyż pozwoli na dbanie o zabytki i, miejmy nadzieję, ochroni je przed ponownym zniszczeniem czy popadnięciem w niepamięć.

Ostatnią akcją, w którą fundacja bardzo chętnie się zaangażowała, było nagłośnienie sprawy wywłaszczenia tzw. dworku modrzewiowego w Kraśniku. Petycja stworzona przez zatroskanego o obiekt mieszkańca została udostępniona na naszym profilu, co przyczyniło się do wzrostu zainteresowania innych osób tą kwestią.

Oprócz tego prowadzony jest profil na Facebooku (Odchodzące zabytki Lubelszczyzny), na którym oprócz zdjęć poszczególnych obiektów, publikuje się także artykuły z lokalnej prasy podejmujące tematykę pokrewną z działaniami fundacji. Zabytki, o których pisano do tej pory to m.in. pałac Zamoyskich w Zamościu, ruiny zamku w Zawieprzycach, ruiny kościoła w Garbowie czy stara parowozownia w Chełmie. Wiele uwagi poświęcono także obiektom znajdującym się w Lublinie, stolicy województwa. Były to: słodownia Vetterów, kamienica przy ul. Archidiakońskiej 1 oraz pałac Sobieskich.

Choć celem fundacji jest skupianie się na zabytkach wymagających remontu, informuje się także o obiektach, które udało się odnowić, czy to za sprawą osób prywatnych, czy instytucji. Przedstawianie pozytywnych informacji korzystnie bowiem wpływa na motywację innych osób, którym mogło wydawać się, że przywrócenie dawnego blasku jakiegoś pałacu, zamku czy kościoła jest nieosiągalne.

Formy współpracy i pomocy

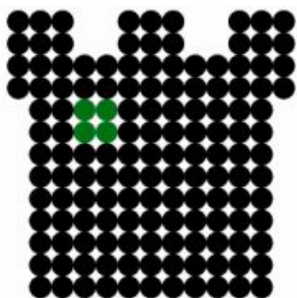
Aby fundacja miała prawo bytu, musi nie tylko sama podejmować działania, ale także liczyć na wsparcie z zewnątrz. Można pomóc na wiele sposobów. Oto niektóre z nich:

1. przekazanie darowizny lub 1% podatku (KRS 0000195764),
2. przedsiębiorcy mogą rozważyć dotację w ramach CIT,
3. działalność w charakterze wolontariusza,
4. współpraca w osobami odpowiedzialnymi za dany region, poprzez przysyłanie zdjęć zabytków i informacji o nich.

Dzięki stronie internetowej fundacji (<http://www.zabytki.org/>) każdy może dowiedzieć się więcej o zabytkach oraz ich ochronie, a to za sprawą publikowanych na niej aktów prawnych czy artykułów. Od jakiegoś czasu działa także zakładka „Czerwona lista”, dzięki której można zgłaszać szczególnie zagrożone obiekty i tym samym zwrócić uwagę fundacji, a także inwestorów czy ewentualnych kupców.

Wszystkich pasjonatów zabytków zachęcamy do kontaktu i wspólnego działania.

Ewa Żydek



**FUNDACJA RATOWANIA
ZABYTKÓW I POMNIKÓW PRZYRODY**

Elżbieta Petruk



poszukiwaniu autorytetu



Odkąd pamiętam miałam potrzebę autorytetu. Żałowałam, że nie wychowywałam się w obecności „wielkiego, mądrego człowieka” (a może byłam zbyt głupia, by go dostrzec?), żałowałam, że gdy rosłam, rozwijałam się, nie poznałam nikogo takiego. Myślałam sobie: „jakkż byłoby wspaniale iść na skróty, nie męczyć się, nie parzyć, nie wątpić - ot zapytać, posłuchać i zrzucić ciężar wątpliwości”. Od razu wyjaśnię, że nie szukałam autorytetów w sensie technokratycznym - istnienie ekspertów zdawało się oczywiste, dostępne i zupełnie pozbawione tajemnicy. Kompletnie nie interesował mnie autorytet, uczenie nazywając, deontyczny, z którym można spotkać się w zawodowym życiu, bo najczęściej wynikał on z zależności służbowych, czyli krótko mówiąc - z władzy. Utrata władzy, jakże często tożsama była z utratą autorytetu, który pryskał jak mydlana bańka. Nie takich autorytetów szukałam.

Życie - nic prostszego i nic bardziej skomplikowanego niż życie! To zagadka, łamigłówka, poletko uprawne, z wyraźnie widoczną w oddali granicą, a jednak bez granic! Czyż nie jest fascynujące, że przecież żyję, nie da się temu zaprzeczyć - żyję, z dnia na dzień, coś robię, a czegoś innego nie, podejmuję decyzję, idę tam, wracam stamtąd, zbliżam się do ludzi, od niektórych odchodzę, doświadczam świata i świat doświadcza mnie, więc żyję, czas biegnie i jedno się nie zmienia i nieustannie towarzyszy tej drodze pytanie: jak żyć? Przeżyłam ponad pół wieku i pytam: jak żyć? Czy to nie wstyd? Czy inni tak mają? Czy to normalne? Czy to logiczne? Pytania cisną się na usta. Poszukiwałam więc autorytetów, które mogłyby mi pomóc. Najczęściej szukałam w książkach. W ten sposób „poznałam” wielu ciekawych ludzi, od każdego z nich biorąc coś, lecz jednak nie wszystko, dla siebie. Pojęłam, że nie ma autorytetów powszechnych, czyli we wszystkich dziedzinach, to po pierwsze, a po drugie - nawet w tej jednej, której przedmiotem jest sposób życia i ży-

ciowe prawdy, nie ma uniwersum. W tym zakresie mieści się na przykład moralność, a przecież pojęcie autorytetu moralnego należy do najbardziej kontrowersyjnych.

W tych poszukiwaniach - jak sądzę dzisiaj - zrobiłam podstawowy błąd. Otóż wydawało mi się, że ten znawca, życiowy mędrzec jest gdzieś tam daleko, jest zapewne bardzo wykształcony, pisze mądre książki, albo robi mądre rzeczy, żyje w tzw. wielkim świecie nauki, kultury, albo czegoś tam jeszcze innego. Kiedyś byłam na spotkaniu autorskim w małym świecie, miejscowej bibliotece, z miejscową poetką i nagle mnie olśniło: ona wie, jak żyć! Ba, ona to robi! Zaczęłam rozglądać się wokół, blisko siebie i okazało się, że tutaj też leżą cegiełki, które można podjąć. Cegiełki, bo jednak dom trzeba zbudować samemu i nie da się na skróty. Wianek położony na fundamentach nie spełni tej roli.

Pisząc ten esej, zapytałam o autorytet swojego znajomego, który, notabene, sam jest dla mnie autorytetem w zakresie: wziąć się ze starością za bary i być za pan brat. W jego odpowiedzi: „Nie ma już dzisiaj autorytetów” - wyczułam żal, tęsknotę i jakby powątpiewanie w wartość dzisiejszych czasów. Myślę, że prawda leży gdzieś pośrodku i trzeba być czujnym, by nie dać się zwieść fałszywym autorytetom. Nie sądzę, by autorytety były potrzebne nam przez całe życie. Spełniają swoją rolę, gdy pozytywnie inspirują, mobilizują do samodzielnego myślenia, stymulują wyobraźnię, zapal, inicjatywę i wreszcie pozwalają znaleźć siłę, by zaufać samemu sobie.

Robię to zatem każdego dnia i końca nie patrzę, a po drodze dokonałam kolejnego odkrycia. Najbezpieczniejsze są nieznane mi osoby i nieżyjące już autorytety. Dlaczego? To proste - nie rozczarowują, nie zawodzą, nie zmieniają zdania.

Elżbieta Petruk

Henryk Radej



Na kije i kamienie

Sto lat temu już na dobre rozszalała się I wojna światowa. W zamiarach generałów miała być błyskawiczna, ale po kilku miesiącach zaległa w okopach i zamieniła się w kilkuletnią wojnę pozycyjną. Odeszło już z tego świata pokolenie pamiętające jej początek. Żyją jeszcze nieliczni świadkowie, którzy tylko przez mgłę dzieciństwa przywołują krwawe majaki najokrutniejszej wówczas z wojen w historii ludzkości. Ludzie tamtej epoki odeszli, wojny pozostały. Po dwudziestu latach od zakończenia pierwszej, przyszła kolejna - druga, jeszcze okrutniejsza. Widząc bestialstwo II wojny światowej i narodziny broni jądrowej, Albert Einstein doszedł do wniosku, że kolejny ogólnoświatowy konflikt doprowadzi do upadku cywilizacji: *Nie wiem, czym będzie się walczyć podczas III wojny światowej, ale następna wojna po niej będzie na kije i kamienie* - mówił.

Ktoś wydedukował, że w całej historii ludzkości tylko nieco ponad 20 lat zaznała ona spokoju. Innymi słowy, prawie w każdym czasie znajdziemy takie miejsce na ziemi, gdzie ludzie nawzajem czynią sobie krzywdę, eufemistycznie rzecz nazywając. Zazwyczaj spór toczy się o dobra materialne, o kawałek ziemi albo o... kobiety - by wspomnieć piękną Helenę i wojnę trojańską. Zazwyczaj obie zwalczające się strony są głosicielami przeciwnych sobie idei. A potem już schemat jest podobny: chodzi o to, która strona szybciej się zmobilizuje, która wystawi więcej zabijaków i przewyższy przeciwnika techniką zabijania. Poprzez wieki jedni hartowali miecze, podwyższali mury obronne, inni obmyślali podstępny, nasyłali szpiegów, wymyślali maszyny oblężnicze, miotali kamienie i płonąca smołę... Było tylko dopaść przeciwnika, było zabić go i złupić jego dobra. Przez wieki zmieniały się broje i pancerze, wynaleziono proch strzelniczy, armaty i różne rodzaje broni palnej. Tylko kondycja biologiczna człowieka pozostała niezmienna - nadal składa się on z krwi, kości i tkanek miękkich. Nóż i bagnet nadal są skuteczne w podrzynaniu gardeł. Człowiek przez wieki główkował, jak skutecznie

i czym osłonić swoją biologiczną marność. Wyścigi zbrojeń i koszty, jakie on generuje, doprowadziły na skraj nędzy niejeden naród. W rezultacie mamy broń atomową, laserową, chemiczną, biologiczną, termiczną i magnetyczną, by pod koniec XX wieku stanąć nad przepaścią samozagłady.

Czy to przypadek, że dwie ostatnie największe wojny światowe wybuchły pod koniec lata? Ludzie ledwo co zdążyli zebrać plony, poczynić jakiegokolwiek zapasy, byle szybciej sprowokować czymś i zaskoczyć przeciwnika. W tym celu równie skuteczny okazał się zamach w Sarajewie w czerwcu 1914 roku, jak i prowokacja gliwicka w sierpniu 1939 roku. Oczywiście, nieodwołalne jest wcześniejsze podgrzanie atmosfery wojennej na gruncie międzynarodowym. A potem już tylko rzecz w tym, kto, kogo i czym zacznie mordować.

Buszując nieco w tzw. regionaliach historycznych, trafiłem niedawno na wspomnienia chłopca, samouka, Jana Zajęca ze wsi Tarnawka z gminy Wysokie (dawny powiat krasnostawski). W roku 1914 miał on niespełna 12 lat. Był naocznym świadkiem trzydniowej bitwy, jaka rozegrała się na polach jego wsi w dniach 7-9 września 1914 roku pomiędzy wojskami rosyjskimi i austriackimi. Zginęło w niej kilka tysięcy żołnierzy walczących po obu stronach - w tym wielu Polaków. Wydarzenia te opisał w roku 1927, korzystając z własnych notatek i informacji uzyskanych od starszych mieszkańców wsi. Przytaczam ich fragment, zachowując oryginalną pisownię.

Straszny to był dzień bo chodź słońce świeciło tumany kurzu i dymu wzniosło się w powietrze tak że i wioski nie było widać. Tysiące kul przeżywało powietrze zagęszczone dymem, leciały na ziemię drzewa tak jak by kto je ścinał i od pocisków armatnich waliły się domy. Kule armatnie spadały na ogrody wyrывая duże doły. Ziemia drżała od huku dział Austriackich. Ruskie kule armatnie spadały i rwały się zabijając ludzi, nawet w dołach (ziemianki na ziemniaki). Na równym placu nie sposób było chodzić bo zaraz człowieka zabiło. I tak szalała ta kanonada straszliwa cały pierwszy dzień. Psy wyły przeraźliwym głosem nieustannie. Zwierzyna polna i ptaki nie miały spokoju bo w powietrzu rwały się pociski armatnie (szrapnele burzące).(...)

Ludzie siedzieli w dołach po ziemniakach i modlili się zdjęci strachem aby Bóg ich nie karał bo było to dla nich jak koniec świata. Konie wóczyły się stadami po drogach i po ogrodach. Byli żołnierze ranni i pozabijani koło budynków, kule wpadały do budynków i tam się rwały, słoma się zapalała i paliły się budynki. (...) przy granicy Wysoko-Dragańskiej bliżej gościńca, co leci z Tarnawki do Wysokiego było morgę łubinu, ładny wysoki to w tym łubinie leżało ze 100 zabitych przeważnie Austriacy - Niemcy i częściowo Ruscy. Później po bitwie wykopano obok rów i wszystkich pogrzebano razem w jednej mogile. (...)

Apokaliptyczny to opis, bo dla każdego świadka wojennych okrucieństw wojna to koniec jego dotychczasowego standardu życia, to istny koniec świata. Ofiary trafiają do „rozjemczej mogiły”, a żywi usiłują jakoś żyć, byle przeżyć. Chciałoby się zapytać słowami Mickiewicza z „Reduty Ordona”: *Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia? / Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?* A oto i odpowiedź według wieszczki: *Nie, on siedzi o pięćset mil na swej stolicy, / Król wielki, samowładnik świata połowicy; / Zmarszczył brwi, - i tysiące kibitek wnet leci; / Podpisał, - tyś się matek oplakuje dzieci.* Wodzowie zazwyczaj wiele obiecują, kłamią i manipulują otumanionym narodem. *Będziecie w domu, wróćcie zanim liście opadną z drzew* - zapewniał cesarz Niemiec Wilhelm II żołnierzy idących na front w sierpniu 1914 roku. Słyszący te słowa zapewne nie wrócili nigdy, ich następcy zalegli w okopach aż do końca 1918 roku. Jeden z bohaterów wojennego filmu o wymowie pacyfistycznej pociesza kolegów: *Wypijemy za zdrowie bydłaków, którzy siedzą w ciepłku, a nam każą się bić.* (Joyeux Noel, „Wesołych Świąt”, koprodukcja 2005 r.).

Autentyzm frontowej rozpacz i bezsilności bije z piosenek żołnierskich i wierszy tworzonych z głębokiej potrzeby zaspokojenia ludzkich uczuć w nieludzkich warunkach. Chciałoby się powtórzyć za anonimowymi twórcami: *Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani, / że za tobą idą, chłopcy malowani?* A na innym froncie, w podobnych okopach zrodziły się z tej samej potrzeby inne piosenki o tym, jak rozkwitały pąki białych róż, i że *niejedna panienka i niejedna wdowa za ułanami polecieć gotowa.* Bardziej refleksyjni twórcy pozostawili nam słynne

„legiony”, czyli *Marsz Pierwszej Brygady*, w którym *na stos rzucili życia los*. Dodatkową tragedią Polaków służących w skonfliktowanych armiach zaborców była świadomość, że strzelają „do swoich”.

Jaka jest szansa na zatrzymanie hysterii wojny? Czy dzisiejsze podgrzewanie wojennej atmosfery wokół konfliktu na Ukrainie niczego nam nie przypomina? Czy 70 lat względnego spokoju na kontynencie europejskim to granica ludzkiej wytrzymałości bez wymiany śmiercionośnych rakiet? Jak mawiali starożytni: *każdy pokój jest lepszy niż najbardziej sprawiedliwa wojna*. Jeżeli on kogoś uwiera, bo uważa go za „zgniły kompromis” - to niech prowadzi wojnę na własny rachunek. Istnienie państw lub ich nieistnienie, tak zwane racje stanu Polski, Rosji, Europy, USA i Ukrainy na przyczepkę nie są dla mnie wartościami wyższymi niż ludzkie życie. Panowie politycy i generałowie, mnie nie interesują wasze priorytety. Wam - aniołom śmierci polecam wojnę na tzw. „ustawkach”. Potrzebujecie przelewu krwi? - róbcie to we własnych gabinetach. Macie inne priorytety? - to płacicie za nie wyłącznie własną kwią. Oby nie sprawdziły się profetyczne słowa wieszczą Adama:

(...)

*Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzecze.
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona -
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.*

Henryk Radej



rys. Robert Znajomski.

Wiesław Krajewski

Słowa, słowa, słowa. Krótki poradnik dla kandydatów na posłów



Rzadko piszę, mało tego - rzadko w ogóle wypowiadam się na zagadnienia polityczne. Ale teraz takie czasy, że pominąć tego tematu nie sposób. Dopiero pół roku temu mieliśmy emocjonujące wybory samorządowe, które przyniosły nam zmianę na stanowisku burmistrza, całkiem niedawno przeżywaliśmy wyjątkowe wybory prezydenckie, które wyłoniły zmianę na najwyższym stanowisku w państwie, a już za parę miesięcy czekają nas wybory parlamentarne, które na pewno wniosą wiele nowego w składzie naszej władzy ustawodawczej. Kampania wyborcza już się właściwie rozpoczęła. Kto myśli o starcie w wyborach, powinien jak najszybciej się do tej walki należycie przygotować.

Obserwując minione kampanie wyborcze, każdy zdaje sobie sprawę z tego, że najważniejszym jest co i w jaki sposób kandydaci mówią, jakiego używają języka, jakich dobierają określeń, sposób w jaki posługują się słowami, jak określają swoich przeciwników. Kandydatów przede wszystkim się słucha i ocenia. W kampanii najważniejsze są słowa, po wyborach - czyny. Nie na darmo się mówi, że mowa jest srebrem. A choć milczenie jest złotem, to jednak w polityce milczenie nie popłaca. Oto kilka ogólnych wiadomości i porad na ten temat.

Słowo jest podstawą wszelkiej ludzkiej działalności. Mowa jest podstawowym narzędziem porozumiewania się. Służy ona nie tylko przekazywaniu określonych treści. Mowa jest również środkiem oddziaływania na zachowanie, myśli, uczucia, świadomość osób, do których jest kierowana. Roli, jaką odgrywa słowo w życiu każdego z nas nie trzeba udowadniać. Dzięki niemu nadawca może przekazywać odbiorcy rozmaite informacje. Nasze osobiste życie w znacznym stopniu uwarunkowane jest tym, w jakim stopniu potrafimy się wysłowić. Pochodzenie języka przypisywane jest siłom nadprzyrodzonym. Sokrates utrzymywał, że nazwy rzeczy ustalili bogowie. Księga Rodzaju podaje, że to Adam nadał nazwy wszelkiemu bytłu

i ptactwu niebios, i wszelkim dzikim zwierzętom. Bóg, chcąc nie dopuścić do ukończenia budowy wieży Babel, pomieszał ludziom języki. To wystarczyło by przerwali pracę i, nie rozumiejąc się nawzajem, rozproszyli na wszystkie strony. Mowa jest potężnym narzędziem. Słowa mają wielką moc. „Na początku było Słowo, [...] Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało” (Jn. 1,1-3). Wystarczy dać słowo honoru, by zaświadczyć o swojej uczciwości, wierzymy w czyjeś dobre intencje, polegając na jego słowie, sami staramy się dotrzymywać słowa, jeśli chcemy być wiarygodni i nie zostać posądzeni o rzucanie słów na wiatr. Są słowa ciepłe i czułe, uprzejme i życzliwe, inne bywają chłodne, obraźliwe, przykre lub wręcz okrutne. Jakże często ludzie toczą prawdziwe pojedynki na słowa, obrzucają się słowami, a wiele konfliktów, nawet rangi międzynarodowej, spowodowanych jest właśnie słowami polityków. Słowami można podporządkować sobie tłumy, ale i tłumy mogą w ten sam sposób obalać rządy. Wolność słowa jest jedną z podstawowych zdobyczy demokracji. Jedno słowo wypowiedziane przed ołtarzem potrafi zmienić całe życie. Słowa przechodzą do historii i trwają przez stulecia. Wypowiedzi wielu wybitnych osób cytowane są w codziennym języku. Za przykład można przytoczyć choćby „kości zostały rzucone” czy „veni, vidi, vici” Cezara, dosadne „słowo Cambronne’a” („Merde!”), Galileuszowe „...a jednak się kręci” czy też bliższe nam „Pomożecie?” Edwarda Gierka, „Jestem za, a nawet przeciw” lub „Nie chcem, ale muszem” Lecha Wałęsy, czy choćby „Sorry, taki mamy klimat” Elżbiety Bieńkowskiej. Okrzykiem „A słowo stało się ciałem!” witamy niespodziewanego gościa, a mówiąc „Słowo się rzekło, kobyłka u płota” nakazujemy wykonanie obietnicy. Cytały z wielu książek i filmów przeszły do codziennego języka. Niektóre zdania używane są niezmiennie od wieków. Każdy może podać sto różnych przykładów. Słowa mają na nas ogromny wpływ. Właściwie dobrane słowa mogą wywołać reakcje przez nas pożądane, nierozważnie użyte - wręcz przeciwnie - zaszkodzić. Bywają jak uderzenie kamieniem i jak miód na serce. Napastliwe słowa są przyczyną nie tylko bólu i smutku, czucia ciężaru w żołądku, dławienia w gardle, ściśniętego serca, ale depresji i chorób. Złe wiadomości mogą wy-

bitnie zepsuć samopoczucie i wpędzić w chorobę. Słowo może boleśnie zranić lub nawet zabić. Jest takie portugalskie przysłowie: „Złe słowa ranią mocniej niż ostry miecz”, Rudyard Kipling twierdził, że „słowa są najpotężniejszą bronią, jaką się ludzkość posługuje”. A rany zadane słowem niełatwo się zablizniają. W słynnej piosence „Dziwny jest ten świat” Czesław Niemen śpiewa: „...a jednak często jest, że ktoś słowem złym zabija, tak jak nożem”. Z drugiej strony - dobre nowiny, słowa otuchy i nadziei mogą przywrócić siły i chęci do życia. Ta swoista terapia słowem może stać się lekarstwem na zwątpienie i rozpacz. Nawet złe wieści, wypowiedziane subtelnie, w sposób łagodny i taktowny, mogą złagodzić ból i cierpienie, które ze sobą niosą. Słowa uznania, zachwyty wznoszą nasze życie na wyższy poziom, uskrzydla. Rola słowa jest przeogromna. Słowa dają życie i odbierają życie. Nieraz używamy raniących słów, a nawet dopuszczamy się słownej agresji. Dlatego odpowiedzialny polityk - jak dyplomata - musi panować nad tym, co mówi, odpowiednio ważyć i dobierać swoje słowa.

Mało jest „urodzonych” mówców. Tymczasem istnieje wiele zawodów, które wymagają częstych i bardzo konkretnych wypowiedzi - przemówień, wykładów, wystąpień. Nie chodzi tylko o polityków. Można tu wymienić działaczy związkowych i samorządowych, adwokatów, prokuratorów, nauczycieli, kaznodziejów. W czasach starożytnych zasad sprawnego i pięknego wysławiania się uczono w szkołach. W Grecji retorykę traktowano na równi z innymi sztukami: rzeźbą, muzyką, dramatem, architekturą. Mistrzami krasomównstwa byli sofisci. Prześcigając się w zręczności operowania słowem, potrafili udowodnić wszystko - nawet, że białe jest czarne. Szkolili oni retorów, czyli zawodowych mówców. Duży wkład do teorii krasomównstwa wnieśli m.in. Platon, Aristoteles, Cycero, Sokrates, Demostenes. Z ich doświadczeń czerpali potem Rzymianie i ich następcy. W programach nauczania średniowiecznych uniwersytetów znajdowały się m.in. gramatyka, retoryka i dialektyka rozumiana jako logika. W Polsce również nauczano retoryki, a zagadnieniami wymowy, dykcji i techniki mówienia zajmowali się najwybitniejsi uczeni. Dziś, choć nie w szkole, doskonaleniu sztuki wysławiania poświęca się coraz

więcej uwagi. W kampaniach wyborczych korzysta się z porad specjalistów od kreowania wizerunku, ekspertów od public relations, tzw. pijarowców, fachowców doradzających jakich używać słów, jakie zastosować inne środki by wzmocnić i uwiarygodnić oddziaływanie słowem.

Są słowa modne, często powtarzane, słowa klucze, wytrychy, których użycie otwiera ludzkie serca, słowa wzniosłe, które mogą porwać tłumy. Jak mówić? Czy pójść za modą, czy wypracować własny styl wypowiedzi, operować słowem swobodnie, czy ważyć każde z nich, nazbyt rozbudowywać zdania, czy stosować zwężkę, krótkie wypowiedzi? Uniwersalnej recepty nie ma. Zdecydowanie to, co mówimy musi być przemyślane. Słów raz wypowiedzianych nie można już cofnąć. Wystarczy jedno słowo za dużo. Jakże często politycy tłumaczą się z pochoptnie i nierozważnie użytych słów.

Słowo, jako narzędzie porozumiewania się, ma wiele zalet. Najistotniejsze z nich to powszechność, łatwość i dostępność, a także sugestywność i plastyczność. Oficjalna wypowiedź, przemówienie powinny być w pewnym stopniu przeżyciem emocjonalnym dla słuchaczy. Zależy to w znacznej mierze od osobowości mówcy, umiejętności jasnego formułowania myśli, sposobu wystawiania się, zdolności krasomówczych, przekonywania i trafiaania tematem w potrzeby słuchaczy, odpowiedniego doboru słów, intonacji i tempa głosu. Plastyczność mowy natomiast to możliwość dostosowania treści i formy rozmowy do reakcji i potrzeb, a nawet ogólnego nastroju słuchaczy. Dobry mówca ani na chwilę nie traci kontaktu i obserwuje słuchaczy. Już w czasie wypowiedzi, na bieżąco, może więc wprowadzać różne zmiany wcześniej przygotowanych treści i w ogóle sposobu mówienia, w zależności od tego, czy publiczność jest zainteresowana, czy aktywnie słucha, czy też daje oznaki nieuwagi, znużenia, zmęczenia, zniecierpliwienia czy nawet wrogości.

Żywa mowa ma jednak i wady. Najistotniejszą z nich jest lotność słowa mówionego. „Słowa mają naturę wiatru” mówi przysłowie perskie. Wypowiedziane raz zdania, być może bez należytej intonacji, zbyt cicho, zbyt monotennie, mogą zostać niedosłyszane, niezrozumiane przez słuchaczy lub po prostu umknąć ich uwadze.

Częste w czasie wieców wyborczych okrzyki, przerywanie (słynne powiedzenie: „panie pośle, ja panu nie przerywałem”), dygresje wprowadzając niepotrzebne zamieszanie i odwracając uwagę. Niektóre wiadomości zwyczajnie trudno zapamiętać, szczególnie, gdy podane były zbyt szybko, z użyciem trudnych słów, fachowych terminów, czy też zbyt wielu szczegółów na raz. Lotność słowa sprawia, że trudno zapamiętać raz zasłyszane wiadomości, nawet gdy się je zrozumiało. Dlatego dla łatwiejszego odbioru i przyswojenia ważniejszych tez programu wyborczego, konieczne należy podkreślać je intonacją głosu, powtórzyć, przypomnieć w podsumowaniu, zawrzeć w haśle wyborczym.

Jednostronność oddziaływania mowy jedynie na zmysł słuchu jest również wadą. Słuchacze mogą mieć trudności ze skupieniem uwagi, zwłaszcza gdy wypowiedź jest dłuższa, prowadzona głosem monotonnym. Aby temu przeciwdziałać, trzeba oddziaływać równocześnie na inne zmysły, przede wszystkim wzrok. Zastosowanie materiałów wizualnych - ilustracji, schematów, wykresów - w połączeniu z głosem, znacznie mobilizuje uwagę, pobudzi zainteresowanie i wyobraźnię, a także ułatwi zrozumienie i zapamiętanie. Badania wykazały, że samo oddziaływanie tylko na zmysł słuchu powoduje zapamiętanie po trzech dniach jedynie 10% informacji, wyłącznie wzrokowe przekazywanie treści - już 20%, natomiast zastosowanie obu form jednocześnie - słowa popartego obrazem - aż 65%. Większą możliwość zapamiętania stwarza też aktywizowanie słuchaczy poprzez włączanie ich do rozmowy, dyskusji. Rozmawiając, stajemy się bardziej ożywieni, pobudzeni umysłowo i uważni. Na wiecach wyborczych cały czas coś się dzieje, wszystko jest wyreżyserowane, nie ma chwili milczenia, jest ciągłe poparcie, atmosfera euforii, nawet z użyciem klasycznych klakierów i osób podstawionych, zadających wcześniej uzgodnione „kłopotliwe” pytania, na które można odpowiedzieć celną ripostą. Zresztą pytania, jakie mogą być zadane, w dużym stopniu można zawczasu przewidzieć i trzeba z góry przygotować sobie odpowiedzi. Często jest wykorzystywanie wsparcia ze strony znanych autorytetów lub chociażby osób popularnych i lubianych - aktorów, piosenkarzy, sportowców.

Istnieje jeszcze jedno niebezpieczeństwo związane z żywą mową - zbaczanie na tory werbalizmu. Jest to przywiązywanie większej wagi do słów i sposobu operowania nimi, niż do treści, które one ze sobą niosą. Im więcej słów tym mniej w nich treści. Jest to popularne „łanie wody”, mowa-trawa, gadanina bez konkretnej myśli przewodniej, słowotok. W rezultacie słuchacz tonie w nadmiarze słów. Taka wypowiedź nie pozostawia żadnego śladu, nic nie zmienia w świadomości słuchacza. Wpada jednym uchem, drugim wypada. Nie rodzi praktycznych skutków, staje się jałowa, a więc nie spełnia swego zadania. Przeciwdziałać temu można przez rzeczowe, nie nazbyt wyszukane wystawianie się, poparte jasnymi, przekonującymi przykładami. Same słowa nic nie znaczą. Na pytanie Poloniusza: „Cóż to czytasz mości książę?”, Hamlet odpowiada: „Słowa, słowa, słowa”. Dużo jest pustych słów, obietnic bez pokrycia, deklaracji, za którymi nic nie stoi. Wypowiadanych dla poklasku, by osiągnąć szybki efekt. Łatwo w takie słowa uwierzyć, ale równie łatwo je zde-maskować, wyczuć nierealność obietnic, demagogię wypowiedzi, populizm i płytkie intencje autora. Kampania wyborcza musi wiązać się z obietnicami. Bez programu działań, bez chęci spełnienia oczekiwań wyborców nie wygra się rywalizacji. Ale co lepiej podziela - niefrasobliwa „kietbasa wyborcza”, obiecanki-cacanki, czy umiarkowane, realistyczne zobowiązania? Co „kupi” wyborca? Jak do niego trafić, jak mówić?

Mówić należy wyraźnie i zrozumiale, stylem prostym, bez zbytnich ozdób stylistycznych. Jednym z podstawowych warunków dobrego mówcy jest odpowiednia dykcja. Można się tego nauczyć drogą ćwiczeń słownych. Znana jest legenda iż Demostenes ćwiczył wymowę na plaży, z kamykami w ustach, przekrzykując szum morza. Ważne jest tempo wypowiedzi (zarówno zbyt wolne, jak i za szybkie mówienie może wywoływać u słuchaczy znużenie), głośność (nie można mówić zbyt cicho, a na tyle silnie, by głos słyszany był i rozumiany w całej sali), styl (unikąć należy stylu książkowego, oficjalnego, zbyt uczonego, trybu rozkazującego, karcenia, upominania, wyśmiewania), wyrazistość - sposób akcentowania wybranych słów i zdań, zmiana barwy głosu, podnoszenie, ściszenie lub zawieszanie głosu, stosowanie przerw lub powtórzeń.

Trzeba również pamiętać, że jeżeli chcemy być uważnie słuchani, musimy wzbudzać wiarygodność i cieszyć się autorytetem. Trzeba mówić sugestywnie, tak aby słuchacz był przekonany, że mówca wierzy w to, co mówi. Mówca zdobywa u słuchaczy autorytet również swoją postawą i zachowaniem. Składa się na to wiele spraw - nienaganne manieri, wykazywany szacunek dla słuchaczy, kompetencja, profesjonalizm i dokładna znajomość tematu. Podważyć wiarygodność mogą też błędy językowe i ortograficzne. Błędy skupiają uwagę słuchaczy na sobie, zamiast na treści wypowiedzi. Czasem mogą ośmieszyć mówiącego, a przez to zdecydowanie podważyć zaufanie do niego. Pamiętać trzeba, że wypowiadając się publicznie, powinniśmy dbać - oprócz merytorycznego tematu wypowiedzi - o kulturę słowa i sposób przekazu informacji.

Znajomość zalet żywego słowa i wykorzystywanie ich w celu przekonania wyborców do swoich tez, świadomość istnienia wad bezpośredniej mowy i możliwość im przeciwdziałania są niezwykle ważne w każdej przedwyborczej wypowiedzi. To jednak nie wszystko. Trzeba jeszcze poznać zasady przygotowania i wygłaszania przemówień - co powiedzieć na początku, co w środku, a czym zakończyć (bardzo ważne jest zakończenie), zrozumieć znaczenie niewerbalnych form oddziaływania, elementów aktorstwa.

Jednym z warunków osiągnięcia sukcesu jest nawiązanie kontaktu między mówcą a słuchaczami. Dla uzyskania pełnego zrozumienia między dwoma lub więcej osobami nie wystarczą tylko słowa. Nie wystarczy tylko umieć budować zgrabne zdania z odpowiednio dobranych wyrazów. Nie tylko słowa bowiem znaczą. Potrzebny jest jeszcze język ciała, gestów, mimiki - inaczej mówiąc - komunikacja niewerbalna. Poznanie tej formy przekazu pozwala nie tylko skuteczniej oddziaływać, pozwala lepiej pokierować naszym sposobem przekazywania informacji, aby np. pokonać nieufność słuchaczy, znaleźć z nimi wspólny język, zdobyć sympatię, aby przez to osiągnąć pożądaną przez nas cel. Towarzyszącą wystąpieniom intonacja, gestykulacja, wygląd i całe zachowanie się mówiącego, dostarczają słuchaczom informacji, które mogą zwielokrotnić siłę oddziaływania słów, ale także ją osłabić, a nawet zniweczyć. Na to wszystko należy zwracać uwagę i wykorzystywać.

Celem wystąpień kandydatów na posłów nie jest jedynie przekazanie pewnych informacji, ale przede wszystkim wywarcie wpływu na słuchaczy, przekonanie ich do swoich idei, zmiana ich nastawienia i sympatii politycznych. I tu właśnie nabierają szczególnego znaczenia wspomniane niewerbalne formy komunikacji. Najważniejsze z nich to: postawa, gestykulacje, bliskość, kontakt wzrokowy, aspekty mowy inne niż słowa - szybkość, wysokość, głośność mówienia, ton głosu. Wiele cech mowy odnosi się do naszych emocji. Świadomie je wykorzystując, można wzmocnić efektywność przekazu, można też uniknąć negatywnych reakcji emocjonalnych. Osoby nerwowe mają skłonność do mówienia szybkiego i wyższym głosem, zmartwione - mówią zwykle wolniej i tonem niższym. Szybkie tempo mowy sygnalizuje złość, zaskoczenie; wypowiedzi wolne oznaczają smutek, znudzenie. Nie można stwarzać wrażenia, że jest się zmęczonym, zdenerwowanym, zmartwionym. Podczas dłuższych wypowiedzi szczególnie ważna jest umiejętność utrzymania uwagi, szczególnie dlatego, że różnica między prędkością, z jaką człowiek jest zdolny słuchać i mówić (odpowiednio 500 i 125 słów na minutę) może być przyczyną dekoncentracji. Nie należy więc mówić głosem jednostajnym, monotonnym. Urozmaicają wypowiedzi zarówno zmiana tempa mówienia, głośności jak i krótkie przerwy. Przerwy między niektórymi zdaniami, a nawet słowami wzmacniają siłę oddziaływania, dają też czas na sformułowanie własnych myśli.

Postawa i sposób ułożenia ciała także mają swoją symbolikę. To, czy w czasie wystąpienia siedzimy, czy stoimy oraz gdzie siedzimy lub stoimy ma istotny wpływ na postawę słuchaczy. Siedząc na tym samym poziomie, co zebrani, sugerujemy im chęć bycia równym partnerem w dyskusji. Z kolei stojąc lub siedząc na podwyższeniu, wykazujemy naszą dominację i wyższą pozycję. Postawa stojąca może bardziej podkreślić wagę naszych słów. Podobne znaczenie ma wygląd mówcy. Ubiór powinien być nienaganny i raczej prosty, dostosowany do charakteru wypowiedzi. Nadmierne sztywność może w niektórych okolicznościach razić. Nieraz lepiej zdjąć krawat, założyć buty na niższym obcasie. W innych sytuacjach razić może za duży luz i „styl sportowy”. Z kolei zbyt ekstrawagancje stroju, niektóre co bardziej „śmiałe” jego

elementy mogą skupiać na sobie więcej uwagi, niż na treści wystąpienia. Podobnie rzecz się ma z przesadnym, za ostrym makijażem. Niedociągnięcia takie mogą od samego początku podważyć zaufanie do kandydata, skompromitować go i zniszczyć jego autorytet. Dotyczy to nie tylko samych kandydatów, ale i ich rodzin. Pamiętam krytykę żony polityka podczas oficjalnego spotkania z głową obcego państwa spowodowaną niewłaściwym doбором koloru jej sukni.

Warto zdawać sobie sprawę z tego, co robią nasze ręce podczas mówienia. Używanie rąk dodaje ekspresji wypowiedzi. Istnieją gesty, za pomocą których można przekazywać informacje nawet bez użycia słów. Gest Kozakiewicza nie dotyczy polityki, ale przeszedł do historii, bo sam z siebie mówi wszystko; pamiętamy też gest Tadeusza Mazowieckiego po wyborze na premiera w 1989 roku w sejmie. Gesty mogą wiele powiedzieć o mówcy, jednak zbyt pracowite „machanie rękami” nie wnosi już nic do treści wystąpienia i niemal zawsze robi złe wrażenie na słuchaczach. Zwracają bardzo na to uwagę komentatorzy telewizyjnych debat. Taka debata to przecież pojedynek na słowa, ale także na gesty, wizerunki, postawy.

Bardzo ważny jest też uśmiech. Patrząc na takiego polityka, myślimy: oto człowiek sukcesu, z przyjemnością dążący do celu. Taki kandydat od razu wzbudza naszą sympatię. Jemu warto zaufać. Pamiętam sprzed lat uśmiech Stana Tymińskiego goszczący na jego twarzy w każdej chwili i w każdej sytuacji.

Pewnym środkiem komunikowania się jest też dotyk. Poprzez dotyk możemy sygnalizować nasze wsparcie, dodawać wiary, okazywać troskę i chęć pomocy. Umiejętne użycie dotyku, szczególnie u osób starszych, może wzmocnić u nich świadomość tego, że ktoś o nich myśli, zna ich problemy, ktoś chce im pomóc. Istotna jest odległość między mówcą a słuchaczami. Zwykle w czasie wystąpień publicznych wynosi ona powyżej 3 metrów. Jednak bardzo wskazany jest bliższy, indywidualny kontakt ze słuchaczami. Stąd często obserwowane jest wchodzenie w tłum, witanie się, podawanie ręki, krótka wymiana słów z mijanymi osobami, rozdawanie autografów, robienie wspólnych zdjęć. Schodzimy w ten sposób na ten sam poziom, co wyborcy, a to sprzyja pogłębianiu więzi

i zaufania. Podczas kampanii wyborczej kandydaci „rozdują” dziesiątki tysięcy uściśnięć rąk.

Przedstawione tu w skrócie zarówno słowne jak i niewerbalne aspekty komunikacji mają o wiele większe znaczenie niż się to z pozoru wydaje. Ma to bezpośredni wpływ na efekt przekazu, zapamiętanie treści wypowiedzi, zaufanie do kandydata i jego wiarygodność. Sprawne operowanie językiem polskim, a także wygląd, ubiór, zachowanie, gesty, mimika są przez nich - świadomie lub nie - oceniane i odgrywają dlatego ogromną rolę we wszelkich debatach, wiecach, konferencjach, wystąpieniach przedwyborczych.

Celem nadrzędnym walki przedwyborczej jest zdobycie głosu elektoratu. Temu jest przyporządkowane każde wystąpienie kandydata. Kampania wyborcza ma w sobie wiele z reklamy proszku do prania. Tak jak w reklamie, w kampanii chodzi o to, aby wyborca „kupił” kandydata i na niego zagłosował. I tak jak w reklamie - trzeba chwalić i obiecywać. Ten prosek usunie plamę w 30 sekund, a ten kandydat naprawi Rzeczpospolitą w pół roku. Ale podejmując decyzję o starcie w wyborach, musimy się liczyć z tym, że przekonać wyborców do swojej osoby, swojego sposobu sprawowania władzy, swojego programu wcale nie będzie łatwo. W programie wyborczym istotne jest też, żeby był jasno sprecyzowany, zrozumiały i konsekwentny. Nie można zmieniać jego punktów w trakcie kampanii, w zależności od koniunktury, wyników sondaży. Każdy kandydat musi mieć określoną wizję przyszłości i wiedzieć (a przynajmniej sprawiać wrażenie, że wie) jak ją zrealizować, musi być zdecydowany i pewny zwycięstwa. W kontaktach słownych warto stosować się do biblijnej zasady „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie” (Mt. 5,37). Ze wszystkiego można być potem rozliczonym. Może warto będzie skorzystać na początek z tych kilku moich rad.

Dodam jeszcze, że nie jestem wprawdzie fachowcem od wystąpień publicznych i prowadzenia kampanii wyborczych, ale obserwuję je i staram się zauważać pewne zasady, mechanizmy i prawidłowości. Moje porady nie gwarantują sukcesu. Nie biorę odpowiedzialności za negatywny wynik ewentualnej Państwa wyborczej rywalizacji. O czym lojalnie uprzedza

Wiesław Krajewski

Książki nadesłane

„W świecie oczekiwań i prawdy” to zbiór intymnych i nostalgicznych liryków Aliny Jahołkowskiej. Znajdują się wśród nich także teksty, do których muzykę na fortepian skomponował w 2010 roku prof. Andrzej Nikodemowicz. Do pojedynczych wierszy publikowanych we wcześniejszych zbiorach komponowali także Dariusz Kwiatkowski i Mariusz Dubaj.



Alina Jahołkowska, „W świecie oczekiwań i prawdy”, Polihymnia, Lublin 2015, ss. 64.

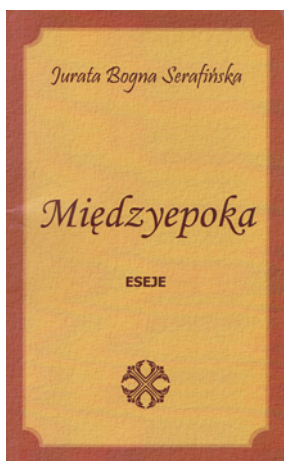
Dwujęzyczny tomik poezji Aliny Jahołkowskiej wydany został przez lubelskie wydawnictwo Polihymnia. Na parzystych stronach książki znajdują się wiersze w języku polskim, a na nieparzystych w języku ukraińskim, które przetłumaczył Tadeusz Karabowicz. Autorka podejmuje trudną sztukę opisaną szpitalnych przeżyć, pełnych refleksji nad przemijaniem.

Wybrane wiersze z obu tomików Aliny Jahołkowskiej publikujemy na stronach 70-71.



Alina Jahołkowska, „To jeszcze nie twój czas”, Polihymnia, Lublin 2015, ss. 103.

Jurata Bogna Serafińska od kilku lat publikuje na łamach „Nestora” poezję i prozę. Jest autorką ponad dwudziestu książek. Należy do Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia POLART, Stowarzyszenia Autorów Polskich, Stowarzyszenia Siwobrodych Poetów i Stowarzyszenia Literackiego Nauczycieli w Krośnie. Nadesłana książka zawiera zestaw esejów filozoficzno-literackich, które stanowią mocną stronę twórczości literackiej.



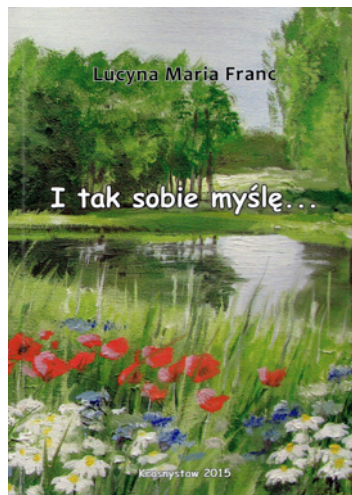
Jurata Bogna Serafińska, „Międzyepoka”, Armagrab, Krosno 2015, ss. 120.

Tytuł zbioru zaczerpnięty został od jednego z wierszy. Jest to debiutancka książka zawierająca przekrój twórczości Michaliny Szczupak, która literacką przygodę rozpoczęła w wieku 60 lat. Znaczną część tomiku zajmują satyry. „Miejsce na ziemi” jest dziesiątym tomem ukazującym się w serii Biblioteka „ZIARNA”.



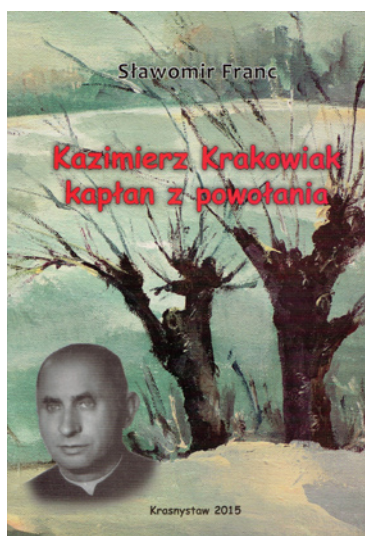
Michalina Szczupak, „Miejsce na ziemi”, Biblioteka „ZIARNA”, Siennica Różana 2014, ss. 60.

Obszerny tom wierszy to plon wieloletniego pisania do szuflady. Książka jest debiutem emerytowanej nauczycielki. Przygotowaniem do druku zajęła się Monika Nagowska, użyczając jednocześnie obrazu swojego autorstwa na kompozycję okładki.



Lucyna Maria Franc, „I tak sobie myślę...”, Polianna, Krasnystaw 2015, ss. 175.

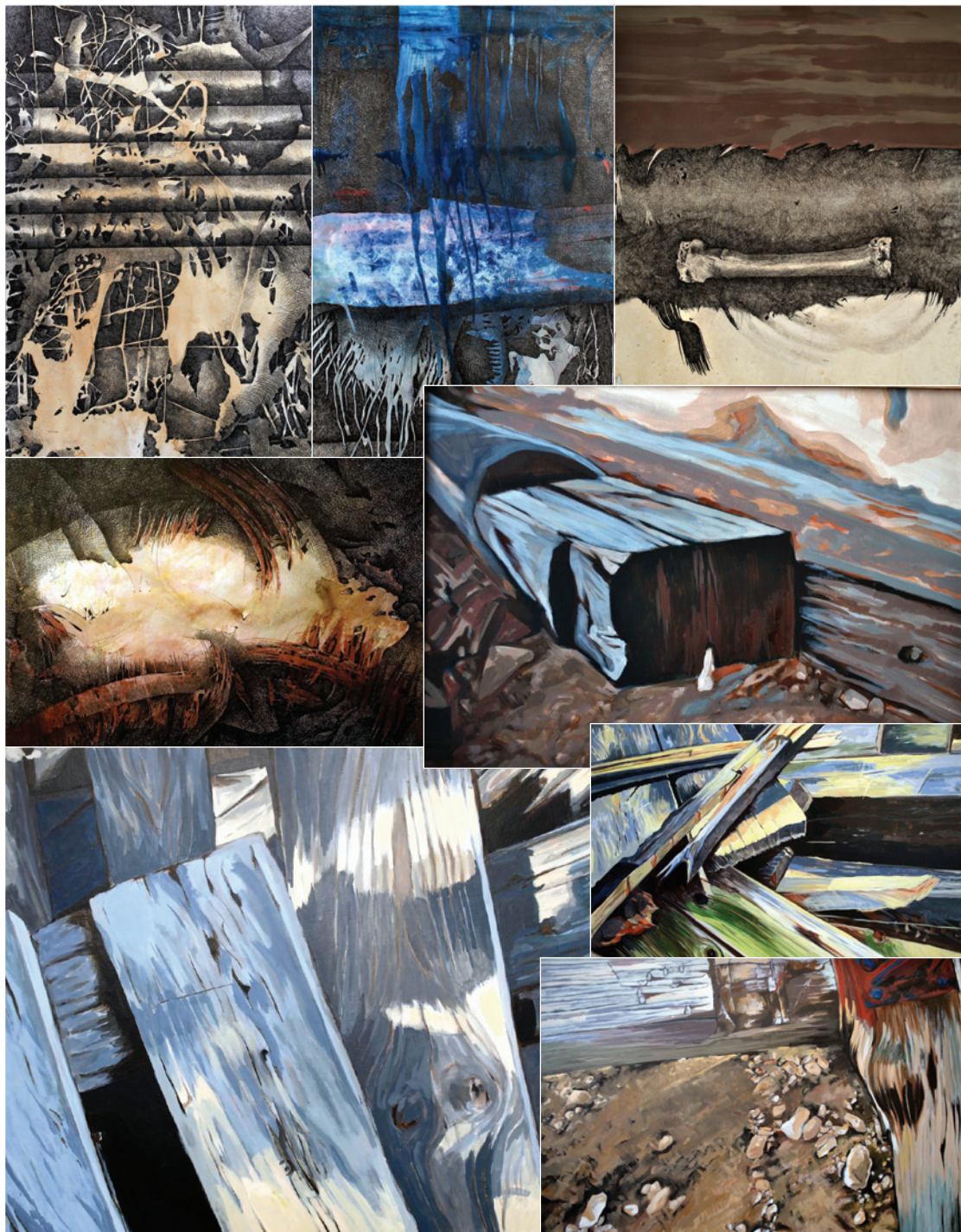
Coraz więcej mówi się o niezwykłych księżach, którzy zasłużyli się Bogu i Ojczyźnie. Tym razem dr Sławomir Franc podjął się przedstawienia kapłana z powołania - Kazimierza Krakowiaka. Książka jest zbiorem wypowiedzi świadków, przyjaciół, znajomych i wysokich hierarchów Kościoła o niezwykłej charyzmie księdza ziemi kraśnickiej.



Sławomir Franc, „Kazimierz Krakowiak, kapłan z powołania”, Krasnystaw 2015, ss. 164.



Ireneusz Boguszewski - urodzony w 1962 r. w Lublinie. Absolwent grafiki IWA (obecnie Wydział Artystyczny) UMCS w Lublinie (1981-86). Dyplom z wyróżnieniem z litografii w pracowni prof. Danuty Kołwzan-Nowickiej. Współzałożyciel Stowarzyszenia Twórczego „Prowincja”. Członek Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej. Nauczyciel plastyki i fotografii, uczestnik licznych ogólnopolskich plenerów malarskich. Organizator i współorganizator plenerów dla dorosłych i młodzieży uzdolnionej artystycznie. Uprawia rysunek oraz malarstwo akrylowe i olejne.





Pod powierzchnią - struktura 4

Ireneusz Boguszewski